

A co ja mam z tym

Sacha Batthyany

Zbrodnia popełniona w marcu 1945 roku

wspólnego?

Dzieje mojej rodziny

CZY
TEL
NIK

Sacha Batthyany

A co ja mam z tym wspólnego?

Zbrodnia popełniona w marcu 1945 roku
Dzieje mojej rodziny

Przekład
Emilia Bielicka

Czytelnik

Spis treści

Prolog

1

2

3

4

Dzienniki I

5

Dzienniki II

6

-

7

8

Dziennik III

9

10

Dzienniki IV

11

12

Dzienniki V

13

14

15

16

-

17

18

19

20

21

22

Dzienniki VI

23

Podziękowania

Przypisy

Strona redakcyjna

Dla Ayno, Milosa i Umy

Prolog

Agnes stanęła w drzwiach swojej sypialni, umalowana, uczesana i elegancko ubrana w związku z moją wizytą. Córki towarzyszyły matce, wyraźnie dumne z jej wyglądu.

– To jest twój gość z Europy – wyjaśniły – ten wnuk.

– Kto taki? – zapytała trochę za głośno.

– To ten wnuk, przecież wiesz.

Nie, Agnes nic nie wiedziała, poznałem to po wyrazie jej twarzy.

Przywitaliśmy się, po czym usiedliśmy wszyscy wokół okrągłego stołu w rogu pokoju, gdzieś w Buenos Aires. Znałem już Agnes dzięki lekturze dziennika mojej babki, który miałem przy sobie w teczce. Obie spędziły młode lata w niewielkiej wiosce na zachodzie Węgier – jako dzieci widywały się niemal codziennie, chociaż warunki, w jakich wzrastały, były całkiem odmienne. Rodzice Agnes mieli mały sklepik spożywczy, zaś rodzice mojej babki byli właścicielami pałacu z wysypanym żwirem dziedzińcem, na którego środku rósł rozłożysty kasztan. „Pędziliśmy spokojne wiejskie życie – pisała moja babka o swoim dzieciństwie – którego rytm wyznaczały zmieniające się pory roku”. Tak było aż do nadejścia wojny.

Do owego wiosennego dnia roku 1944, kiedy to od wieków panujący w owej wsi porządek załamał się, a wraz z nim runął cały ówczesny świat. Najpierw przyszli Niemcy, a po nich Rosjanie. Dwór spłonął, rodzina mojej babki straciła cały majątek, społeczną pozycję, miejsce w swoim świecie.

Agnes dostała się wtedy do Auschwitz.

A ja znalazłem się tu przejazdem, jak wyjaśniono Agnes moje przybycie. Ponieważ w czyimś dzienniku trafiłem na wzmiankę o niej.

– A właściwie o twoich rodzicach – skomentował ktoś pewne wydarzenie sprzed siedemdziesięciu lat.

I teraz, korzystając z okazji, chciałbym ten fragment Agnes przeczytać.

– O, to wspaniale! – ucieszyła się.

Siedząc obok niej, dostrzegłem tatuaż, który strażnik w Auschwitz wykłuł na jej przedramieniu i który zaczynał już zanikać w fałdach pomarszczonej skóry. Poszczególne cyfry można było odczytać z trudem: 802...6? A może to było 8?

– Z jabłkiem czy z twarogiem? – padło pytanie.

– Słucham?

Kiedy Agnes znalazła się w Auschwitz, miała osiemnaście lat, teraz przekroczyła już dziewięćdziesiątkę. Balkonik stał tuż obok jej krzesła, w zasięgu ręki. Na wąskiej półeczce zauważyłem fotografie przedstawiające jej zmarłego męża, śluby córek, kolejne fazy życia.

– Z jabłkiem – odpowiedziałem, podając mój talerzyk.

Kiedy wszyscy zjedli już swoje porcje ciasta, zacząłem czytać: o pociągu z Budapesztu, którego zbliżanie się zapowiadała już z daleka chmura dymu – na co Agnes kiwała potakująco głową; o żurawiach przed wjazdem do wsi; o słoikach konfitur z wiśni stojących przy kasie w sklepie jej rodziców; i o jej ojcu, panu Mandlu, i jego rumianych policzkach.

– O, prawda, te jego rumiane policzki! – wtrąciła Agnes radośnie, i my cieszyliśmy się razem z nią, chociaż nie było nam zbyt wesoło na duszy. Bo przecież znaliśmy prawdę.

* * *

Czy postąpiliśmy słusznie? Zadawałem sobie pytanie nazajutrz w hali odlotów na miejscowym lotnisku. Nie licząc kierowcy pojazdu czyszczącego – który przemierzał cały terminal tam i z powrotem, pozostawiając za sobą na dywanie to jaśniejsze, to ciemniejsze smugi – nie było dokoła ani żywej duszy.

Jestem przecież tylko posłańcem, tłumaczyłem sobie, wyruszając w tę podróż. Mam w ręku coś, co jest własnością Agnes, i z tej racji znalazłem się tutaj – a jednak teraz nie byłem tego taki pewny – czy rzeczywiście odgrywałem tylko rolę kuriera?

Minęło siedem lat od chwili, kiedy wybrałem się na poszukiwanie śladów tajemnic wojennych mojej rodziny. Wiele razy jeździłem na Węgry, do Austrii, poleciałem też do Moskwy, a w końcu i do Buenos Aires – jednak, co najważniejsze, zostałem ojcem trójki dzieci, co całą sprawę ogromnie skomplikowało: uczyłem się zmieniać pieluchy i mieszać kaszki, równocześnie starając się dotrzeć do własnych korzeni; spędziłem wiele dni w miejscowości o nazwie Rechnitz, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o masakrze dokonanej na stu osiemdziesięciu Żydach; brnąłem przez syberyjskie śniegi w poszukiwaniu resztek pewnego obozu pracy, by wreszcie wylądować w Ameryce Południowej.

Wszystko to omawiałem co tydzień z moim psychoanalitykiem: rozprawialiśmy o Stalinie, holokauście i masowych grobach – podczas gdy inni spokojnie jedli sobie w południe pizzę. I dopiero teraz zadałem mu pytanie: „Proszę mi powiedzieć, czy ja nie jestem chory?”. Jego odpowiedź brzmiała: „A skąd ja to mogę wiedzieć?”.

Czułem się tak, jakbym żył w jakimś wehikule czasu, gdzie przeszłość zlewa się z teraźniejszością, a ja z góry obserwuję swoją wędrówkę po własnej biografii. Siedem lat. Tyle mniej więcej wynosi przewidywalna długość życia europejskich kretów, o których naczytałem się w dzienniku mojej babki – bo ona wciąż porównywała się z tymi stworzonkami.

Siedziałem więc sobie, wyglądając przez okno i obserwując pasy startowe lądujących samolotów, czarne smugi pozostawione przez gumowe opony i rozległe brzydkie pola, bezkresne przestrzenie Argentyny.

Na pożegnanie córki Agnes wcisnęły mi do ręki cieniutką książeczkę, wspomnienia z okresu wojny, które dołożyłem do teczki z dziennikami mojej babki. Życiorysy dwóch tak różnych kobiet, które się ze sobą splotły aż po czas teraźniejszy i do których mogłem sobie do woli zaglądać. Brakuje tylko moich wspomnień, pomyślałem, wyciągnąłem mój notatnik, wygładziłem pierwszą czystą stronę i wpisałem datę na górze, w lewym rogu: październik 2013.

Co to będzie? Może list. Ale do kogo? Do mnie? Jak się coś takiego rozpoczyna?

W tej samej chwili zapowiedziano mój lot.

1

Wszystko zaczęło się pewnego kwietniowego czwartku, dokładnie siedem lat przed moją podróżą do Buenos Aires. Przygotowywałem wtedy niedzielne wydanie „Neue Zürcher Zeitung”. Było wcześnie rano, w redakcji jeszcze prawie pusto, cisza i spokój. Pisałem o jakimś holenderskim dawcy nasienia, kiedy jedna ze starszych koleżanek, z którą raczej rzadko miałem do czynienia, położyła mi na biurku wycinek z gazety, pytając: „A cóż ty masz za rodzinę?”.

Podniosłem głowę, uśmiechając się do niej, i dopiero wtedy spojrzałem na artykuł, który dla mnie wycięła. Spodziewałem się czegoś, co by się wiązało z dziewiętnastym wiekiem, jakichś wytwornych toalet, jakichś koni. Może też mostu nazwanego imieniem któregoś z moich przodków: Ádáma, Zsigmonda czy Ladislausa Batthyányego – bo moje nazwisko jest na Węgrzech powszechnie znane. Nosili je hrabiowie, książęta, dostojnicy Kościoła. Jeden z moich przodków był w roku 1848 premierem, inny, lekarz Ladislaus Batthyány-Strattmann za swe medyczne zasługi dla Rzymu został w roku 2003 beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II. Historia tej rodziny sięga wypraw przeciwko Turkom w XIV stuleciu – tutaj, na Zachodzie, o tym nazwisku mało kto słyszał, bo też na dobrą sprawę nieczęsto zdarzała się ku temu okazja. Na ogół uważa się je za nazwisko tamilskie, bo liczne igreki kojarzą się widocznie ze Sri Lanką. Do mnie zwracano się w tej sprawie z prośbą o informacje tylko podczas świąt Bożego Narodzenia, kiedy telewizja nadaje trylogię o cesarzowej Sissi, zawsze o jedenastej przed południem – i cesarzowa, grana przez Romy Schneider, tańczy z hrabią Batthyánym, wytwornym arystokratą w błękitnym mundurze i z lśniącą od brylantyny fryzurą.

Podobnie niewinnych scenek spodziewałem się, rzucając okiem na podsunięty fragment gazety – tymczasem zaskoczył mnie całkiem niezrozumiały tytuł: *Gospodyni piekła*, chociaż kobietę na zdjęciu rozpoznałem natychmiast. Ciotka Margit. W marcu 1945 uczestniczyła ona rzekomo w masakrze dokonanej w granicznym austriackim mieście Rechnitz na stu osiemdziesięciu Żydach. Ponoć urządziła huczne przyjęcie z tańcami i dużą ilością alkoholu, po czym

około północy, dla nagłego kaprysu, przyłożywszy każdemu z nagich mężczyzn i kobiet pistolet do czoła – po kolei wszystkich wystrzelała.

Powiedziałem: „Dziękuję” – odsunąłem tekst na bok i wróciłem do migoczącego ekranu komputera. Miałem tylko dwie godziny na dokończenie artykułu o holenderskim dawcy nasienia.

Ciotka Margit? Ta z językiem jaszczurki?

Kiedy byłem dzieckiem, trzy razy w roku spotykaliśmy się z ciotką Margit na obiedzie – zawsze w najdroższych restauracjach Zurychu. Mój ojciec przez całą drogę kłął okropnie, paląc w naszym białym oplu jednego papierosa za drugim, a matka coraz to poprawiała mi włosy plastikowym grzebieniem. Mówiliśmy o niej zawsze „ciotka Margit”, nigdy tylko „Margit”, jakby ta ciotka była jej tytułem. Poślubiła stryja mojego ojca – ich małżeństwo było od początku do końca istną katastrofą. Margit pochodziła z rodziny Thyssenów, słynnych niemieckich miliarderów – jej mąż był zubożałym węgierskim hrabią. Margit miała potężny korpus, ale bardzo cienkie nogi. Do tej pory pamiętam jej kostium, zawsze ten sam, zapięty pod szyję, jedwabne szaliki w końskie motywy i torebki z krokodyłowej skóry koloru bordo, ze złotymi zamkami; i jak opowiadając o rui jeleni czy o podróży statkiem po Morzu Egejskim coraz to wysuwa czubek języka niczym jaszczurka. Ja zawsze siedzę jak najdalej od niej – bo ciotka Margit nie znosiła dzieci – i dziobiąc widelcem w talerzu z drobno pokrajaną cielecą wątróbką, co chwila zerkam, byle ułoić ten jaszczurczy język.

Po jej śmierci wspominaliśmy ją rzadko i moje emocje związane ze wspólnymi obiadami coraz bardziej się zacierały aż do chwili, kiedy przeczytałem ów artykuł dotyczący jednej miejscowości w Austrii. Rechnitz. Był tam opis pewnego przyjęcia. I okrutnej masakry. Dokonanej na stu osiemdziesięciu Żydach, którzy przed rozstrzelaniem musieli rozebrać się do naga, żeby ich ciała szybciej uległy rozkładowi. A ciotka Margit? Była tam obecna.

Zadzwoiłem do ojca i zapytałem, czy on o tym wiedział. Milczał, słyszałem tylko, jak odkorkowuje butelkę wina. Wyobrażałem sobie, że siedzi na swojej ulubionej, mocno wysłużonej kanapie w swoim budapeszteńskim mieszkaniu.

– Margit zadawała się wprawdzie nieraz z nazistami, w rodzinie nie było to tajemnicą.

– W gazecie napisali, że urządziła przyjęcie, którego główną atrakcją, tak zwanym clou programu, było spędzenie stu osiemdziesięciu Żydów do jakiejś

szopy, po czym wszystkim kompletnie pijanym gościom wręczono pistolety i nakazano strzelać. Wszystkim, nie wyłączając Margit. Nazwana została „gospodynią piekła”. W gazetach angielskich pisano o niej *killer countess*. Zaś niemiecka gazeta „Bild” zatytułowała swoją relację: *Podczas libacji z nazistami hrabina z domu Thyssen kazała rozstrzelać 200 Żydów*.

– To jakaś bzdura. Niewątpliwie doszło wtedy do zbrodni, ale żeby Margit miała z tym coś wspólnego, to uważam za absurd. Ta kobieta była potworem, ale do czegoś takiego nie byłaby zdolna.

– Dlaczego Margit miałyby być potworem?

* * *

Przed ukazaniem się w prasie artykułu o Rechnitz i ciotce Margit dzieje mojej rodziny mało mnie interesowały. Zresztą nie miałem właściwie okazji, żeby się z nimi zetknąć. Gdybym się urodził na Węgrzech, wyglądałoby to zupełnie inaczej – bo tam co krok trafiałbym na miejsca i gmachy upamiętniające moich przodków. Dzieciństwo spędziłem jednak nie w Budapeszcie, ale w czteropokojowym mieszkaniu na przedmieściu Zurychu. Kiedy skończyłem osiem lat, przenieśliśmy się o sto metrów dalej, do szaroburego szeregowca w kształcie kostki Rubika, którą w latach osiemdziesiątych wszyscy w tę i w tę obracali w palcach. Mieliśmy w ogrodzie stół do ping-ponga i ogromną lodówkę w amerykańskim stylu, pozostawioną przez poprzednich właścicieli. Po otwarciu zamrażalnika niezwykle apetycznie w nim pachniało – trzeba było tylko wsunąć głowę głęboko, poza zamrożony groszek. Jeszcze lepiej pamiętam zapach stacji benzynowej, gdzie zatrzymywaliśmy się czasem, wracając późno z niedzielnej wizyty u przyjaciół rodziców. Siedziałem zawsze z oboma braćmi na tylnym siedzeniu, marząc o tym, aby ojciec musiał po drodze tankować. Opuszczałem wtedy szybę i z zamkniętymi oczami głęboko wdychałem powietrze przez nos. Zapach benzyny, wieczorny chłód i my wszyscy razem w drodze powrotnej do domu – nigdy nie czułem się bardziej bezpiecznie. Kiedy dojeżdżaliśmy na miejsce, udawałem, że śpię, aby ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do mojego pokoju. Jego koszula pachniała winem i papierosami, i wieczornym chłodem – to było moje dzieciństwo.

Podobnie jak wieloryby, które oczekując potomstwa, szukają jak najzaczisniejszej wodnej przestrzeni, tak i moi rodzice wyłączyli się ze świata i tutaj właśnie osiedli. Jednak w przeciwieństwie do wielorybów, których głąb oceanów ciągnie uporczywie z powrotem, moi rodzice pozostali na wybranym przez siebie skraju miasta.

Być może schowali się tutaj przed własną przeszłością. Przed wspomnieniami o Węgrzech, o wojnie, o ucieczce, o ukrywaniu się.

Zamierzali pewnie w tym nieskalanym miejscu zacząć wszystko od nowa, nie wracając pamięcią do przeszłości; chcieli w tym oddalonym od świata zakątku stworzyć sobie nowy dom. I o mały włos by im się to udało.

Szwajcaria nadaje się idealnie do tego, by zacząć wszystko od początku, by strząsnąć z siebie dawne przeżycia – bo nic w tym kraju nie przypomina ani Hitlera, ani Stalina. Obydwa totalitarne systemy: narodowy socjalizm, komunizm, obozy koncentracyjne, gułagi to tytuły rozdziałów w szkolnych podręcznikach do historii. Nie ma tu żadnych pomników ku czci wojennych ofiar, nie spotyka się rodzin – nie licząc imigrantów – które przeżyły koszmary ostatniej wojny. Nikomu nie przyszłoby do głowy pytanie: „Co robiłeś podczas wojny, dziadku?”. Nikogo stąd nie deportowano ani nie zagazowano. Nie potrzeba tu niczego „przetrawiać” ani „sobie wyrzucać”, jak to opisują w gazetach, kiedy schodzi się na temat o innych krajów. Nie ma tu mowy o żadnej „zbiorowej winie”, o żadnych kryzysach, chyba że dotyczy to banków. Szwajcaria zna tylko lata dobrobytu, ogólnego bezpieczeństwa i beztroski – dotyczy to zwłaszcza czasu mojej młodości, czyli lat dziewięćdziesiątych, kiedy wszystko stawało się coraz bardziej kolorowe, a mieszkańcy dzielnic podmiejskich wyruszali podczas weekendów na swoich rowerach nad coraz to inne jeziora, nazywając to „kołowaniem”.

Tak nieograniczona idylla musiała się udzielać, zdawałoby się. A powszechna beztroska powinna była wpływać na szczęście rodzinne. Nie wszystkich to dotyczyło.

Ani mój ojciec, ani moja matka nie czuli się w Szwajcarii, tym najbardziej rozpieszczonym z krajów Europy, naprawdę jak w domu. Nauczyli się wprawdzie szwajcarskiego dialektu, jeździli na nartach, kupili sobie toster, jak wszyscy, w zimie jedli za przykładem innych raclette, polewali kartofle płynnym serem, tyle że dodawali do sosu trochę więcej papryki. Poza tym jednak brali udział w życiu tego kraju tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Witali się uprzejmie z sąsiadami, ale najchętniej przemykali się chyłkiem do samochodu. W skrytości ducha odnosili się do Szwajcarii i Szwajcarów z lekkim politowaniem, przynajmniej ja to tak dawniej odbierałem. Zdarzającymi się od czasu do czasu ksenofobicznymi uwagami niektórych współmieszkańców na temat naszego humorystycznego nazwiska czy zdziwieniem, że jak na cudzoziemców całkiem przyzwoicie mówimy po niemiecku lub że nasze zardzewiałe auto negatywnie się tu wyróżnia – zupełnie się nie przejmowali, bo byli przekonani, że w tym kraju nigdy naprawdę nie zapuszczą korzeni.

Szwajcarię uważali za państwo niepoważne, które nie znało prawdziwego życia, z dołą i niedołą, ze wszystkimi wzlotami i upadkami, z chwilami autentycznego szczęścia i autentycznego cierpienia. Bo kto nikogo z rodziny nie stracił podczas wojny, kto nigdy nie przeżył niszczycielskiego ataku obcych najeźdźców – czy to armii niemieckiej, czy rosyjskiej – ten nie ma najmniejszego pojęcia o prawdziwym życiu. Dla nich przeszłość była zawsze ważniejsza od przyszłości. To, co dawne, miało większą wartość niż to, co współczesne.

I każde z nich – tkwiąc w owym skromnym domu na przedmieściu Zurychu, tym miejscu bez przyszłości, które mój ojciec miał niebawem opuścić – marzyło pewnie na swój sposób o zupełnie innym życiu.

Dwa lata po zniknięciu żelaznej kurtyny ojciec spakował się i wyjechał do Budapesztu. Matka również opuściła Szwajcarię, wyraźnie bez żalu, czego nie miałem jej nigdy za złe. Nagle wynieśli się więc oboje, pozostawiając mnie jednak z przekonaniem, że żyję w niewłaściwym kraju.

Ja w nim jednak pozostałem, pewnie z lenistwa, i po ukończeniu, wzorem innych, wyższych studiów zostałem dziennikarzem. Pisałem o uzbrojonych gangach dziecięcych w Liverpoolu, sypiałem w przyczepie kempingowej ważnego członka Ku Klux Klanu z Teksasu, całymi dniami biegałem po jednym z przedmieść Zurychu, zbierając materiały do reportażu o zbiorowym gwałcie dokonany na trzynastoletniej dziewczynce, wreszcie zasiadłem na kanapie holenderskiego dawcy nasienia obok dwóch lesbijek, które pragnęły mieć wspólne dziecko. Patrzyłem, jak ów dawca wręcza kobietom małe naczynko i strzykawkę, za pomocą której jedna z nich miała sobie wstrzyknąć jego nasienie.

– Wskoczę tylko coś kupić! – krzyknął, stojąc już w progu. – A może miałybyście na coś ochotę? Na colę czy chipsy?

Obie potrzęsnęły głowami zaskoczone. One czekały przecież tylko na dziecko.

Wprawdzie z Węgier pochodzili moi rodzice, ale co ja miałem z tym krajem wspólnego? Niedawno skończyłem trzydzieści lat i właśnie się po uszy zakochałem – tak że drugą wojną światową i zbrodnią dokonaną na stu osiemdziesięciu Żydach nie musiałem się specjalnie przejmować. Uważałem, że mamy tu, na miejscu, dość własnych problemów, takich jak migracja, globalizacja, totalne zagubienie – pisałem więc o rozbuchanej konsumpcji, rozbuchanej pornografii, o nadmiarze wszystkiego.

Jednak po spotkaniu z historią własnej rodziny owego poranka, kiedy to w osobie wymienionej przez autora sensacyjnego artykułu rozpoznałem ciotkę –

z miejsca przystąpiłem do szukania odpowiednich źródeł, by sprawdzić wiarygodność podanej w prasie wiadomości. Zwróciłem się do dalekich krewnych w Wiedniu, Budapeszcie i Monachium. „Cześć – pisałem – nie znamy się wprawdzie, ale jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Czy czytaliście ostatnio opis pewnego wydarzenia? Czy wam coś o tym wiadomo?”. Zdobyłem wszelkie dane dotyczące ciotki Margit i jej męża Ivana, który był bratem mojego dziadka; przeczytałem wiele książek dotyczących rodu Thyssenów, historii Węgier, spędziłem mnóstwo czasu w archiwach Berlina i Brna, Budapesztu i Grazu, często także rozmawiałem z moim ojcem. Ciotka Margit stała się przyczyną mojej wyprawy w przeszłość, z jej powodu po raz pierwszy w życiu zostałem zmuszony do konfrontacji z własnym pochodzeniem.

To masakra dokonana na stu osiemdziesięciu Żydach zbliżyła mnie do własnej rodziny.

Pewnej wiosennej niedzieli roku 2009 wybrałem się po raz pierwszy do Rechnitz, żeby sprawdzić, co moja ciotka miała naprawdę z tą zbrodnią wspólnego. Wcześniej rano dojechałem nocnym pociągami z Zurychu do Wiednia, skąd wynajętym samochodem ruszyłem drogą pośród lasów i winnic. Owoce winogron były jeszcze drobne i twarde. Rechnitz nie jest miejscem szczególnie urodziwym – składa się na dobrą sprawę z jednej głównej ulicy, po której lewej i prawej stronie stoją nieduże domki o wąskich oknach z nieprzejrzyistymi zasłonami. Nie ma tam żadnego centralnego placu, żadnego rynku, a po zamku, który niemiecki bogacz, potężny przedsiębiorca i kolekcjoner sztuki Heinrich Thyssen, zapisał w testamencie swojej córce, a naszej ciotce Margit, nie ma już śladu. Zbombardowali go Rosjanie, wkraczając do wsi w 1945 roku, wszystkie zaś meble, obrazy i dywany zgarnęli sąsiedni mieszkańcy.

Stowarzyszenie „Refugius” obchodzi regularnie rocznicę śmierci pomordowanych Żydów. Przy wjeździe do wsi, gdzie prawdopodobnie została dokonana zbrodnia, stoi dzisiaj pomnik, wokół którego mieszkańcy śpiewają i modlą się. O tej zbrodni nie wolno zapomnieć – powtórzono to i tym razem. Stałem na uboczu – nikogo tu nie znałem – i rozglądałem się dokoła: słońce świeciło, kwitły mlecze, sięgająca kostek trawa była jeszcze lekko wilgotna, a gdzieś pod nią znajdowało się sto osiemdziesiąt czaszek. Mimo wieloletnich poszukiwań tego masowego grobu do dziś nie udało się odnaleźć.

* * *

W nocy z 24 na 25 marca 1945 roku olśniewająco świeci księżyc. Na zamku, którego panią jest Margit Batthyány-Thyssen, w miejscowości Rechnitz, w Burgenlandzie, tuż przy granicy z Węgrami, odbywa się uroczyste przyjęcie. Członkowie gestapo i lokalni nazistowscy notable, jak SS-Hauptscharführer Franz Podezin czy Josef Muralter albo Hans-Joachim Oldenburg, zajęci ożywioną rozmową z chłopcami z Hitlerjugend i z pracownikami zamku,

popijają szampana. Dla narodowych socjalistów wojna jest już przegrana: Rosjanie stoją nad Dunajem – ale goście nie zamierzają psuć sobie nastroju. Jest godzina ósma wieczorem. Równocześnie na dworcu w Rechnitz czeka około dwustu Żydów, przymusowych robotników z Węgier, zwiezionych tu do budowy wału południowo-wschodniego, gigantycznej linii obronnej prowadzącej przez Polskę, Słowację i Węgry aż po Triest – jej zadaniem jest odparcie nadciągającej Armii Czerwonej. O wpół do dziesiątej wieczorem Franz Ostermann ładuje część Żydów do swojej ciężarówki, by ich przekazać czekającym niedaleko czterem członkom SA, którzy wciskają więźniom do rąk łopaty, nakazując im wykopać podłużny rów.

Węgierscy Żydzi zabierają się do roboty, ale są osłabieni i wyczerpani, a ziemia jest zmarznięta i twarda – tymczasem na zamku ciotki Margit goście uczują i tańczą. W pewnej chwili dowódca oddziału SS Franz Podezin zostaje wezwany do telefonu. Ponieważ w salonie jest zbyt głośno, musi przejść do sąsiedniego pokoju. Rozmowa trwa krótko. Podezin mówi: „Tak, tak!” i kończy: „Cholerne świństwo!”. Po czym zleca Hildegardzie Stadler, przewodniczącej miejscowego Bund Deutscher Mädel ¹ skrzyknąć do osobnego pokoju kilkunastu spośród uczujących w salonie. „Żydzi czekający na dworcu są chorzy na tyfus – oświadcza zebrany – i trzeba ich wszystkich rozstrzelać”. Nikt nie protestuje. Odpowiedzialny za broń Karl Muhr wręcza uczestnikom przyjęcia karabiny i amunicję. Jest tuż po dwudziestej trzeciej. Na dziedzińcu zamkowym czekają trzy samochody. Nie wszyscy się w nich mieszczą, część musi iść pieszo. Ale nie mają daleko.

* * *

Zadzwońłem do ojca.

– Wiedziałeś – zacząłem – że owej nocy ciotka Margit była tam przez cały czas obecna. I wiedziałeś o tej masakrze.

– Tak, wiedziałem.

– I nie przyszło ci do głowy, że ona mogła być w to zamieszana?

– Czy to ma być przesłuchanie?

– Pytam tylko.

– Do głowy by mi nie przyszło, że między tamtym przyjęciem i ową masakrą istniał jakiś związek, co sugerują ostatnio gazety. Zaczekaj chwilę...

Usłyszałem, jak się rozkaszał i jak wyjmuje papierosa.

– Za dużo palisz.

– Co porabia malutka?

– Rośnie jej trzeci ząb i zaczyna raczkować. Dlaczego nigdy nie rozmawiałeś z Margit o wojnie?

– O co miałbym ją pytać? Słuchaj, ciociu Margit, może jeszcze łyżeczek wina? A poza tym, czy ty, ciociu, strzelałaś do Żydów?

– No właśnie.

– Nie bądź naiwny. Te wizyty miały charakter czysto kurtuazyjny. Rozmawialiśmy przeważnie o pogodzie, a ona psy wieszala na wszystkich członkach naszych rodzin. Banda matołów, tak określała zarówno Thyssenów, jak i Batthyányich, uważając ich wszystkich za mocno ograniczonych umysłowo. „Banda matołów”, to było jej ulubione określenie. Pamiętasz chyba ten jej niewyparzony język?

* * *

Między północą i godziną trzecią nad ranem właściciel wypożyczalni samochodów ciężarowych Franz Ostermann odbywa siedem razy tę samą drogę od dworca kolejowego do Kreuzstahl, za każdym razem wioząc od dwudziestu do trzydziestu Żydów, których przekazuje czekającym tam czterem członkom SA. Żydzi muszą się rozebrać, złożyć swoje ubrania przed wykopanym rowem, po czym nadzy klękają na brzegu swego grobu w kształcie litery L. Podezin stoi w pogotowiu, podobnie jak Oldenburg – obaj są fanatycznymi narodowymi socjalistami. Strzelają Żydom w kark. Josef Muralter, członek NSDAP, krzyczy, naciskając spust: „Wy świnie, won do piekła! Zdrajcy ojczyzny!”. Żydzi osuwają się do wykopanego dołu i pozostają tam, spiętrzeni jedni na drugich. Tymczasem w zamku otwiera się coraz to nowe butelki szampana, ktoś gra na harmonii. Margit jest młoda i lubi wesoły nastrój, jest najpiękniej ubrana ze wszystkich. Jeden z kelnerów o imieniu Viktor zauważa, że goście, którzy o trzeciej nad ranem zjawili się znów na sali, szczególnie żywo gestykują i mają dziwnie zaczerwienione twarze. SS-Hauptscharführer Podezin, domniemany przywódca, który przed chwilą strzelał w głowy kobietom i mężczyznom, tańczy teraz z wielkim ożywieniem.

Nie wszystkich Żydów rozstrzelano owej nocy. Osiemnastu pozostawiono jeszcze przy życiu. Polecono im zasypać dół ziemią. Mieli spełnić obowiązek grabarzy. Dwanaście godzin później, wieczorem 25 marca, na rozkaz Hansa-Joachima Oldenburga, kochanka Margit, zostali również zastrzeleni i pogrzebani w pobliżu rzeźni.

Po wojnie siedem osób oskarżono o wielokrotne morderstwo dokonane ze szczególnym okrucieństwem lub o ludobójstwo. Byli to: Joseph Muralter, Ludwig Groll, Stefan Beigelbeck, Eduard Nicka, Franz Podezin, Hildegard

Stadler i Hans-Joachim Oldenburg. Jednakże w roku 1946 proces trzeba było przerwać, ponieważ dwaj główni świadkowie zostali zamordowani. Pierwszym był Karl Muhr, odpowiedzialny za skład broni na zamku. Owej nocy 24 marca wręczał późniejszemu sprawcom karabiny, po czym musiał spojrzeć im wszystkim w twarz. Rok później Muhr leżał z kulą w głowie w lesie obok swojego martwego psa, a jego dom stał w płomieniach. Łuska naboju, zabezpieczona przez policję na miejscu zbrodni, znikła. Drugim zamordowanym był świadek naoczny Nikolaus Weiss. Przeżył masakrę ukryty w szopie należącej do stałych mieszkańców Rechnitz. Rok później jego samochód został ostrzelany na drodze do Lockenhaus, spadł w poślizg i Weiss zginął na miejscu.

Po obu tych morderstwach mieszkańcy Rechnitz żyli w strachu przed zemstą sprawców. Nikt nie miał odwagi mówić. Powszechne milczenie trwało do dziś. W latach siedemdziesiątych miejsce to stało się symbolem sposobu, w jaki Austria obchodzi się ze swoją narodowosocjalistyczną przeszłością. Nazwa Rechnitz kojarzy się z niepamięcią.

15 lipca 1948 roku Stefan Beigelbeck i Hildegard Stadler zostali uniewinnieni. Ludwiga Grolla skazano na osiem lat ciężkiego więzienia, Josefa Muraltera na pięć lat, a Eduarda Nickę na trzy lata więzienia. Podezin i Oldenburg, dwaj główni oskarżeni, zbiegli. Policja burgenlandzka podejrzewała, że hrabina Margit Batthyány-Thyssen ukryła ich w Szwajcarii, gdzieś w górach nad brzegiem jeziora Lugano.

Wiedeński Interpol zawiadomił o tym telegraficznie władze lugańskie 28 sierpnia 1948 roku: „Istnieje podejrzenie, że dwaj oskarżeni zamierzają udać się do Ameryki Południowej. Proszę o zatrzymanie ich”. Rozkaz aresztowania obu zbiegów wysłano 30 sierpnia 1948 roku, nie odniósł on jednak skutku.

Prokurator austriacki, doktor Mayer-Maly, który dążył do wyjaśnienia okoliczności masakry, oświadczył w mowie końcowej: „Prawdziwych morderców dotychczas nie odnaleziono”.

* * *

Pod koniec sierpnia udałem się do Rechnitz po raz drugi; winogrona były już czerwone, drzewa pachniały latem. Odwiedziłem Annemarie Vitzthum – miała osiemdziesiąt dziewięć lat i była pewnie ostatnią żyjącą uczestniczką zorganizowanego przez Margit przyjęcia.

– Specjalnie się na tę okazję wystroiłam – wspominała. – Siedzieliśmy przy okrągłych stołach w małej salce na parterze, hrabina z małżonkiem też tam z nami byli. Hrabina Margit wyglądała jak jakaś księżniczka, miała przepiękną suknię.

Coraz to wchodzili tam i wychodzili jacyś mężczyźni w mundurach, ale Annemarie Vitzthum nie pamiętała ich nazwisk.

– Przez cały czas panowało okropne zamieszanie. – To samo mówiła prokuratorowi w roku 1947, podczas przesłuchania. – Wszyscy pili wino, tańczyli, ale ja nie brałam w tym udziału, byłam przecież prostą dziewczyną, pracowałam na zamku jako telefonistka.

Okolo północy jeden z żołnierzy odprowadził ją do domu, do tego czasu hrabina nie opuszczała zamku.

– O tych Żydach – mówiła pani Vitzthum, podczas gdy jedliśmy placek drożdżowy z kruszonką jej roboty – dowiedziałam się dopiero później. To naprawdę straszna historia.

Prosto stamtąd udałem się do Klause Gmeinera. Był on leśniczym w służbie ciotki Margit i ostatnim człowiekiem, który widział ją żywą. Margit posiadała w Rechnitz tysiąc hektarów lasu i co roku przyjeżdżała tam na polowanie.

– Była wspaniałą strzelczynią, zdobyła ogromne doświadczenie dzięki polowaniom w Afryce. Bardzo się cieszyła, kiedy udało jej się ustrzelić jakąś zwierzynę, jelenia czy sarnę. Widziałem wtedy, że jest naprawdę szczęśliwa.

Przez wszystkie te lata ani razu nie było między nimi mowy o czasach nazizmu, zapewniał Gmeiner, który, podobnie jak wszyscy miejscowi, wielił Margit. Z tamtą zbrodnią nie miała na pewno nic wspólnego.

– Byliśmy właśnie na podchodzie – opowiadał o ostatnim wieczorze przed jej śmiercią – kiedy ona swoim niezawodnym okiem wypatrzyła jelenia.

Zwierzę wykonało jeszcze w jej stronę dwadzieścia, może trzydzieści chwiejnych kroków, Gmeiner dokładnie to pamiętał, po czym runęło. Pamiętał też, jak się tego samego wieczoru skarżyła, że ludzie dopraszają się wciąż o pieniądze.

– To było jej ostatnie zdanie.

Następnego ranka nie zjawiała się już na śniadaniu.

* * *

– Jak tam było w Rechnitz? Dowiedziałeś się czegoś nowego? – wypytywał mnie ojciec przez telefon.

Mówił zmęczonym głosem. Parę tygodni temu przed drzwiami jego letniego domku nad Balatonem zjawił się mały piesek, zwykły kundelek, który od tamtej pory na krok go nie odstępował.

– Co tam porabia twój kundelek?

- Jest dość męczący.
- Ale chyba go polubiłeś?
- Opowiedz lepiej o Rechnitz.
- Ludzie we wsi zwracali się do mnie per panie hrabio, a niektórzy nawet przede mną dygali.
- Straszna ta staroświecka unizoność.
- Świadkowie twierdzą, że mąż Margit, Ivan, też był obecny na tym przyjęciu.
- W rodzinie panowało przekonanie, że tamtego wieczoru był na Węgrzech.
- Każdy opowiada tę historię inaczej. Rodzina nie chce o tym w ogóle słyszeć i o roli Margit nikt nawet nie próbował niczego się dowiedzieć; media dybią na nagłówki w rodzaju *Krwawa hrabina*, a mieszkańcy Rechnitz najchętniej zamietliby całą sprawę pod dywan. Dla nich ciotka Margit jest święta.
- A tobie o co chodzi?

Na początku moich dociekań chciałem się dowiedzieć, co się wtedy naprawdę wydarzyło. Przeszukiwałem archiwa, pisałem listy, wertowałem akta sprawy Rechnitz, dotarłem do dokumentów szwajcarskiej służby ochrony państwa dotyczących osoby Margit i zacząłem się zastanawiać, który z członków naszej rodziny o tej zbrodni wiedział i dlaczego nikt o tym nie mówił. Jakże często bywałem świadkiem rozmów moich dziadków, dotyczących od dawna nieżyjących ciotek czy jakichś zdziwaczałych wujów, czy wreszcie dawnej chwały Węgier, kiedy ludzie bywali jeszcze dobrze wychowani i miewali dobry gust. Dlaczego nikt nigdy nie wspominał o Rechnitz? Dlaczego nigdy nie było mowy o tamtym grobie? Liczyłem na to, że znajdę gdzieś jakąś wzmiankę o miejscu, w którym pogrzebano owe sto osiemdziesiąt ciał. Że ktoś zechce ze mną o tym porozmawiać, słysząc, że należę do rodziny.

I w końcu jakiegoś zimowego wieczoru doszło do przypadkowego spotkania, które rozwiązało pewne problemy. Wyszliśmy z grupą przyjaciół na miasto i w którejś restauracji spotkaliśmy znajomego siedzącego przy jednym stole z niemieckim pisarzem Maximem Billerem. Przysiedliśmy się do nich i w pewnej chwili wypłynęła historia ciotki Margit. Biller o niej słyszał, co mnie zaskoczyło, i to on pierwszy zadał mi owo pytanie: „A co to ma z tobą wspólnego?”.

Nazistowska hrabina, jak się ją w gazetach po dziś dzień określa, i ja?

Takiego pytania się nie spodziewałem. Do tamtej pory nie zadawałem go sobie, bo wydawało mi się absurdalne.

– Ściśle rzecz biorąc – odpowiedziałem Billerowi niepewnie – ona nie jest nawet moją krewną, nazwisko ma po mężu, a z domu była Thyssen. Więc co to ma ze mną wspólnego? – powtórzyłem, żeby zyskać na czasie. – Nic a nic, zresztą wszystko to działo się tak dawno.

Gdybym sobie to pytanie zadał dziś, odpowiedziałbym inaczej. Bo z czasem zmienił się sam przedmiot mojego zainteresowania. Chodziło mi coraz mniej o to, żeby się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło, nie byłem już

dziennikarzem, który przybywa z zewnątrz, robi notatki, gromadzi fakty i wypytuje innych. Teraz sprawa dotyczyła mnie, mnie samego.

Czytałem o stowarzyszeniach wojennych wnuków, o ludziach w moim wieku, którzy z powodu wydarzeń sprzed siedemdziesięciu lat czują się pozbawieni korzeni, zagubieni, jakby się urodzili w próżni. „Odziedziczyli po własnych rodzicach nieprzetrawione przez nich emocje – cytuję – i teraz sami usiłują się wyzwolić z więzów przeszłości”. Wielu dręczy poczucie winy za to, że nie udało im się złagodzić udręk i zagubienia własnych rodziców. Czytałem o przykładach niesłychanej surowości, z jaką moi rówieśnicy potrafili traktować samych siebie, o inscenizowaniu świata totalnej szczęśliwości, żeby zrekompensować poczucie totalnego braku. Jeden z przedstawicieli tego pokolenia napisał: „Chciałbym wreszcie odnaleźć się we własnym życiu”. Ktoś inny pytał: „Co się z nami stało przez to, że nasi rodzice tak uparcie milczeli?”. Ja sam odnajdywałem także siebie w tych wypowiedziach, chociaż nie miałem ochoty należeć do którejkolwiek z istniejących już wspólnot gromadzących towarzyszy pokrewnej niedoli. Nie szukam wsparcia żadnych grup samopomocy.

„Każde pokolenie ma swoje zadania – wyczytałem na którejś ze stron internetowych zajmujących się tym problemem. – Pokolenie rodziców zakasywało rękawy, żeby posprzątać zewnętrzne gruzy. Usuwanie gruzów duchowych to obowiązek wnuków”. Czy naprawdę tak to wygląda? Nie byłoby to zbyt proste? Żeby traumatyczne przeżycia dziadkowie zostawiali w spadku wnukom – o tym rzeczywiście czytałem, ale trudno mi było w to uwierzyć. Tak jakby grad bomb, który mój ojciec przeżył w dzieciństwie, miał usprawiedliwić moją skłonność do melancholii. I jakby dziesięć lat spędzonych przez mojego dziadka w syberyjskim gułagu było przyczyną mojego chimerycznego usposobienia. Może więc jedno z drugim miało jakiś przyczynowy związek – czy też ja sam sobie taki związek wmawiałem?

Czy to nie ja czułem się nieustannie winny temu, że mi się w Szwajcarii za dobrze powodzi? Czy nie zdarzało mi się od czasu do czasu w głębi ducha pomarzyć o jakiejś niewinnej wojence? Czy chociaż o jakimś kryzysiku? A jak często poruszałem jako dziennikarz temat migrantów? Towarzyszyłem pewnej rodzinie opuszczającej Irak, sporo czasu spędziłem w cieplarniach południowej Hiszpanii, a z uchodźcami z Bangladeszu przebywałem w ich obozowisku w Atenach. Skąd to zainteresowanie ludźmi zmuszonymi do ucieczki? Skąd współczucie dla ich cierpienia?

Wychowałeś się przecież w Zurychu, przypominałem sam sobie, z dala od pancernych moździerzy i dziur po pociskach, a więc o co tu chodzi? W szkole suszyłeś rośliny – kaczeńce, tarninę – jakże dumny z zielnika był twój

nauczyciel. A potem ten bekhend we wrześniu 1988. Całkiem nieoczekiwanie dzięki tobie gra wygrana, skarpetki pełne czerwonego piasku – z tego składało się twoje życie, czy było ci za mało? Tak, nigdy nie miałem dość. Zawsze czegoś brakowało. Ten niczym niezmacony świat, który mnie otaczał. Śnieżnobiały jak szorty, które wtedy nosiłem, i kołnierz, który w połowie lat osiemdziesiątych lekko stawiałem – wszystko to nigdy nie było naprawdę moje. I tym samym owo zdanie stawało się coraz prawdziwsze, im dłużej się nad nim zastanawiałem: jestem wojennym wnukiem. Mój ojciec spędził wojnę w piwnicy, dziadek został wywieziony przez Rosjan na Syberię, babka drugiego syna straciła podczas wojny, a ciotka, bratowa dziadka, ponosiła odpowiedzialność za masakrę dokonaną na stu osiemdziesięciu Żydach. Moi krewni byli więc zarówno sprawcami, jak i ofiarami, zarówno ściganymi, jak i myśliwymi, najpierw ich wychwalano, a potem nimi gardzono. Bastardi dziejów współczesnych. Na koniec szli przez życie coraz bardziej zgarbieni, utracili szacunek dla siebie, a potem własny głos. „Byliśmy rodziną kretów – pisała w swoim dzienniku moja babka Maritta. – Wycofaliśmy się całkiem, przestaliśmy w cokolwiek wierzyć i zapadliśmy się w sobie, z głową pod ziemią, wciąż tylko upokarzani”.

A jak było ze mną?

Pamiętam jedną z ostatnich wizyt u babki w Budapeszcie. Musiało to być w roku 2006, o Rechnitz jeszcze wtedy nie słyszałem. Przez ostatnie lata swego życia babka była wręcz opętana myślą o spisaniu własnej biografii. W ciągu pierwszych miesięcy próbowała jeszcze stukać na maszynie – był to model z lat siedemdziesiątych, z taśmą barwiącą. Wkrótce okazało się to zbyt męczące, więc dalej pisała już ręcznie, pismem przypominającym czasy, kiedy po mieście jeździło się powozami.

– Jak ci idzie pisanie wspomnień? – zapytałem, na co ona zerwała się z fotela jak oparzona i pobiegła do kuchni znajdującej się na końcu długiego korytarza, żeby zająć się herbatą. Słyszałem, jak grzebie w szufladzie, szukając małych łyżeczek.

– Czy są już pierwsze rozdziały? – pytałem dalej, nie czekając na te wspomnienia z prawdziwą niecierpliwością – pytałem tylko z grzeczności; bo tak naprawdę nigdy nie mieliśmy wspólnych tematów do wspominania. Próbowałem tylko pokonać barierę utrudniającą nam każdą rozmowę.

Babka wyjęła mleko z lodówki i naląła je do małej filiżaneczki – musiało jej się jednak trochę wylać, bo krzyknęła: „*Nem jó!*” (Ojej!) Usłyszałem też, jak płaską dłonią uderza się ze złością po udzie, po czym gąbką wyciera parę wylanych kropli z podłogi – i wtedy zagwizdał czajnik. Na najniższych półkach regału stały zdjęcia krewnych, których nazwisk nie byłem w stanie zapamiętać. Musiałem się za każdym razem schylić, żeby im się przyjrzeć i przed nimi pokłonić. Kto wie, może o to tu właśnie chodziło. Na ścianach wisiały poźółkle sztychy ukazujące w zarysach Węgry podczas ich monarchistycznej świetności, przed pierwszą wojną światową. Odkąd sięgnę pamięcią, mój ojciec i babka nie rozmawiali o niczym innym, a ja kiwałem tylko głową, chociaż ten temat nigdy mnie nie interesował. Kiedy pewnego razu zapytałem o te dawne dzieje, na przykład jak wyglądały wtedy polowania albo dlaczego Węgrzy byli antysemitami (o czym ostatnio często była mowa) – to zawsze słyszałem tę samą odpowiedź: „*Nem érted*”. (Ty tego nie zrozumiesz). Słowa te towarzyszyły mi od dzieciństwa i do dziś mnie prześladują.

„Ty tego nie zrozumiesz” – powtarzają dawno zmarli panowie z fotografii, które mijam, zgięty we dwoje.

„Ale ja przecież o tym wszystkim czytałem. Czego wy jeszcze ode mnie chcecie?” – tłumaczę im z irytacją.

„Wszystko to same bzdury – odpowiadają. – Daruj sobie te łągarstwa” – burczą chórem.

„Ale ja...”.

„Czy ty wiesz, co to jest cierpienie?”.

„Cierpienie?”.

„Czy wiesz, co to znaczy Grandeln?”.

„Grandeln?”.

„Czy straciłeś kiedy rodzinny dom, swoją ojczyznę, swój kraj?”.

„Ale przecież...”.

„Daj sobie spokój – przerywają mi tonem cesarsko-królewskich oficerów. – Ty tego i tak nie zrozumiesz”.

– O czym to mówiliśmy? – zapytała mnie moja babka. Wróciła z kuchni z herbatą, na tacy miała dwie białe filiżanki z ozdobnymi uszkami, mocno poobtłukiwaną cukierniczkę i dzbanuszek z mlekiem. Nie zauważyłem jej wejścia, stojąc pod oknem, z nosem przyciśniętym do zimnej szyby, patrzyłem na bramę prowadzącą do zamku, na węgierskie flagi powiewające na wietrze i skrzypka w barokowym stroju i w peruce, kwitującego ukłonem każdy datek wrzucany przez przechodzących turystów do przeznaczonej na ten cel skarbonki.

– Pytałem, czy jest już coś do poczytania z pisanych przez ciebie wspomnień – odpowiedziałem, patrząc jej w oczy. Pominęła moje pytanie uśmiechem.

– Jak ci przeszła podróż? – zapytała.

Te moje podróże trwały zwykle po trzy dni. Siedzieliśmy sobie na niebieskiej kanapie w okropnie przegrzanym saloniku, a czas dłużył się niemiłosiernie. Staraliśmy się oboje podsycać nikły strumyczek naszej konwersacji aż do ostatniego wieczoru.

– Zupa była naprawdę doskonała – powiedziałem, czując się niczym popularny emeryt występujący w austriackiej telewizji.

– Jest, oczywiście, domowej roboty – odpowiedziała.

I ta wypowiedź nie pasowała do niej, podobnie jak moja do mnie. Zupełnie jak byśmy grali role babki i wnuka.

Również nasz spacer dzień wcześniej ze zbieraniem kasztanów miał w sobie coś sztucznego: przeskakując ostrożnie z tematu na temat, poruszaliśmy się jak po polu minowym.

Na pożegnanie babka trzymała mnie za każdym razem trochę dłużej w ramionach.

– *Nagyon szeretlek* – szeptała mi do ucha – bardzo ciebie Kocham, na co ja, równie konspiracyjnie, ściszałam jej kościste ramiona. Czyżbyśmy robili coś zabronionego? Po raz ostatni zobaczyłem moją babkę w szpitalu położonym gdzieś w śródmieściu Budapesztu. W jednym z tych olbrzymich budynków o sadzą pokrytych fasadach, po których trudno się było zorientować, czy mieści się tam opera, więzienie czy właśnie klinika. Biedna babka była bardzo chuda i jakby zagubiona w ogromnym szpitalnym łóżku. Poszedłem do małego kiosku za rogiem i kupiłem jogurt, red bulla, herbatniki i czekoladę, bo ojciec powiedział, że szpitalne jedzenie jest paskudne, a ona powinna nabrać sił. Kiedy wróciłem z moimi zakupami – a wszystkie miały bardzo kolorowe opakowania z napisami: *energy* i *power*, które zupełnie do niej nie pasowały – babka spojrzała na mnie z przerażeniem, potrząsając głową. Wyraźnie nie miała już na nic sił.

Na łożu śmierci słabym głosem zaklinała mojego ojca, żeby obiecał spalić spisane przez nią notatki. Było to jej ostatnie życzenie i ojciec trzymał ją za rękę, ale obietnicy nie dotrzymał. Babka umarła 1 maja 2009 roku, bardzo chłodnego ranka. Siedziałem wtedy w jakiejś kawiarni w Zurychu, obserwując przez okno liczne fontanny, jak co roku gotowe do akcji w związku z obchodami dnia pracy, kiedy otrzymałem wiadomość od ojca. Tylko jedno zdanie, że babka w nocy umarła. Zapłaciłem rachunek i pobiegłem, mijając po drodze młodych ludzi w palestyńskich chustach, z transparentami w rękach, domagających się śmierci banków; a także aktywistów kurdyjskich, Tybetańczyków, feministki, rozwrzeszczanych nastolatków w bluzach z kapturami, po czym otworzyłem drzwi mojego mieszkania i wyjąłem z kołyski córeczkę, która miała wtedy trzy miesiące. „Twoja prababcia nie żyje”, szepnąłem jej do uszka. Przez sen potarła oczy piąstkami, a ja żałowałem tego zdania już w chwili, kiedy je wypowiadałem.

Zamiast zniszczyć dziennik ojciec wpakował wszystkie kartki do zgniętej teczki, dołożył listy i notatki, które znalazł w dolnych szufladach jej sekretarzyka, włożył wszystko do plastikowej torby i schował całość do szafy u siebie w domu. Nie przeczytał ani linijki, ani jednego słowa. Zdawał sobie sprawę, że nie spełnił jej ostatniego życzenia, ale nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Kiedy w dwa lata po jej śmierci wręczał mi tę torbę, nie był zbyt

rozmowny. Siedzieliśmy przy stoliku w rogu w Da Lello, restauracji jego ulubionego Włocha, przy ulicy Márvány w Budapeszcie, kiedy oddawał mi bez słowa to, co pozostało po jego matce.

Dzienniki I

Maritta

Od samego rana panowało w domu ogromne podniecenie. Goga, Sophie, wszystkie pokojówki i cała pozostała służba biegła po korytarzach, niosąc świeże prześcieradła, przegotowaną wodę, owoce. Psy ujadły. Nikt nie wypowiadał tu słowa „poród”, wszyscy używali o wiele wytworniejszego francuskiego określenia *l'événement*, które do tego miejsca zupełnie nie pasowało – do Sárosd, węgierskiej wioski, najdalej na wschód wysuniętego krańca Europy, gdzie nie było nic oprócz paru chłopów uprawiających swoje pola przy pomocy osłów; wiecznie ciężarnych cygańskich dziewcząt, których dzieci w zimie często zamarzały na śmierć; i pałacu o grubych żółtych murach, licznych wieżyczkach i wykuszach, w którym mieszkali moi rodzice i moja starsza siostra. Nawet Peti i Zoli, stary stangret i siodlarz, który miał lewą nogę sztywną, mówili o „levenma”, z tym że w ich wersji głoska „a” miała szczególnie głębokie brzmienie, podobnie jak podczas polowania wołali „iro!” i „obak!” zamiast *tire haut!* i *au bas!* Wyciągnęli stary moździerz pancerny, który pozostał po pierwszej wojnie światowej, zapomniany wśród winorośli, zaprzęgli do niego konie i zawlekli na wysypyany żwirem dziedziniec, gdzie pozostały po tej akcji głęboko wyżłobione bruzdy. Owego dusznego wieczoru 31 czerwca 1922 roku miały zabrzmieć salwy rozpędzające burzowe chmury. O godzinie wpół do ósmej nadszedł oczekiwany moment i pięć ogłuszających wystrzałów wleciało ku niebu. I wtedy ja przyszedłam na świat, otulona w najdelikatniejsze batystowe pieluszki.

Agnes

Mam na imię Agnes, ale mówią do mnie Agi. Urodziłam się w roku 1924 w Sárosd, małej wiosce na Węgrzech, gdzie mieszkało wtedy sześć żydowskich rodzin. My byliśmy jedną z nich. Miałam o dwa lata młodszego brata Sándora, mój ojciec miał na imię Imre, a matka – Gitta. Byliśmy tym, co się nazywa normalną rodziną. I klasą średnią, jakby się to dzisiaj określiło, ani bogatą, ani biedną. Mieliśmy niemiecką nianię i dzięki temu nauczyłam się trochę

niemieckiego. Do szkoły powszechnej chodziłam w naszej wsi, później rodzice posłali mnie do szkoły z internatem w Budapeszcie, gdzie czułam się bardzo samotna, co dzień płakałam, tęskniąc za moim dawnym życiem. Dopiero stopniowo, mniej więcej po roku, zaczęłam przyzwyczajać się do tego internatu, a kiedy skończyłam czternaście lat, rodzice wynajęli mi pokój przy jakiejś rodzinie.

Mój brat Sándor mieszkał też w Budapeszcie, ale nie spotykaliśmy się zbyt często. Rano szliśmy do szkoły, a po południu uczyliśmy się albo pracowaliśmy. Bo ja dodatkowo odbywałam praktykę w znanej cukierni Ruszwurm w Dzielnicy Zamkowej. Moi rodzice uważali, że czekają nas trudne czasy i że powinnam nauczyć się czegoś pożytecznego. W najgorszym razie, mówili, będę musiała wyjechać do Australii, bo tam mieszka jakaś nasza kuzynka. Nie chciałam w ogóle tego słuchać. Bo co takiego złego mogło mnie spotkać?

Maritta

Kiedy mój ojciec mnie zobaczył, pokiwał głową i nawet się uśmiechnął, ścisnął wszystkim naokoło ręce, zajrzał na chwilę do pokoju, gdzie stało łóżko, zobaczył plamy krwi i swoją żonę, którą opatrywały pielęgniarki, spojrzął na ścianę, gdzie wisiał stary sztych przedstawiający Jezusa z włosami do ramion i cierpiącym wyrazem twarzy. Może o rozczarowaniu lepiej tu nie mówić, ale wielkim sukcesem dla niego nie byłam.

Nigdy nie słyszałam żadnych wyrzutów, ale jedno było jasne: moi rodzice o niczym bardziej nie marzyli, jak o przyjsciu na świat syna. Dziedzica. Będąc kobietą w roku 1922 na Węgrzech, i to na wsi, nie byłas nic warta. Czy to uległo teraz jakiejś zmianie, śmiem wątpić. Tyle że mnie przypadło i tak w udziale życie uprzywilejowane. Piłam mleko od krowy specjalnie dla mnie wybranej, nosiłam, w przeciwieństwie do innych wiejskich dzieci, buty odpowiednie do panujących u nas surowych zim, a w lecie białe sukienki z falbankami, miałam własną pokojówkę, kucharzy i nauczyciela francuskiego o imieniu Louis, który mnie uczył dobrych manier.

Jednakże uprzywilejowanie nie było równoznaczne z rozpieszczaniem, nie należy tego ze sobą łączyć. Nie wyglądało to wtedy tak, jak dziś, kiedy zamożni rodzice starają się spełniać najbardziej ekstrawaganckie życzenia swoich dzieci. Nam nie było wolno niczego sobie życzyć, zakazane były wszelkie skargi, nie wolno narzekać – to stanowiło wtedy najważniejsze przykazanie. Zachowywać się z godnością. Pokój dziecienny mój i mojej siostry był urządony iście po spartańsku, jak najmniej zabawek, ogrzewanie jak najbardziej oszczędne, słodczy tylko przy wyjątkowych okazjach. Z pieniędzmi aż do czasów młodości

nie miałam w ogóle do czynienia – kojarzyły się one z czymś zabronionym, wręcz wulgarnym. Za to plan dnia należało wypełniać z precyzyjną dokładnością: posiłki, modlitwy, lektury. Nasze uprzywilejowane życie wiązało się z wygórowanymi wymaganiami, jakim trzeba było sprostać. Przede wszystkim nie wolno się było wywyższać, to należało do owych podstawowych przykazań. A także obowiązkowe umniejszanie własnych osiągnięć. Nie można było się przyznawać, że się cokolwiek lepiej od innych umie.

Na dwa lata przed moim urodzeniem, 4 czerwca 1920 roku, Węgry podpisały traktat pokojowy w Trianon. Do dziś fakt ten uchodzi za największą tragedię w dziejach tego kraju. Węgry straciły wtedy dwie trzecie swego dotychczasowego terytorium. Po pierwszej wojnie światowej alianci podzielili te tereny między sąsiednie kraje: Rumunia otrzymała Siedmiogród, Republice Czechosłowackiej przyznano teren o powierzchni sześćdziesięciu trzech tysięcy kilometrów kwadratowych, nowemu Królestwu Serbów, Chorwatów i Słoweńców przypadła dzisiejsza Wojwodina, zaś Austrii Burgenland. Potężne niegdyś Węgry zamieniły się w jakieś karłowate państwko. Trianon było dla mojego kraju potężnym szokiem. Przyjaciele i znajomi pamiętają do dziś ten czarny dzień. Przeżyty wtedy ból wspominają tak, jakby to wydarzenie, do którego doszło w pobliżu Paryża, gdzie ów traktat został podpisany, pozbawiło ich rąk i nóg.

Jeszcze w latach trzydziestych każdy dzień w szkole zaczynało się od modlitwy o odbudowę wielkich Węgier: „Wierzę w Boga, wierzę w ojczyznę, wierzę w odwieczną boską prawdę, wierzę w zmartwychwstanie Węgier”.

Doskonale pamiętam furie, jaką wszyscy odczuwaliśmy. Cały kraj krzyczał, chociaż nikt tego krzyku nie słyszał. Okaleczenie naszej ojczyzny sprawiło, że ja i moi rodacy staliśmy się węgierskimi fanatykami. Ogarnęła nas obsesja na punkcie utraconej wolności, w głębi naszych serc byliśmy smutni i zbuntowani.

Podobnie jak wiele innych rodzin, mieliśmy przytwierdzoną do ściany domu plakietkę, na której narysowana była mapa. W tle widać było delikatne kontury naszego dawnego państwa, od Krakowa aż po Triest, od południowego Tyrolu aż po Belgrad, a pośrodku, niby rana, ten żałosny ogryzek, w jaki zamienił się nasz kraj. „Czy tak ma już pozostać?”, takie pytanie widniało na dole mapy, a dalej odpowiedź: „*Nem! Nem! Soha!*”. Nie! Nie! Nigdy!

Podczas gdy w okresie międzywojennym w wielu częściach Europy powstawały już struktury demokratyczne, Węgry pozostawały krajem zacofanym, o ustroju na pół feudalnym, o czym świadczył podział na społeczne warstwy, z których każda miała do spełnienia konkretne zadania. Niezależnie od intelektualnej, kulturalnej i naukowej elity skupionej głównie w Budapeszcie,

a złożonej przede wszystkim z Żydów, węgierskie społeczeństwo składało się z właścicieli majątków ziemskich, przeważnie arystokratycznego pochodzenia, do której to warstwy należała moja rodzina, i z setek tysięcy robotników rolnych.

Były to czasy admirała Miklósa Horthyego, niszczyciela naszego państwa, który zjawiał się w swym urzędzie na siwym koniu, podobnie jak to czynił legendarny książę Árpád. Współcześni historycy spierają się między sobą na temat antysemityzmu Horthyego, który utrudniał Żydom dostęp do studiów, jeszcze zanim wprowadzono w Niemczech ustawodawstwo rasowe. Przez długi czas walczył ramię w ramię z Hitlerem i zdystansował się od niego dopiero w drugiej połowie 1944 roku. Na jego korzyść przemawia podjęcie pod koniec wojny starań powstrzymania transportów do Auschwitz. Jeden z pociągów na rozkaz Horthyego zatrzymano na granicy i nawet udało się go zawrócić, ale odkąd Eichmann zamieszkał w Budapeszcie, Horthy był bezsilny i wtedy nie dawało się już Żydów ratować. Ja na temat Horthyego mogę tylko tyle powiedzieć: jego dwudziestoczteroletniemu panowaniu winna jestem uznanie i wdzięczność. Bo na ten okres przypadło moje cudowne dzieciństwo i beztraska młodość.

Pokolenie moich rodziców było feudalne do głębi swej duszy. Ówczesne życie na wsi można sobie wyobrazić na wzór filmów o plantacjach bawełny w południowych stanach Ameryki: z jednej strony miało się do czynienia z właścicielami plantacji, a z drugiej z ich niewolnikami. Kto miał szczęście, ten trafiał na chlebobawców życzliwie nastawionych do podwładnych. Pechowcy bywali jednak traktowani jak zwierzęta. Mój ojciec traktował swoich pracowników surowo, ale zawsze sprawiedliwie. Jak prawdziwy patriarcha. Pilnował, żebyśmy byli zawsze porządnie uczesani i schludnie ubrani. Na ścianach wisiały portrety przodków – byli to przeważnie mężczyźni w mundurach, na których widniały orderzy otrzymane za wojenne zasługi, i kobiety w strojnych falbaniastych szatach. Nad drzwiami umieszczone były okazałe poroża jeleni. Co dzień trzeba było wypić na śniadanie filiżankę kawy zbożowej – my, dzieci, nie cierpieliśmy tej lury, bo była okropnie gorzka. Na moim spodku leżały zawsze dwie kostki cukru, ale nie mogłam słodzić nimi kawy, bo przecież pozwalanie sobie na przyjemności było surowo wzbronione. Musiałam więc owe kostki odkładać do stojącej pośrodku stołu cukiernicy z wygrawerowanym na pokrywce francuskim napisem: *Pour les pauvres* („Dla biednych”). Nie mam pojęcia, gdzie ta cukiernica się podziała i skąd się wtedy wzięła – wiem tylko, że była ściśle związana z moją młodością, tak jak lanie spuszczone mi przez nauczycieli. Kiedy cukiernica się zapełni, zapewniano nas, kostki cukru zostaną rozdane wiejskim dzieciom – tymczasem ja zauważyłam, że słodzi się tym cukrem ciasto, którym rodzice częstują w salonie swoich gości.

Dzisiejsze dzieci zwróciłyby rodzicom uwagę na takie świętoszkowate, niekonsekwentne postępowanie. My pomijaliśmy to milczeniem.

„Pałac” uważano za określenie zbyt pospolite dla miejsca, w którym mieszkaliśmy, i nazywano je „zamkiem”. Była to budowla w kształcie litery U, okalająca posypany żwirem dziedziniec, pośrodku którego rósł potężny kasztan opasany drewnianą ławką. W pałacu mieściło się co najmniej trzydzieści pokoi, a na jego południowej ścianie skonstruowano sięgającą okien drewnianą kratę, wokół której wiły się pnące róże, czerwone, żółte i białe, w narodowych barwach Węgier. Zapach tych róż unosił się tam przez pół roku, a kiedy nagle zniknął i w jego miejsce pojawiała się woń błota, mokrej ziemi i zgniłych liści, to już nie ulegało wątpliwości, że nadeszła jesień.

Agnes

Wszystko przebiegało jak zwykle, aż do 19 marca 1944 roku. Była niedziela, zadzwoniła do mnie przyjaciółka i zapytała:

– Słyszałaś? Niemcy zajęli Budapeszt.

Nie mogłam w to uwierzyć, bo na ulicach nic o tym nie świadczyło. Owej niedzieli byłam u pewnej znajomej na obiedzie, a potem wybierałam się z bratem do kina, co się nam rzadko zdarzało. Nieczęsto razem gdzieś chodziliśmy, ale właśnie tego dnia on zaproponował:

– Jeśli nie masz żadnych innych planów, to może byśmy poszli do kina.

Siedzieliśmy już na sali, film się właśnie zaczął, kiedy nagle zapalono światło i polecono nam opuścić kino. Bardzo im przykro, powiedzieli, ale muszą przerwać projekcję, ponieważ Niemcy wkroczyli do Budapesztu. Zaskoczeni, wstaliśmy z miejsc i wyszliśmy na ulicę. Wracając do domu, mijałam okazały budynek, w którym mieściła się siedziba strzałokrzyżowców. Już wcześniej nie lubiłam tamtędy przechodzić, ale tego dnia to uczucie się jeszcze nasiliło. Ci mężczyźni w czarnych koszulach, którzy stali przed tym budynkiem i głośno rozmawiali, budzili we mnie lęk.

Następnego dnia miał przyjechać do Budapesztu mój ojciec, chciał załatwić jakieś swoje sprawy – ale ja do niego zadzwoniłam i poprosiłam, żeby nie przyjeżdżał. Co prawda nie sądziłam, że sytuacja może być niebezpieczna, ale uważałam, że tak będzie lepiej. A nuż Niemcy zechcą bombardować tory kolejowe, podobnie jak w innych okolicach Węgier, pomyślałam.

– Dlaczego nie chcesz, żebym przyjeżdżał? – zapytał ojciec. Najwidoczniej ostatnie wiadomości jeszcze do naszej wsi nie dotarły.

– Bo tak będzie lepiej – powiedziałam. Nie chciałam, żeby się niepotrzebnie martwił. Jednak mój głos musiał dać mu do myślenia, widocznie wyczuł moje napięcie. Pamiętam, co na zakończenie powiedział:

– A co będzie z wami?

Maritta

Miałam wtedy szesnaście lat i tylko jedną pasję: moje książki. Polityka nic mnie nie obchodziła, moje życie składało się ze zwykłej codzienności. Mimo że Austria w roku 1938 zawarła sojusz z Niemcami, na Węgrzech nikt nie widział w tym nic szczególnie groźnego. A ja czytałam i czytałam dniami i nocami, i pisałam okropne wierszyki, pełne jakiejś nieokreślonej tęsknoty. O miłości nie miałam jeszcze pojęcia. I w klasztorze Sacré-Coeur, w którym spędziłam ostatnie trzy lata gimnazjum, też nie było o tym mowy. W owej fazie mojego życia postanowiłam temat damsko-męski odłożyć na bok. Moja matka była taka piękna, moja siostra miała tak wielkie powodzenie, że ja z własnej woli usunęłam się w cień i na mężczyzn zerkałam tylko po kryjomu. A jednak, zgodnie z ówczesnym obyczajem, powinnam była i ja przedstawić rodzicom ewentualnego kandydata na męża. Znalazłam się więc w kłopotliwej sytuacji, bo nie miałam pod ręką nikogo. I właśnie wtedy poznałam na balu młodego człowieka, który całkiem nieoczekiwanie wyznał mi miłość, jaką poczuł od pierwszego wejrzenia. Obietnicy, że będzie mnie zawsze kochał, miał dotrzymać przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Feri pozostał jedynym mężczyzną w moim życiu. I nasze małżeństwo przetrwało aż do jego śmierci. Było to zresztą szczególne małżeństwo.

Mówiło się wtedy o „finansowym zapleczu” człowieka. Przy czym nie chodziło tu bynajmniej o jego majątek – decydujące znaczenie miało wychowanie, wykształcenie, sposób bycia. I język, jakim się posługiwano. Jedno słowo mogło zdradzić klasę, warstwę społeczną, z jakiej pochodziła dana osoba. Najważniejsze były osobiste wartości, jakie ktoś reprezentował, a nie to, co posiadał. Feri zdawał się odpowiednim dla mnie mężem, taką opinię słyszałam ze wszystkich stron, on nosił nazwisko Batthyány, ja – Esterházy, oboje pochodziliśmy z najstarszych węgierskich rodów. Ja nie przejmowałam się tą gadaniną, najważniejsze były dla mnie moje książki. Jeśli małżeństwo zapewniłoby mi więcej wolnego czasu na czytanie, to nie miałam nic przeciwko temu. Wkrótce po ślubie, w lutym 1942, zamieszkaliśmy w Budapeszcie i zaraz potem zaszłam w ciążę. Feri otrzymał powołanie do wojska i jego pułk został skierowany na front do Polski. Ponieważ czułam się w Budapeszcie bardzo samotna, przenieśliśmy się razem z moim synkiem do rodzinnego domu w Sárosd.

Podróż powrotną pamiętam tak dokładnie, jakbym ją odbywała wczoraj. Już w trakcie tej krótkiej drogi przebiegającej przy akompaniamencie turkotu kół i urozmaicanej to pojawianiem się, to znikaniem za oknami słupów telegraficznych – bladły stopniowo niepokoję o męża, który walczył gdzieś w Polsce. Rozpływały się pośród pól, łąk, rzędów topoli, kęp dzikiego bzu. Na horyzoncie tańczyły żurawie. Po czym zapowiedziano nazwę wsi, pociąg stanął, nazwa stacji znikła w czarnym dymie, który się szybko rozwiął, odsłaniając stangreta Petiego, czekającego na mnie tam, gdzie kończył się peron. Peti, z przypiętymi do kapelusza piórami dropi, machający mi ręką na powitanie, wrócił mi całą swojskość niedawnego dzieciństwa.

Już cały rok trwała rozłąka z Ferim, otrzymywałam od niego listy z frontu, walczył najpierw w Polsce, potem na Ukrainie. Biedak nawet muchy by nie skrzywdził. Feri był nieśmiałym człowiekiem, ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli, że jest dobroduszny i naiwny jak dziecko. W listach pisał mi o swojej miłości, o tęsknocie za tym, żebyśmy znów byli razem. Mnie też go bardzo brakowało, chociaż nie mogłabym tego uczucia nazwać gorącą tęsknotą.

Agnes

Owego 19 marca o godzinie 23 wieczorem zadzwonił u mnie telefon. Odezwał się mój ojciec, który mi kazał wracać do domu pierwszym rannym pociągiem. Widocznie wiadomości o wkroczeniu Niemców zdążyły już dotrzeć do naszej wsi. Mój brat nie chciał wracać. Uważał, że bezpieczniej dla nas byłoby zostać w Budapeszcie niż jechać do Sárosd, gdzie nas wszyscy znają. Budapeszt jest wielkim miastem, w którym łatwiej jest się ukryć.

– Ja w każdym razie jadę. A potem wrócę z matką i ojcem.

– Zgoda. – I odprowadził mnie na dworzec, żeby mi pomóc dźwigać walizkę.

Na wszystkich dużych placach stali niemieccy żołnierze z psami. Policjanci węgierscy kontrolowali tramwaje. Drzwi się otworzyły, policjanci wkroczyli i kazali wszystkim Żydom wysiąść. Jeden z nich zwrócił się do mnie:

– Jeśli panienka nie jest Żydówką, to radzę szybko stąd uciekać.

Zapytałam go:

– A mój brat?

– On musi wysiąść.

– W takim razie ja też wysiadam.

I wtedy dostaliśmy się do najgorszego więzienia, jakie istniało w tym czasie na Węgrzech. Znajdowało się w Kistarcsa, niedaleko Budapesztu. Było zimno, śnieg leżał na ulicach, na drzewach i na dachach domów. Jak musieli się czuć

nasi rodzice, którzy stali wtedy na dworcu i czekali na nas, a myśmy nie wysiedli? Do dziś nie mogę sobie tego wyobrazić, bo jest to zbyt bolesne.

Przed wejściem do więzienia rozdzielono nas. Kobiety wepchnięto do ciasnego pomieszczenia bez okien, a mężczyzn zgromadzono na podwórzu.

Miałam w kieszeni jabłko, które rękami przełamałam na pół, żeby się nim podzielić z Sándorem, jak się znowu spotkamy. Do tego jednak wcale nie doszło.

Parę dni później było Pesach, żydowskie święto.

Otrzymaliśmy zupę, którą dostarczyły żydowskie organizacje. Pamiętam, że nie miałyśmy ani talerzy, ani łyżek, ale nasz głód był tak duży, że nie mogłyśmy się doczekać, aż zupa wystygnie. Niektóre kobiety próbowały wlewać ją sobie do ust gołymi rękami i poparzyły się, taka gorąca była ta zupa. Miałam przy sobie puderniczkę, do której nalałam zupę. Ta puderniczka służyła mi zamiast miski. Była tak mała, że czułam się, jakbym była lalką.

Maritta

Wkrótce po powrocie do Sárosd zorientowałam się, jak bardzo mój dom się zmienił, w pewnym momencie wprowadzili się tam nawet niemieccy żołnierze. Zajęli kilka pokoi, a swoje samochody ustawili pod naszym ulubionym kasztanem z okrągłą ławką. W międzyczasie zniknął ostatni mężczyzna, który mógłby nam pomóc w gospodarstwie. Większość z nich powołano do wojska, jedni walczyli na froncie, inni zostali ranni, a jeszcze inni zdezerterowali. Brakowało siodlarza i chłopca stajennego, a także ogrodnika i jego syna. Trawnik był całkiem wyschnięty, wszystkie róże zwiędły. Nikt nie dbał o krowy, w rybnych stawach karpie wymierały, pola były całkiem zapuszczone. Mój ojciec zapytał Niemców, czy pozwoliliby mu zatrudnić Żydów mieszkających na wsi, i to pozwolenie uzyskał. Odtąd przychodziło codziennie rano około dwudziestu Żydów na podwórze. Każdy miał na ramieniu żółtą gwiazdę. Bracia Goldner pomagali przy koniach, Medakowie i Mandlowie w ogrodzie, reszta pracowała w polu. Niektórych znaliśmy, witaliśmy się z nimi i oni też się z nami witali. Ale ci, którzy nas nie znali, bali się patrzeć nam w oczy – cośmy im zawinili? Najbardziej zaprzyjaźniliśmy się z Mandlami. Byli właścicielami sklepu spożywczego, mieli też jedyną w okolicy stację benzynową; kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, wtykali nam często cukierki do kieszeni. Państwo Mandlowie mieli dwoje dzieci w moim wieku, Agi i Sándora, z którymi dawniej często się bawiliśmy.

O tym, że w Europie znów toczyła się wojna, świadczył przede wszystkim fakt, że coraz mniej mężczyzn przyjeżdżało na polowania. Kierowano ich na front. Węgry walczyli ramię w ramię z Niemcami i szeregi towarzystwa

łowieckiego przeredzały się, podobnie jak włosy na głowach moich wujów. Rozmowy stawały się coraz cichsze, dowcipy rozbrzmiewały coraz rzadziej. Rum pozostawał w butelkach. Węgrzy walczyli z Hitlerem na terenie Rosji, zamiast zabijać zające, zabijali teraz ludzi.

Parę miesięcy po wieczorze spędzonym w towarzystwie Maxima Billera położyłem się po raz pierwszy na kozetce w gabinecie Daniela Strassberga. Wiedziałem o nim tylko tyle, że jego matka przeżyła holokaust, a ojciec po wojnie szmuglował Żydów przez szwajcarską granicę do Marsylii, skąd statkiem uciekali dalej, do Palestyny, bo państwo Izrael jeszcze wtedy nie istniało. Przeczytałem, że Daniel Strassberg prowadzi badania nad tym, w jaki sposób historie rodzinne mogą być dalej dziedziczone – i doszedłem do wniosku, że będzie on dla mnie odpowiednim psychoanalitykiem. To ma być rodzaj eksperymentu, wyjaśniłem mu podczas pierwszej wizyty w jego gabinecie w sąsiedztwie uniwersytetu. Widok leżanki kremowego koloru, ustawionej na środku pokoju, skojarzył mi się ze stołem operacyjnym – patrzyłem na książki na półkach, na Freuda, Lacana – w powietrzu unosił się miły zapach niezliczonych wypalonych tu fajek.

– Chciałbym się dowiedzieć – powiedziałem – co z dawnych czasów pozostało w moich kościach. Chciałbym się przekonać, co wydarzenia przeżyte w przeszłości w nas pozostawiają.

– Możemy podjąć taką próbę – odrzekł. Ale mam dać sobie spokój z wszelkimi eksperymentami. I nie należy się na kolejne spotkanie w jakikolwiek sposób przygotowywać. – Nie wolno tu zabrnąć w jakąkolwiek grę – oświadczył, a ja kiwnąłem głową, chociaż nie byłem wcale pewien, o co mu naprawdę chodzi, i właściwie nie miałem pojęcia, co mnie tu jeszcze czeka. Odtąd kładłem się dwa razy w tygodniu na jego kozetce, patrząc w sufit, i co środę i piątek moje ubranie śmierdziało dymem.

Każda wizyta zaczynała się od zawsze tego samego rytuału. Zasiadałem w jego poczekalni i zaczynałem przerzucać stare czasopisma. Słyszając, że otwiera drzwi i człapie po korytarzu, wstawałem i jakby ukradkiem podawałem mu rękę, chociaż on znał mnie lepiej niż większość moich przyjaciół i chociaż widywałem go częściej niż własnych rodziców. Ta nasza bliskość miała w sobie coś potajemnego. Nie moglibyśmy klepnąć się w plecy po długim niewidzeniu. Po godzinnym posiedzeniu nie mogłem mu podziękować, chociaż nieraz miałem na

to ochotę. Skoro tylko opuściłem moją kozetkę, znikła wszelka intymność i w realnym świecie byliśmy sobie całkiem obcy: gdybyśmy się przypadkiem spotkali w supermarkecie przed półką z serami, to nie miałbym pojęcia, o czym z nim rozmawiać: o gorgonzoli? Czułbym się tak, jakbym popełniał jakąś zdradę. Jakby dwie osoby, które zawsze spotykają się potajemnie wieczorem w pokojach hotelowych, nagle wpadły na siebie o siódmej rano w blasku światła neonów przy wejściu do metra, i obie były niemiło zaskoczone.

Przed położeniem się na kozetce poprawiałem zawsze ciemnoczerwoną poduszkę, w której widniał jeszcze odcisk głowy mojego poprzednika, a Strassberg tymczasem padał za mną na swój fotel. Pierwsze chwile upływały zawsze jakoś niemrawo, ja tarłem nerwowo oczy i obciągałem sweter na brzuchu. Czulem, że on mnie obserwuje – chociaż, na dobrą sprawę, skąd brałem taką pewność? A może sprawdzał długość paznokci u własnych rąk; może spoglądał jeszcze w ostatniej chwili na ekran swojej komórki – przecież nie miałem pojęcia, co on robi, podczas gdy ja opowiadam mu całe swoje życie. Patrzyłem w sufit, potem niżej, na książki, czulem w powietrzu zapach tytoniu fajkowego, zamykałem oczy, żeby sobie ułatwić skupienie. Ulicą przejeżdżały tramwaje numer 7 i 15, którymi w młodości wracałem zawsze do naszego małego domku na peryferiach miasta. Piętnastką jechałem do stacji końcowej, a stamtąd którymś z autobusów wzdłuż pól, latem żółtych od kwitnącego rzepaku, zimą pokrytych białą warstwą śniegu. Dalej musiałem jeszcze przejść parę minut piechotą, by wreszcie dotrzeć do drzwi naszego domu, które na życzenie mojej matki zostały pomalowane na zielono, zanim się tam wprowadziliśmy. Matka kazała też przymocować do owych drzwi ciężką mosiężną gałkę – nikt z naszych sąsiadów takiej nie miał, tylko my. Podobne drzwi pasowałyby do wschodnioeuropejskiego dworu, może jeszcze do jakiejś drewnianej budowli na wzgórzu w nękanym dżdżystym klimatem angielskim Devonie. Jednak w żadnym razie do naszego domku jednorodzinnego, powstałego w latach siedemdziesiątych na przedmieściu Zurychu. W rezultacie były to więc niewłaściwe drzwi do niewłaściwego domu – wszystko to opowiedziałem Strassbergowi całkiem spontanicznie. Słowa płynęły mi z ust lekkie jak piórka, ja sam czulem się niby jeden z tych ptaków, które polatują nad wodą, tylko chwilami muskając jej powierzchnię – zapach fajek ulotnił się, książki, rysy na suficie znikły. I ani śladu tramwaju. Niemal co godzina zdarzały się takie chwile, kiedy zapominałem o wszystkim wokół mnie, co trwało do momentu, aż jakiś szmer, jakaś myśl ściągały mnie do rzeczywistości i kontury pól, zarysy książek wracały w swym realnym kształcie, hałas z ulicy docierał z powrotem do wnętrza domu – przed chwilą jeszcze unosiłem się nad powierzchnią wody, i oto nagle zaczynam w niej tonąć.

Strassberg milczał.

– Wszystko to jest bez znaczenia – odezwałem się, próbując popaść z powrotem w ów stan nieważkości, podobnie jak czasem nad ranem próbujemy obrócić się na drugi bok i spać dalej – albo jak wieczorem staramy się czwartym kieliszkiem wina przedłużyć działanie trzech poprzednich. Czy to się jednak kiedykolwiek udało? – Czy zna pan film z lat osiemdziesiątych *Powrót do przeszłości*? – zapytałem. – To historia chłopca, który samochodem frunie do przeszłości.

– Tak, znam ten film.

– Podczas swojej podróży w czasie bohater ma przy sobie współczesną fotografię. Widzimy na niej jego rodziców, jego samego razem z rodzeństwem. Tylko że te dzieci z owej fotografii stopniowo znikają, czysto teoretycznie nie mogą przecież istnieć, bo ich rodzice jeszcze się nie poznali.

– Tak, pamiętam to.

– Ja się zawsze tak właśnie czułem jak te dzieci. Jakbym tylko na wpół istniał na tym świecie, jakbym się stawał coraz bardziej przezroczysty. Czy ma to jakiś sens?

– Czemu nie?

– Jakbym stopniowo znikał. Jakbym biegnąc po śniegu, nie pozostawiał za sobą śladów.

Cisza.

– Kiedy pojechałem do Rechnitz i zacząłem ojcu zadawać te wszystkie pytania, to owo wrażenie znikania nagle ustąpiło. Może właśnie dlatego zjawilem się u pana.

– Nie jest to dla mnie całkiem jasne.

– Żeby zaistnieć.

Strassberg milczał. Czekałem, ale milczenie trwało.

– Wszystko to brzmi gorzej niż teksty w pismach kobiecych, przyzna pan?

Mój rozmówca westchnął głęboko, po czym wstrzymał oddech. W ten sposób kończył zwykle spotkanie.

– Niestety nasz czas minął – oświadczył jakby pod przymusem, wypuszczając powietrze, wyraźnie z przykrością kończył nasze spotkanie, co doskonale rozumiałem. Na pożegnanie podaliśmy sobie znowu ręce, już bardzo pośpiesznie.

Dzienniki II

Maritta

Jest późne popołudnie, leżę w łóżku w moim pokoju i czytam. Jaką książkę? O Boże, nie pamiętam. Chyba *Wojnę i pokój*. Tak, to bardzo prawdopodobne. Tołstoj. Czyjś krzyk odrywa mnie od lektury – odkładam książkę, wstaję i wyglądam przez okno. Mój synek śpi tuż obok mnie w swoim łóżeczku. Drugie dziecko mam już w brzuchu.

Posypany żwirem podjazd jest całkiem zryty kołami, widzę ślady opon, ale na ziemi nie ma żadnych liści, co jest zresztą zrozumiałe, to przecież dopiero początek lata. Nasz dom pęka w szwach – pełno w nim żołnierzy, uciekinierów, rannych. Psy są zupełnie wyprowadzone z równowagi, moja matka przebywa od wielu tygodni w sanatorium. Z okna swojego pokoju widzę ojca. Stoi w bramie wjazdowej. Pan Mandl stoi przed nim, wymachując rękami. Ma na sobie o wiele za obszerny jasny płaszcz od deszczu. Schodzę po schodach na dół i dalej na podwórze. Żwir chrzęści pod nogami, pan Mandl patrzy mi w oczy, ojciec się nie odwraca.

– Oni są już w drodze do obozu koncentracyjnego, czeka ich śmierć – mówi pan Mandl. Chodzi o Agnes i Sándora, dzieci Mandlów. Znajdują się już w którymś z pociągów. Pani Mandl stoi, wspierając się na grabiach, i krzyczy do mojego ojca tak, jak ja nigdy do niego nie krzyczałam:

– Niech nam pan pomoże! Niech pan jakoś zaradzi, niech pan coś zrobi!

Ale mój ojciec nic nie robi. Zaraz potem słyszę dwa strzały.

A ja co robię? Biegnę do spowiedzi, do naszego wiejskiego kościoła, i siadając w ławce, mdleję.

– To ze zdenerwowania – mówi nasz proboszcz, a ja kiwam potakująco głową, lecz dobrze wiem, że to nieprawda. Było mi strasznie zimno, to doskonale pamiętam. Przez całe życie zawsze marzłam, nawet latem, ale tego lodowatego chłodu przed konfesjonałem nigdy nie zapomnę. Po odzyskaniu przytomności nękała mnie tylko jedna myśl: przynajmniej Mandlów mogłam uratować. Przynajmniej ich.

6

Pewnego mglistego, zimnego listopadowego dnia roku 1956 moja babka, jej mąż Feri, który rok wcześniej wrócił z gułagu, i mój czternastoletni wtedy ojciec uciekli z Węgier. Od tygodnia sowieckie czołgi przejeżdżały z łoskotem po ulicach Budapesztu. Stawiło im czoło około dziesięciu tysięcy obrońców wolności, głównie studentów. Wielu Węgrów opuściło wtedy swój kraj. Przemykali nocą po polach, żeby uniknąć spotkania z żołnierzami, przepływali przez granicę rzeką albo przełazili pod drutami kolczastymi. Dziadkowie razem z moim ojcem dojechali taksówką do węgiersko-austriackiej granicy, a potem spokojnie przebiegli pod szlabanami, jakby się wybrali na niedzielną wycieczkę. Ponieważ dziadek miał jeszcze austriacki paszport, przekroczenie granicy nie stanowiło żadnego problemu. Niósł dwie walizki i prowadził za rękę mojego ojca.

– Jestem w Budapeszcie i widzę na ulicach martwe konie. – Przez całe moje dzieciństwo ojciec relację o ucieczce rozpoczynał tym właśnie zdaniem. Z Austrii pojechali prosto do Szwajcarii. Do ciotki Margit i do Ivana, którzy ich przyjęli w swojej willi Mita w Lugano, u stóp Monte Bré. – Pamiętam kierowcę, który nas oczekiwał na dworcu. Potem zaprowadzono mnie do pokoju, bo miałem gorączkę. Kiedy nazajutrz rano obudziłem się, słońce świeciło wprost na moje łóżko, w ogrodzie rosły palmy. Do pokoju wszedł Ivan, mój stryj, pytając, czy miałbym ochotę na przejażdżkę samochodem Ferrari, a ja pomyślałem: czyżbym trafił do nieba?

O pobycie w Lugano pozostało niewiele świadectw na piśmie, tylko parę listów mojej babki do kuzynki w Wiedniu, w których babka się między wierszami skarży, bo wyraźnie z trudem zносиła gościnę u Margit i Ivana. „Nawet raj miewa swoje wady” – pisała. Na bardziej jednoznaczne opinie się jednak nie zdobyła. Nie wolno narzekać – tę zasadę wpojono jej w dzieciństwie.

Willa Mita znajduje się tuż nad brzegiem jeziora Lugano. Z okien salonu widać jego przeciwległy włoski brzeg, a w pogodne dni nawet wieże kościelne włoskich wiosek – nie można było tego jednak zobaczyć w zimowe wieczory w połowie lutego 1957 roku, tak ja to sobie w każdym razie wyobrażam: chmury

wiszą nisko, wiatr wzburza wodę, na podłodze w salonie leżą jasne dywany, kanapy obciążone są miękką skórą, na ścianach wiszą poroża jeleni i jakieś ozdoby pochodzenia egzotycznego. Może coś związanego z kością słoniową? Może skóra antylopy? W końcu oni oboje, Margit i Ivan, nieraz brali udział w afrykańskich safari, odkąd przenieśli się z Rechnitz do Lugano.

Jak mogły przebiegać spędzane tam wieczory? „Najwyższa pora na kieliszek sherry”, mawiał pewnie Ivan. Jest w dobrym humorze, a zawsze uważał, że do niego należy podnoszenie wszystkich na duchu. Ivan jest wysoki, nosi beżowe spodnie i tegoż koloru koszule, na palcu ma sygnet z niebieskim kamieniem, złotą zapalniczkę od Duponta w kieszeni. „Wolałbym piwo”, odpowiadał być może mój dziadek Feri, młodszy brat Ivana. W mojej wyobraźni siedzi w pobliżu kominka, wpatrując się we własne buty, między nogawkami spodni i skarpetkami widzi wąski pasek bladej, nieowłosionej łydki. Z pewnością czuje się błogo przy ogniu kominka, rozkoszuje się ciepłem – bo w obozach zachodniej Syberii, gdzie spędził ostatnich dziesięć lat, odmroził sobie mały palec u nogi.

Moja babka siedzi pod oknem, pali i czyta gazetę. Nie znosi dobrego humoru Ivana i przewraca oczami z irytacją. W ciągu pierwszych tygodni po przyjeździe próbowała swój niesmak tuszować, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Czy nie widzicie, że ludzie umierają? – mówiła sobie pewnie w duchu. Coraz to spogląda na tytułową stronę „Neue Zürcher Zeitung”. Może tego właśnie dnia zaczęły się procesy uczestników węgierskiego powstania. Na ławie oskarżonych siedziało jedenaście osób. „Główna oskarżona to 25-letnia studentka medycyny Ilona Tóth²” – czyta moja babka, gasi papierosa, wyciera nos chusteczką, którą trzyma zawsze w rękawie swetra, urywa kawałek, robi z niego malutką kulkę i wkłada sobie do ust. Cóż to za czasy nastąpiły, żeby oskarżać ludzi, którzy walczą o swoją wolność, myśli moja babka, kiwając głową. „Kłamstwo panoszy się na każdym kroku”, pisze w liście do kuzynki. Dwieście tysięcy uchodźców, dwa i pół tysiąca zabitych – to liczby, które nie dają jej spokoju. Przegrany bój Węgrów o niezależność nie schodzi z pierwszych stron gazet, chociaż armia sowiecka już wiele tygodni temu wkroczyła do Budapesztu. Jak wy to możecie wytrzymać!? Chciałaby głośno krzyknąć, ale słowa więzną jej w gardle. Zapala kolejnego papierosa, szukając jakiegokolwiek oparcia.

– Czym mogę ci służyć, moja droga? – pyta Ivan, napotyka jej spojrzenie, chociaż przed chwilą opowiadał z zapalem, jak cudownie tu u nich będzie w maju, kiedy prosto z salonu można będzie wskoczyć do jeziora. – Istny raj, zapewniam was, istny raj!

– Byłabym ci wdzięczna za kieliszek wina – odpowiada z uśmiechem, chociaż wolałaby umrzeć, byle nie tkwić tu aż do maja.

A na dobrą sprawę powinna czuć się szczęśliwa. Jej mąż wrócił z niewoli i po raz pierwszy od ślubu, który się odbył piętnaście lat temu, są znowu razem, i to na wolności. Ich syn jest zdrowy i wreszcie ma okazję poznać własnego ojca. W takim razie o co mi właściwie chodzi? – zadawała sobie pewnie pytanie. Wygląda przez okno i widzi nagie gałęzie drzew, zimne wilgotne trawniki w ogrodzie, uderzające o brzeg fale jeziora. To ciężar ostatnich lat czuje na swoich plecach, i nie po raz pierwszy. „Chłód wewnętrzny”, tak to sama niegdyś określiła. I jak wszystkie swoje teksty, wiersze, opowiadania, wrzuci kiedyś w ogień.

Ivan przynosi jej wino i stawia kieliszek na mahoniowej podstawce z końskim motywem, którą sam ofiarował Margit na gwiazdkę. Chwalił pewnie szlachetność trunku, ale ona raczej nie zwracała uwagi na jego gadanie. Najchętniej wróciłaby do łóżka, do swoich książek, do Tomasza Manna, który był jej wielką miłością.

O wpół do siódmej schodzi po schodach na dół Margit. W swojej wyobraźni rzuca jeszcze okiem do lustra, zanim wkroczy do salonu z przekonaniem, że na jej widok wszyscy obecni gremialnie zamilkną. I tak też się pewnie stało tamtego wieczoru. Feri klaszcze radośnie.

– Otóż i ona! – mówi po niemiecku z austriackim akcentem. – Wyglądasz czarująco – zachwyca się obowiązkowo Ivan.

– Daj spokój tym swoim banałom – macha ręką Margit, chociaż na pewno w duchu przyznaje mu rację. Ma na sobie kostium Chanel z miękkiego tweedu, który idealnie pasuje do aktualnej pogody, podkreśla jej zgrabne nogi i tuszuje biodra, a o to właśnie chodzi. O Coco Chanel obecni tu goście pewnie nigdy nie słyszeli. Ach, Paryż, oczywiście wolałaby bryłować w doborowym towarzystwie u Ritza niż siedzieć tutaj z tymi nudnymi węgierskimi uchodźcami.

– No, i jak się dziś czujesz, kochanie? – pyta swoją babkę głosem pełnym politowania – tak to sobie przynajmniej wyobrażam – i lekkiej ironii, jakim zwracają się do swoich pacjentów pielęgniarki.

Chociaż nie, musiało to wyglądać trochę inaczej. Margit schodzi na dół po schodach, myśląc o Paryżu i Ritzu, kieruje się w stronę okna i starając się przybrać ton jak najbardziej neutralny, mówi:

– No, i jak się dziś czujesz, kochanie? – Bo to moja babka wyczuła w tym jej odezwanie cię politowania. Tak to właśnie musiało brzmieć.

– Powiedziałam Jósce, że będziemy jeść kolację o siódmej – mówi Margit. – Co będziecie pili? Ivan, bądź tak dobry i przynieś mi też szklaneczkę sherry. –

Ivan idzie do jadalni. Słysząc trzask ognia na kominku i wyciąganie korka z butelki. Ivan wraca i nalewa także sobie po raz drugi. Wszyscy przypijają do siebie nawzajem.

– Ale pogoda z piekła rodem – mówi Margit swoim nosowym głosem, wysuwając nieznacznie czubek języka.

– Właśnie im opowiadałem, jak tu jest pięknie w maju – mówi Ivan.

– Ile może być teraz stopni na dworze? – pyta Feri. – Poniżej trzech na pewno nie, to by się czuło. Dzisiaj śniegu nie będzie ³.

Zegar ścienny wybija siódmą, wszyscy wstają, przechodzą do sąsiedniego pokoju i zasiadają do nakrytego stołu.

IVAN: Starszy brat mojego dziadka. W lutym 1957 ma czterdzieści sześć lat. Włosy zaczesuje elegancko do tyłu. Lubi szybkie samochody i drogie garnitury, najchętniej wybiera granatowe. Nie potrafi się oprzeć młodym kobietom. Ivan cieszy się sławą ciekawego rozmówcy, jak większość Węgrów często przesadza i dałby się posiekać dla dobrej pointy. Przez całe życie ani przez chwilę nie pracował, włada biegle czterema językami, często podróżuje, przeważnie do Wiednia, gdzie wszyscy zwracają się do niego per „panie hrabio”, co mu się zresztą należy. Nieraz uczestniczył w polowaniach na dziką zwierzynę w Afryce. W Urugwaju za pieniądze żony kupił hacjendę o powierzchni dwóch tysięcy ośmiuset hektarów, równocześnie uzyskując urugwajskie obywatelstwo. Ivan jest też członkiem klubu golfowego w Lugano, jak również wytwornego Corviglia Ski Club w St. Moritz.

CIOTKA MARGIT: Jedna z najbogatszych kobiet w Europie. Ma również czterdzieści sześć lat. Córka Heinricha Thyssena i baronessy Margarety Bornemisza de Kászon. Wnuczka niemieckiego potentata stalowego Augusta Thyssena. Namiętna wielbicielka koni. Jej żywiołem jest polowanie.

MARITTA: Moja babka. Ma trzydzieści cztery lata. Nałogowa palaczka. Bitwę o Budapeszt, podczas której zginęło 160 tysięcy ludzi, przetrwała w miejskich katakumbach. Matka czternastoletniego chłopca (mojego ojca). Po wojnie jej rodzina utraciła wszystko, co posiadała, pozycję społeczną i dobra ziemskie. Przed ucieczką na Zachód ukrywała się u chłopów na węgierskiej prowincji.

FERI: Mój dziadek. W roku 1957 ma czterdzieści dwa lata. W roku 1942 został powołany do wojska, znalazł się w Polsce, potem na Ukrainie, w Charkowie, walczył w szeregach węgierskiej armii razem z Niemcami podczas bitwy nad Donem, gdzie zginęło 60 tysięcy ludzi, z których większość zamarzła w okopach. Tuż przed końcem wojny został o niecałe pięćdziesiąt kilometrów od domu wzięty przez Rosjan do niewoli i wywieziony na zachodnią Syberię. Pod koniec znalazł się w miasteczku, w którego pobliżu musiał wydobywać z ziemi bogate w azbest kamienie, wskutek czego całkiem wyłysiał. Po dziesięciu latach odzyskał wolność. Jest wierzącym katolikiem.

CZAS: Połowa lutego roku 1957. Prezydent Stanów Zjednoczonych Dwight D. Eisenhower ogłosił na skutek kryzysu związanego z Kanałem Sueskim, że Stany Zjednoczone będą wszystkie prozachodnie państwa bronić wszelkimi sposobami przed komunistyczną infiltracją. W Algierii szaleje wojna o niepodległość, w Budapeszcie rozpoczynają się pokazowe procesy przeciwko uczestnikom narodowego powstania. W Monachium odbędzie się za kilka tygodni prapremiera *Szkoły dyktatorów* Ericha Kästnera, Elvis występuje w *Jailhouse Rock*, a w Liverpoolu zostanie otwarty Cavern Club, w którym wkrótce dojrzeją Beatlesi. Niszczyciel węgierskiego państwa Miklós Horthy, który przeprowadził kraj przez całą wojnę i aż do połowy 1944 roku starał się układać z Niemcami, od tygodnia nie żyje.

MIEJSCE: Willa Mita, 6906 Castagnola, Lugano.

A więc wymienione cztery osoby, jeszcze stosunkowo młode, mające już za sobą własną historię, zasiadają razem do stołu. Za oknami rozpościera się mroczne jezioro. Jóska wnosi dymiący rosół. Feri z trudem panuje nad rozpierającym go entuzjazmem, Ivan przysuwa się z krzesłem bliżej stołu. Margit każe sobie pierwszej napełnić talerz tym ciemnobrazowym wywarem, po którym tu i ówdzie pływają jasnozielone pierścienie szczypioru i coraz to wyłaniają się kawałki mięsa z czerwonymi żyłkami.

– To jest dopiero wspaniała zupa! – wykrzykuje w końcu Feri.

– Wszystko, co domowe, najlepiej smakuje – potwierdza Ivan, który nie lubi milczenia.

IVAN: Czy już wam mówiłem, że my oboje chcemy się stać Szwajcarami? ⁴

FERI: Nie, nic o tym nie wiedziałem. Czy to ma się stać teraz, zaraz?

IVAN: Tak bardzo nam się nie śpieszy, ale chyba w przyszłym roku zaczniemy się ubiegać o szwajcarskie obywatelstwo.

FERI: Czy to jest takie proste?

IVAN: Dla nas, oczywiście. Nie jesteśmy przecież byle kim ⁵.

CIOTKA MARGIT: Wyobraźcie sobie, że aby stać się Szwajcarem, trzeba odpowiedzieć na pytania dotyczące historii i geografii. Na przykład kto to był Wilhelm Tell? I dlaczego, na miłość boską, używa się w tym malutkim kraju aż trzech języków?

MARITTA: Czterech. Zapominasz, że...

CIOTKA MARGIT: Trzech czy czterech, to już nie gra roli. W każdym razie to czysty absurd, żebym ja miała studiować dzieła historyczne. Skąd mam wziąć na to czas? ⁶

MARITTA: Bywają gorsze przeżycia.

CIOTKA MARGIT: Tak sądzisz? Ten kraj powinien się czuć szczęśliwy, że może nas do siebie przyjąć, zważywszy podatki, jakie tu będziemy płacić. Prócz tego wnosimy do Ticino międzynarodowy *flair*. Dzięki nam Lugano staje się miejscem spotkań wybitnych ludzi, aktorów, artystów ⁷. Powinien nam pomóc ten hotelarz z St. Moritz, ojej, jak on się nazywa? Ivan, pomóż mi! To wszystko naprawdę trudno wytrzymać.

IVAN: Budrutt?

CIOTKA MARGIT: Nie, ten już dawno nie żyje. A może jednak? Sami widzicie, że o wszystko ja się muszę troszczyć.

FERI: Kto nie żyje?

Jóska, lokaj, którego Margit i Ivan przywieźli ze sobą z Rechnitz, spokojny, zamknięty w sobie człowiek, musiał dużo wiedzieć o zbrodni dokonanej na stu osiemdziesięciu Żydach, ale nikt go o to nigdy nie pytał. Zbiera teraz ze stołu talerze po zupie, przynosi danie główne, duszoną wołowinę z pieczonymi kartoflami. Ivan nalewa czerwone wino. Rozmowa zamiera, co obu paniom nie przeszkadza, ale Ivan, wyłamując palce, gorączkowo szuka tematów.

IVAN: Chcieliśmy jeszcze omówić z wami pewną sprawę. Pomyśleliśmy, że skoro naprawdę już się tutaj zadomowiliście, to ty, Feri, mógłbyś, oczywiście, jeśli twój stan zdrowia na to pozwoli...

CIOTKA MARGIT: Ivan chciał po prostu powiedzieć, że ja potrzebuję prywatnego sekretarza. Kogoś, kto by się zajął moimi interesami. Te domy, te papiery wartościowe, te dokumenty, wszystko to zrobiło się takie skomplikowane, przed wojną wyglądało to zupełnie inaczej.

FERI: Ja miałbym dla was pracować? (Pytająco spogląda na żonę).

IVAN: Moglibyście wyszukać sobie w Lugano jakieś wygodne mieszkanie. Tobie od czasów Syberii jest ciągle zimno, a Ticino uchodzi za cieplarnię Europy.

MARITTA: Bardzo to miłe z waszej strony, że się o nas troszczycie. (Zerka przy tym na swoje papierosy).

FERI: A więc ja miałbym...

IVAN: Ty byłbyś naszym księgowym.

CIOTKA MARGIT: Moim księgowym.

IVAN: Oczywiście, to miałem przecież na myśli.

MARITTA: Nie chcielibyśmy sprawiać wam kłopotu. A co będzie z...

CIOTKA MARGIT: Z waszym synem? Poślemy go do internatu w St. Gallen. Przeprowadziliśmy już na ten temat wstępne rozmowy. Nic lepszego dla chłopca nie znajdziemy. Jest tam nawet kort tenisowy. Wasz syn gra chyba w tenisa?

MARITTA: Gra w piłkę nożną.

CIOTKA MARGIT: Teraz wszyscy posyłają swoje dzieci do St. Gallen. Internat nie jest co prawda tani, ale my to bierzemy na siebie. Dzieci potrzebują odpowiedniego wykształcenia, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy gospodarka ledwo żyje. Chyba zgodzisz się ze mną, moja droga? (Zwraca się do Maritty).

MARITTA: Jestem tylko trochę zaskoczona, że wyście już... Ale oczywiście się zgadzam.

CIOTKA MARGIT: Chłopiec musi iść do szkoły⁸. Nie powinien tu leniuchować i chować się przed wyzwaniem obecnego życia. On ma wciąż taki smutny wyraz twarzy. Gdzież się to wino podziewa, u licha? (Bierze do ręki dzwonek i dzwoni) Jóska!

MARITTA: On się przed niczym nie chowa.

(Ciotka Margit dzwoni wciąż, coraz energiczniej).

CIOTKA MARGIT: Co mówiłaś?

JÓSKA: Pani hrabino?

CIOTKA MARGIT: Wino, Jóska, wino!

MARITTA: Wam to może trudno zrozumieć, bo...

JÓSKA: Zaraz, zaraz, pani hrabino.

MARITTA: ... on naprawdę dużo przeżył, jak na swoje czternaście lat. Przecież prawie nie zna własnego ojca (tu rzuca okiem na Ferriego). To wszystko nie było dla nas łatwe. Na Węgrzech wszystko wygląda zupełnie inaczej niż w Szwajcarii.

CIOTKA MARGIT: Myśmy również cierpieli, moja droga, nie tylko wy. My też dużo straciliśmy.

IVAN: Dajcie już wreszcie spokój tym dawnym czasom. Kobiety nie powinny rozmawiać o polityce, z takimi tematami jest im nie do twarzy. Cieszymy się chwilą. Czeka nas wspaniała przyszłość. Czy wiecie, co w Szwajcarii jest

najcenniejsze? Jej położenie. Portofino, Wiedeń, Paryż, wszędzie można dojechać w ciągu paru godzin.

W tym duchu wieczór toczył się dalej. Po winie piło się koniak i jadło czekoladę. Przed kilkoma tygodniami przywiózł ją z Ascony przyjaciel rodziny Eduard von der Heydt⁹.

Moja wyobraźnia podpowiada, że przez resztę wieczoru Ivan i Feri omawiają szczegóły planowanego nazajutrz wypadu do Włoch przez zieloną granicę. Ivan z zapalem wspomina, że w przydrożnych lasach roi się wprost od dzików. Feri co prawda nie pojmuje, po jakie licho w tak mroźny dzień ma się tłuc po jakichś bezdrożach, zamiast spokojnie posiedzieć sobie przy kominku – ale przez grzeczność wyraża na wszystko zgodę. Obaj przepraszają więc panie i wstają, żeby przestudiować mapy Włoch.

Panie zostają same, palą papierosy, sączą małymi łyčzkami wino i rozmawiają o nieważnych sprawach. A może sytuacja wygląda całkiem inaczej. Może przełamią milczenie i nawzajem się przed sobą otworzą? Ale po co miałyby to uczynić?

Dla Margit rozmowa o Rechnitz byłaby pozbawiona sensu. A w jakim celu moja babka miałyby się zwierzać właśnie jej? Może po prostu obie trochę za dużo wypiły? Nie, to odpada.

A może straciły ochotę, by śladem swoich mężów nadal udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku? To byłoby już raczej bardziej prawdopodobne.

Co by się stało, gdyby ta nieustępliwa stara skorupa na chwilę pękła? Gdyby te wszystkie słowa, które moją babkę tak długo dławili w gardle, nagle się z tej pułapki wyrwały: cały ten żal i wściekłość na samą siebie za to, że nie próbowała pomóc Mandlom; i pamięć o ciężkich jak ołów latach kapitalizmu, i trudności z akceptacją własnego męża i całego nowego porządku świata, jaki ją otaczał; i awersja do tej całej obrzydliwie przesadnej konsumpcji, do podstawek z końskimi motywami, do irytujących wesołków w rodzaju Ivana, którzy z tak bezwstydną lekkomyślnością traktują życie? No więc co by się stało, gdyby owego dnia w połowie lutego 1957 roku, powiedzmy około godziny dwudziestej drugiej piętnaście padły takie oto zdania:

MARITTA: Ja dłużej tego nie wytrzymam. To poczucie winy mnie wykończy.

CIOTKA MARGIT: Jakiej winy? Nie rozumiem, o czym ty mówisz. (Zapada milczenie).

MARITTA: Ale ja to wiem. (I znów milczenie).

Zachęcona chłodem ciotki Margit, który dławi wszelkie ludzkie doznania, moja babka zaczyna opowiadać o owym popołudniu na wysypanym żwirem dziedzińcu przed pałacem i wpada w narastające podniecenie. Chce Margit sprowokować. Czeką na jakąś jej reakcję. Opowiada o obojgu Mandlach, o tym, jak rozpaczliwie krzyczeli, błagając jej ojca o pomoc. „Bierny uczestnik”, tego określenia by w tej sytuacji użyła, i to nie raz i nie dwa. To mogło się w ten sposób odbyć, czemu nie?

MARITTA: Wszyscy jesteśmy biernymi uczestnikami. Tak, tacy właśnie jesteśmy. Upieranie się przy tym, że musieliśmy być posłuszni, jest zbyt proste. Jaki jest więc nasz udział w tych wszystkich podłych okrucieństwach?

Zegar ścienny bije dwa razy. Jest wpół do jedenastej.

CIOTKA MARGIT: Wiesz, czego ja u was, arystokratów, naprawdę nie cierpię? Że zawsze wszystko odnosicie do siebie. Czy uważacie siebie za coś lepszego? Najpierw traktujecie wszystkich z góry, a kiedy nastają ciężkie czasy, załamujecie się niczym nowo narodzone owieczki. Jóska! (Chwila ciszy).

JÓSKA: Pani hrabino?

CIOTKA MARGIT: Butelkę szampana.

JÓSKA: Tak jest.

CIOTKA MARGIT: Nie masz pojęcia, co myśmy musieli w Rechnitz znieść. Wtedy, pod koniec wojny. I kiedy wszyscy robili w portki, z moim mężem na czele, ktoś musiał zachować spokój i czynić, co należało. Wiesz, dlaczego ja wolę konie od ludzi? Bo one lubią być tresowane. Panowanie nad sobą, moja droga, tego całemu światu brakuje.

Jóska otwiera butelkę i napełnia dwa wąskie kieliszki. Ivan i Feri wracają, wciąż jeszcze się naradzając, czy lepiej jechać przez Arogno.

– Którym samochodem będzie wygodniej? – mruczy pod nosem Ivan.

– A jeśli spadnie śnieg? – szepcze mój dziadek po węgiersku: – *Mi van, ha esik a hó?*

– No, a o czym wyście tu gawędziły, moje gołąbeczki? – pyta Ivan, rzucając okiem na stół, widzi plamy z czerwonego wina na obrusie, popiół rozsypany obok popielniczki i dwa kieliszki szampana. – No nie, wciąż tylko o polityce?

– O życiu – odpowiada ciotka Margit. – I o tym, czy Feri mógłby objąć funkcję prywatnego sekretarza. Maritta uważa, że oni powinni raczej wyjechać do Niemiec, zamiast zostawać tu z nami. Prawda, Maritto?

Moja babka kiwa potakująco głową, pałac papierosa i patrząc tępo przed siebie.

– Zobaczmy, co mi się uda załatwić – mówi ciotka Margit. – W Zakładach Thyssena w Zagłębiu Ruhry na pewno coś się dla niego znajdzie ¹⁰.

– Jak się miewa pies? – pytam ojca przez telefon.

– Całkiem zwariował – odpowiada. – Nie sposób sobie z nim poradzić. W samochodzie przeskakuje zaraz do przodu i siada mi na kolanach. Chyba go oddam do schroniska.

– Biedaczysko. A tobie trochę ruchu dobrze by zrobiło.

– Opowiedz lepiej, co tam u ciebie słysząc. Jak przebiega twoje dochodzenie w sprawie ciotki Margit?

– Najwyraźniej moja akcja rozniosła się po świecie. Coraz to odzywają się do mnie jacyś krewni. Skąd mogli zdobyć mój numer? Przyznaj się, może od ciebie?

– Chyba żartujesz!

– Pytają, po co budzić dawne duchy. Wszystko, czego się zdołam na temat Margit dowiedzieć, może mi raczej zaszkodzić niż pomóc. Wyraźnie mi grożą.

– A co ty im odpowiadasz?

– Odpowiadam, że przeszłość zdołamy pokonać tylko wtedy, jeśli będziemy bez końca przypominać to, co się kiedyś wydarzyło. To zdanie nie pochodzi oczywiście ode mnie, ale od Hannah Arendt.

– Aha, rozumiem.

– Czy ty też sądzisz, że te poszukiwania nie przyniosą rezultatu?

– Nie, ale wątpię, żeby nasi krewni cokolwiek na ten temat wiedzieli.

– O to właśnie chodzi. Nikt nic nie wie, bo nikt o to nie pytał. Czy to nie jest dziwne? Wszyscy wiedzieliście o tej masakrze i o tym, że ciotka Margit była tam wtedy obecna. Ale nie mieliście odwagi, żeby ją o to zapytać. Po prostu nie chcieliście się jej narazić.

– Zaczekaj chwilę...

Usłyszałem ciche pstryknięcie zapalniczki, potem jakiś dziwny szelest – chyba słuchawka wypadła mu z ręki – po czym dobiegł mnie znów jego głos:

– Jesteś tam jeszcze?

– Jasne, że jestem. Chodzi tu pewnie o pieniądze, prawda?

– Co takiego?

– Pieniądze odebrały wam mowę. Ciotka Margit płaciła i to dawało jej władzę. Ona decydowała, o czym się rozmawiało. Ciotka Margit miała was wszystkich w garści.

* * *

Po raz ostatni wybrałem się do Burgenlandu pod koniec jesieni. Świat był pogrążony we mgle – domy, pola, niebo – wszystko było szare, winogrona zostały już dawno zebrane. Zbliżał się dzień Wszystkich Świętych i różni krewni zjechali się, żeby w rodzinnej krypcie, znajdującej się w podziemiach kościoła w Güssing, uczcić pamięć swoich zmarłych antenatów. W mrocznym pomieszczeniu stały dziesiątki trumien przeróżnych przodków, niektóre pokryte wieloletnim kurzem, inne znacznie świeższe.

– Zamierzasz tu kiedyś do nich dołączyć? – zapytał mnie w blasku świecy ktoś, kto mi się przedstawił jako mój kuzyn.

Po powrocie zasiedliśmy wszyscy wokół długiego drewnianego stołu: ciotki, wujowie, kuzyni, ludzie, których prawie nie znałem.

Większość z nich doskonale pamiętała Margit i Ivana, ich podróże, domy, konie Margit i próżność Ivana – a ja, im dłużej z nimi przy tym wspólnym stole przebywałem, tym bardziej swojsko się czułem. Sposób, w jaki ze sobą rozmawiali, ich dowcipy, stare meble, porcelana, małe srebrne cukierniczki – wszystko wydawało mi się jakieś dziwnie znajome.

– Gazety wypisują same bzdury – twierdzili starsi.

Również sztuka Elfriede Jelinek *Rechnitz (Anioł Zagłady)*, dotycząca wydarzeń w Rechnitz i roli, jaką odegrała w nich Margit, stwarza zupełnie fałszywy obraz rzeczywistości. Margit nie miała z tamtą masakrą nic wspólnego.

– Była wprawdzie osobą powszechnie nielubianą, w dodatku niewyżytą seksualnie; uchodziła nawet za maniaczkę seksualną, ale żeby miała być morderczynią? To wykluczone.

Potrząsałem głową, tak jak wszyscy. A kiedy ktoś z obecnych, starszy pan, który mnie tak serdecznie przywitał, chociaż nie znaliśmy się osobiście, i który tak sympatycznie wyglądał z tą swoją szlachetnie siwą głową, powiedział coś o Żydach, o żydowskiej propagandzie, wszyscy udali, że tego nie słyszą albo że go nie zrozumieli. Ja to również przemilczałem. Nie zaprotestowałem też, kiedy powiedział:

– A może ta masakra wcale nie miała miejsca?

Piliśmy dobrą herbatę, zagryzając chlebem z szynką.

Wszyscy rozmawiali bardzo głośno i bezładnie: o grobie, o poszukiwaniach. Młodszy stawiali pytania, starsi udzielali wymijających odpowiedzi.

– I po co to wszystko?

– Co komu z tego przyjdzie?

– Co my mamy z tym wspólnego?

Ogólne kiwanie głowami.

Lub pomijanie milczeniem.

– Może ktoś ma ochotę na herbatę?

Milczenie.

– O zbrodniach popełnionych wobec Żydów napisano już dość dużo – próbował się usprawiedliwić starszy pan – zbrodnie, jakich dopuszczali się kapitaliści, były równie okrutne.

I znowu wszyscy udali, że nie słyszą, nikt nie podjął tego tematu.

– Ta Jelinek też jest Żydówką. Dlatego pisze takie bzdury.

Ktoś powiedział jakiś dowcip, próbując zmienić temat, i pozostali wybuchnęli śmiechem, nie wyłączając mnie, jak to bywa w gronie rodzinnym – to wszyscy się śmieją, to potakują; mniej więcej po dwóch godzinach rozstaliśmy się.

Znowu mnie serdecznie ściskano – ci ludzie, te meble, te filizanki, wszystko takie swojskie.

– Nie zapominaj o rodzinnym nazwisku – zwrócił mi uwagę jeden z wujów, który przez cały czas milczał – nie wolno ci obrzucać go błotem.

Niemal czule ujął mnie pod brodę, głaszcząc po policzku, jak to zwykł czynić mój ojciec. Potem, siedząc w samochodzie, czułem się wyjątkowo godny politowania.

Czy tak wielu z nich odnosiło się do tej zbrodni tak obojętnie tylko dlatego, że ci zabici byli Żydami?

Zatelefonowałem do ojca.

– Czy ty się z tym zgadzasz?

– Nie, wcale się nie zgadzam.

– No, to skąd się brały te uwagi pod adresem Żydów i Jelinek?

– Twój wuj porównał zbrodnie nazistów do zbrodni kapitalistów. To było przecież uzasadnione.

– W takim razie skąd się tu brały dowcipy o Żydach?

– Czy zamierzasz napisać o tym rodzinnym spotkaniu? – zapytał ojciec. – To narobi sporo złej krwi.

– Sam jeszcze nie wiem.

Parę tygodni później stałem nad grobem ciotki Margit w Lugano, próbując przypomnieć sobie jej twarz, ale mi się to nie udało. Wiatr strącał z drzew ostatnie liście, a ja wciąż widziałem tylko jej wysunięty czubek języka.

To całkiem skromny grób: na cmentarzu Castagnola, u stóp Monte Brèe – prosta płyta z granitu, chociaż Margit należała do najbogatszych kobiet w Europie, a skromność nie była jej największą cnotą. „21 czerwca 1911 – 15 września 1989 Margit Batthyány-Thyssen”. Ktoś przyniósł jej żółte chryzantemy, ziemia w doniczce była świeża.

Po wszystkich tych rozmowach, jakie odbyłem z moimi krewnymi, z naocznymi świadkami i z moim ojcem, po przejrzeniu akt, po odbyciu licznych podróży – byłem już pewny, że ciotka Margit nie strzelała owej księżycowej nocy 24 marca 1945 roku, na miesiąc przed samobójstwem Hitlera. Nie zamordowała żadnego Żyda, wbrew dziennikarskim relacjom. Nie ma na to żadnych dowodów. Nie ma żadnych świadków.

Ciotka Margit nie stała o północy w chłodzie nad dołem, gdzie klęczeli w jednym szeregu nagie kobiety i nadzy mężczyźni. Śmiała się i tańczyła, podczas gdy te wychudłe ciała padały na ziemię. Śmiała się i tańczyła z mordercami, kiedy wrócili oni o trzeciej nad ranem do pałacu.

I podczas gdy te sto osiemdziesiąt trupów ulegało stopniowemu rozkładowi gdzieś na terenie Rechnitz, ciotka Margit rok w rok odbywała rejs statkiem turystycznym po błękitnych wodach Morza Egejskiego, piła kir royal w Monte Carlo lub polowała na jelenie w jesiennych lasach Burgenlandu.

Ciotka Margit korzystała w pełni z przyjemności ostatnich lat swego długiego żywota, chociaż wszystko wiedziała o masakrze. Zepsute nasienie.

8

W połowie listopada zamierzałem lecieć z ojcem do Moskwy, żeby pogłębić swoją wiedzę o gułagach i stalinowskim terrorze oraz by odszukać obozy, w których dziadek spędził dziesięć lat życia.

– Czy nie będzie wtedy jeszcze bardzo zimno? – pytał ojciec przez telefon, chociaż rozmawialiśmy już o tym mnóstwo razy. – Bo ja nie mam ciepłych butów – mówił z niepokojem.

– Ja też nie mam – odpowiedziałem.

Wyobrażałem sobie, jak wędrujemy razem po polach, śmiejąc się, ja rzucam w niego śnieżkami i opowiadamy sobie po raz pierwszy różne historie jak prawdziwi przyjaciele.

Po głębszym zastanowieniu ten obraz całkiem się jednak zmieniał: siedzimy oto przy śniadaniu w jakimś nędznym prowincjonalnym hotelu i, niezdolni do nawiązania jakiegokolwiek rozmowy, w milczeniu stukamy łyżeczkami w swoje jajka na miękko.

– Fizycznie ojciec był mi zawsze bliski – opowiadałem Strassbergowi parę dni po owej rozmowie telefonicznej. – Ściskamy się i całujemy przy każdym powitaniu. W dzieciństwie lubiłem, gdy jego ciepłe dłonie dotykały moich policzków, kiedy pachnącymi nikotyną palcami chwycił moje ręce. Łatwiej nam jest nawiązywać ze sobą kontakt fizyczny, niż znajdować temat do rozmowy. Dlaczego tak się dzieje? – pytałem mojego psychoterapeutę. – Pielęgnowanie go na starość, karmienie zupą, mycie czy ubieranie nie sprawiałoby mi żadnej trudności – ciągnąłem, wyobrażając sobie, jak wyprowadzam ojca spod prysznic niczym małe dziecko. – Za to przesiedzieć obok niego cały lot w samolocie czy wytrwać z nim sam na sam sześć godzin jazdy samochodem byłoby dla mnie nie do zniesienia. I wydaje mi się, że dla niego też. Jaka może być tego przyczyna?

– Niech pan się wybierze w tę podróż, to może ta przyczyna się znajdzie – odparł Strassberg, który potrafił być chwilami tak bardzo rzeczowy, że czułem się przez niego ośmieszony, co mnie zupełnie wyprowadzało z równowagi.

– To sprawia wręcz fizyczny ból, zapewniam pana. Kiedy siedzimy obok siebie, czując, jak moglibyśmy być sobie bliscy, i nie potrafimy z tego wybrnąć.

– Czego pan się spodziewa po tym pobycie w Rosji?

– Że ten stan napięcia się wreszcie rozładuje. Że ten cały balast nagle zniknie. Chciałbym móc swobodnie chodzić z nim po ulicach, nie zastanawiając się bez przerwy, co powinienem w danej chwili zrobić czy co powiedzieć. Kiedy myślę o naszym wzajemnym stosunku, tym jaki istnieje między moim ojcem a mną, to mam przed oczami dwa zaokrąglone magnesy, przyłączone do lodówki. Czy zna pan to uczucie? Kiedy próbujemy je ze sobą połączyć, to jeden zawsze ten drugi odpycha.

– Oczywiście, znam to uczucie.

– Jeden z owych magnesów odsuwa się jakby na bok. I dzieli je przestrzeń o szerokości najwyżej kilku milimetrów, wypełniona chyba tylko powietrzem, i zdawałoby się, że sytuacja jest niesłychanie prosta, pozbawiona jakichkolwiek przeszkód, a jednak obu magnesów nie da się ze sobą zetknąć. I taka jest właśnie sytuacja pomiędzy mną a moim ojcem. Życzyłbym sobie, żeby ta przestrzeń między nami znikła.

– Czas niestety minął – oświadczył mój terapeuta, a mnie znowu zrobiło się głupio, że mu się właśnie zwierzyłem i zniechęca, nieoczekiwanie musiałem z tych obłoków spaść prosto w realne życie. Słyszałem, jak on za moimi plecami usiłuje się podnieść z fotela – a szmery, jakie dawały się wtedy słyszeć, sugerowały, że musi najpierw górną połowę korpusu wysunąć lekko do przodu, by nabrawszy w ten sposób rozmachu, stanąć w końcu na nogi. Podaliśmy sobie szybko ręce, chociaż ja wolałbym, żebyśmy się uściskali.

Dziennik III

Agnes

Zagnali nas do wagonów jak bydło. Byliśmy wszyscy nieumyci, od wyjazdu z Budapesztu wciąż w tych samych niezmiennych ubraniach. Drzwi zaryglowano, okien żadnych nie było. Pociąg ruszył, dzieci, starcy, kobiety, wszyscy ciasno stłoczeni. Jedni płakali, inni krzyczeli, dwie osoby zmarły. Kiedy po wielu dniach pociąg zatrzymał się, wszyscy odetchnęli. Wreszcie dotarliśmy do celu, do Auschwitz.

Kiedy wysiedliśmy, otoczyli nas lekarze i pielęgniarki, któryś z lekarzy to musiał być doktor Mengele.

– Najślabi niech przejdą na tę stronę, reszta na tamtą – zarządził ktoś. Lekarze podchodzili i mierzyli każdego bacznie wzrokiem od stóp do głów. Małe dzieci odbierano matkom.

Mój mąż, którego wtedy jeszcze nie znałam, znalazł się na tej samej rampie, jak potem opowiedział. Swoją pierwszą żonę poznał w getcie w Łodzi, mieli już teraz ośmiomiesięcznego synka. Kiedy usiłowano zabrać go matce przy rampie, a ona się broniła, wzięto od razu oboje do gazu. Nam, silnym, kazano iść dalej. Wkrótce znaleźliśmy się przed nowymi budynkami, nowymi barakami, nowymi wartowniami, wszędzie druty kolczaste: Birkenau. Zaprowadzono nas do pomieszczenia, gdzie kazano nam się rozebrać i każdemu wytatuowano numer. Od tej chwili nie miałam już ani imienia, ani nazwiska, tylko numer. Dzięki naszej niemieckiej niani, która się nami zajmowała, kiedy mieszkałam razem z rodzicami, rozumiałam, co nam kazano robić. Wszyscy, którzy nie znali niemieckiego, mieli kłopoty. Kto nie potrafił wymenić swojego numeru, tego karano, a niektórzy już się nigdy nie pokazali. Może to nasza niemiecka niania uratowała mi życie? Kiedy wszyscy otrzymali swój tatuaż, zaprowadzono nas pod prysznic, po czym niemieccy żołnierze ogolili nam głowy. Nigdy dotąd nikt nie odnosił się do mnie z taką pogardą. Kiedy znaleźliśmy się wszyscy znów na świeżym powietrzu, po prysznicu, po tatuażu, po ogoleniu głów, staliśmy się zupełnie kimś innym. Niektóre matki nie poznawały własnych córek.

Maritta

Była niedziela, ale zamiast pójść do kościoła zgromadziliśmy się jak zwykle raz w roku wokół proboszcza i obchodziliśmy pola. On szedł przodem, a my biegliśmy za nim – ksiądz błogosławił ziemię, żeby nam zapewniła bogate plony. Przyszły tam prawie wszystkie kobiety ze wsi, i starzy ludzie, i my, dzieci, i nasz ojciec, tylko matki z nami nie było. Gdzie ona się przez cały ten czas podziewała? Staliśmy na szczycie wzgórza i rozglądaliśmy się dokoła. Widziałam rozległe bagna i lasy, które dzięki polowaniom dobrze znałam. W pewnej chwili jedna z wiejskich kobiet zwróciła naszą uwagę na pociąg: składał się on ze znacznie większej liczby wagonów niż zwykle i z naszego wzgórza było go bardzo dobrze widać. Pamiętam, że dach pociągu bardzo jasno błyszczał w słońcu. Nasz proboszcz też spojrział w tamtą stronę, a kiedy ktoś powiedział: „Tam wiozą Żydów”, nie mogliśmy od tego pociągu oderwać oczu. Wszyscy wpatrywali się w te lśniące w słońcu wagony. Proboszcz ruszył dalej, a my podążaliśmy za nim, aż msza się skończyła.

Wtedy prawie nikt jeszcze nie wiedział, że mam już w brzuchu drugie dziecko. Parę miesięcy wcześniej Feri dostał tydzień urlopu i spotkałam się z nim w Budapeszcie. Biedak nie zdążył się zaprzyjaźnić z pierwszym dzieckiem, bo nie miał kiedy, przecież wciąż nie było go w domu. Tymczasem już drugie było w drodze.

Sposób, w jaki docierały wtedy do nas na wieś aktualne wiadomości, był po prostu żałosny. Mieliśmy do dyspozycji jedno jedyne trzeszczące radio. Wszystko wydawało się tak strasznie dalekie, nierzeczywiste, chociaż na naszym podwórzu byli już niemieccy żołnierze, przez wieś przejeżdżały wojskowe samochody, flaga ze swastyką powiewała na ratuszowej wieży. Mój ojciec nie był wcale wrogo nastawiony do Niemców, przeciwnie, nawet ich lubił, co wcale nie znaczyło, że był nazistą. Nie był też antysemitą, Bóg mi świadkiem. Po prostu cenił ich zamiłowanie do porządku, ich punktualność.

Przed wojną kilka razy był w Berlinie z okazji odbywających się tam targów rolniczych i zawsze wracał podniecony, jakby zajrzał do świata przyszłości. Był człowiekiem apolitycznym. Nie obchodziły go deportacje. Nie słyszał o nieludzkich okrucieństwach. Co go naprawdę interesowało, to polowania, przyroda, las. Kiedy teraz wracam do niego pamięcią, dochodzę do wniosku, że bardziej kochał zwierzęta niż ludzi.

Nas, dzieci, to nie rodzice wychowywali, nie oni nas cierpliwie wysłuchiwali, nie im zawieraliśmy z ufnością nasze kłopoty – tę rolę spełniała domowa służba, osoby w rodzaju pokojówki Gogi troszczyły się o nas, odpowiadały na nasze pytania. Bez Gogi z najwyższym trudem zdołałabym przetrwać

dzieciństwo i młodość. To ona była duszą domu. Zrywała dla nas pierwsze wiosenne konwalie czy fiołki, poiła herbatą w razie przeziębienia, przynosiła pierwsze truskawki z ogrodu. Jej postać splotła się na zawsze ze wszystkimi fazami mojego dzieciństwa i mojej młodości. Była wciąż jeszcze niezwykle czynna, parzyła dla wszystkich herbatę, uczestniczyła we wszystkich gospodarskich zajęciach, zarządzała, organizowała, tylko chodziła teraz bardziej zgarbiona niż w czasach mojego dzieciństwa. Bywała rozdrażniona i w złym humorze, raz zauważyłam, że paliła papierosa w ogrodzie. Goga, która nigdy dawniej nie piła, a nawet nie jadła czekolady, bo uważała, że to grzech, teraz zaciągała się łapczywie papierosem bez filtra.

Pozostał jednak porządek dnia, jaki znałam od dzieciństwa. Codziennie rano jedliśmy z ojcem śniadanie przy długim okrągłym stole, to się nie zmieniło. Nie rozmawialiśmy prawie. W każdy piątek po południu Goga szła do kościoła, gdzie pod kierunkiem proboszcza odbywały się spotkania towarzystwa różańcowego. Pamiętam, że w tym czasie panował albo dziki upał, albo lodowaty chłód. Po wspólnej modlitwie wszyscy po kolei podchodzili do ołtarza i każdy dostawał karteczkę, po czym wpisywał na niej numer odpowiadający jakiemuś biblijnemu wersetowi. Goga kładła potem owe karteczki każdemu z nas na poduszce. Odkąd sięgnę pamięcią, wieczór piątkowy kojarzył mi się z takim właśnie rytuałem. Przed położeniem się do łóżka zaglądam do rulonika leżącego na poduszce, po czym otwieram Biblię we wskazanym miejscu i dopiero po przeczytaniu odpowiedniego fragmentu kładę się spać. Byłam wierząca, o tak, to nie ulega wątpliwości.

Agnes

O piątej rano obudzono nas i każdemu przydzielono jakąś pracę. Najpierw trzeba było przenieść z jednego miejsca na drugie dużą kupę kamieni. Ładowaliśmy te kamienie na taczki, przewoziliśmy je na przeciwległy kraniec obozu i wyładowywaliśmy na ziemię. Następnego dnia kazano nam odwieźć cały ładunek z powrotem.

Na dworze było wciąż bardzo zimno. Pamiętam, że w pewnej chwili podszedł do mnie ktoś nieznajomy i ofiarował mi używane skarpetki. Poczulałam się zaskoczona i tak wdzięczna, że nie mogłam się zdecydować, czy włożyć je na nogi, czy na ręce. W końcu nosiłam je na zmianę, to na rękach, to na nogach.

Do jedzenia nie było właściwie nic. Rano, po przebudzeniu, każdy dostawał filiżankę jakiegoś płynu, który Niemcy nazywali kawą. Miało to wprawdzie kolor brązowy, ale kawy nie przypominało ani trochę. Do tego przydzielano bardzo mały kawałek chleba. Na obiad była zupa łąkowa – tak ją nazwaliśmy

z powodu jej zielonkawego koloru i nieokreślonego smaku – ale można przyzwyczać się do wszystkiego. Dni płynęły zgodnie ze z góry ustaloną rutyną. Zapytałam dziewczynę, która spędziła tam już cztery lata, czy ktokolwiek opuścił kiedyś ten obóz żywy. Odpowiedziała, że tego obozu nikt nigdy nie opuści. Ponieważ mnie na razie wszelkie choroby jakoś omijały, nie miałam biegunki ani nie oblażyły mnie wszy, przysięgłam sobie, że ja tutaj nie umrę.

Maritta

W listopadzie roku 1944 wojna dotarła i do naszej wsi. Rosjanie coraz bardziej się do nas zbliżali – Węgrzy i Niemcy starali się odpierać ataki Armii Czerwonej. Ja wróciłam jednak do Budapesztu, ponieważ wydawało mi się, że tam będzie bezpieczniej. Moi rodzice opuścili pałac, bo wiadomo było, że Rosjanie nienawidzą arystokratów, i zamieszkali w klasztorze w Zirc, niedużym mieście położonym w zachodniej części kraju. Przez ten czas urodził się mój drugi syn, Bela. W mieście pełno było żołnierzy, samochodów ciężarowych, na każdym kroku spotykało się rannych, ulicami ciągnęli uciekinierzy, całe rodziny z nędznym, cudem ocalonym dobytkiem. Było zimno, brakowało jedzenia i wszyscy, nie wyłączając mnie, zmierzali w stronę Dzielnicy Zamkowej. Tam toczyło się jeszcze, w porównaniu z innymi częściami miasta, prawie niezmiennione życie. Nawet cukiernia Ruszwurm była czynna. Działał niewielki rynek, wszyscy ze wszystkimi coś wymieniali, rozmawiali ze sobą, a mężczyźni pili o wiele za dużo wódki, co się w tym kraju często zdarza. Wódka to wielkie zło niszczące Węgry i, niestety, nie jedyne.

Wieczorami siadaliśmy na ławce, obserwując miasto z góry, patrzyliśmy, jak coraz to płonie jakiś dom, wiedząc, że i na nas przyjdzie kolej. Kiedy w końcu Rosjanie zajęli już cały Peszt, u nas na górze zapadła nagle śmiertelna cisza. Tak jakbyśmy wszyscy równocześnie wstrzymali oddech.

Agnes

Jedynym przedmiotem, jaki zabrałam ze sobą z wcześniejszego życia do obozu, było zdjęcie mojej rodziny. Kiedy pierwszego dnia wszyscy musieli się rozebrać i poddać tatuowaniu, poprosiłam strażników, żeby mi pozwolili to zdjęcie zachować, ale oni je zabrali. Parę tygodni później leżało już na moim łóżku. To rzecz przedziwna, ale nawet w obozie zdarzały się cuda i chwile szczęścia. Nie wiem, kto mi to zdjęcie dał ani dlaczego to zrobił, może ten ktoś je znalazł? Może się nade mną ulitował? Czułam się szczęśliwa, ale nie wiedziałam, gdzie je schować, umierałam ze strachu z obawy, że mogłoby się zniszczyć. Znalazłam gdzieś między barakami puste pudełko po margarynie

i przymocowałam do niego moje zdjęcie kawałkiem drutu i obciętym brzegiem sukni czy bluzki. Dzięki temu wydawało mi się lepiej zabezpieczone. Jednak ile razy na nie spojrzałam, przenikał mnie taki ból, że w końcu oddałam je pod opiekę jakiejś dziewczynie, prosząc, żeby je dla mnie przechowała.

Maritta

Zamierzaliśmy spędzić trzy dni w katakumbach Dzielnicy Zamkowej. Przygotowywaliśmy się do tego starannie – mój kuzyn znosił całe skrzynki szampana do zamkowej piwnicy – bo z Rosjanami nie ma żartów, tłumaczył, i wszyscy się śmiali. Z trzech dni zrobiło się pięć tygodni.

Było nas dziesięcioro w tym ciasnym piwnicznym schronie. W rogu paliła się jedna świeca, dzieci darły się i śmierdziały. Brakowało wody i nie można było zmieniać im pieluszek. Lada dzień spodziewaliśmy się wkroczenia Rosjan. Zastanawialiśmy się wszyscy razem, co nas czeka, kiedy oni tu zastukają, a potem wejdą: i co się z nami stanie? Co może się jeszcze wydarzyć? Z daleka słychać było odgłosy spadających bomb i salwy karabinów maszynowych. Coraz to docierały do nas wiadomości ze świata. Oto Churchill miał się spotkać ze Stalinem nad Morzem Czarnym – co jedni uważali za wydarzenie pozytywne, inni byli przeciwnego zdania. Mnie to wszystko nic nie obchodziło – siedziałam na rozłożonym na podłodze materacu, mój starszy syn spał, a jego mały braciszek darł się niemiłosiernie. W moich piersiach od wielu dni nie było już ani kropli mleka. Próbowałam napić synka ocukrzoną wodą, ale mały Bela nie mógł tego pić. Biedak krztusił się i kaszłał.

Agnes

Zaprowadzono nas pod prysznice. Z tymi prysznicami to wygląda tak: czasem wydobywa się z nich gaz, a czasem woda. Tym razem była to woda.

Maritta

Ktoś mi poradził, żebym nacierała piersi twarogiem, bo to łagodzi stan zapalny. Ale skąd miałam wziąć twaróg? Bela robił się coraz słabszy, spał w moich ramionach całymi godzinami, aż w końcu prawie nie otwierał oczu.

Agnes

Kiedy wyszliśmy spod pryszniców, czekał już na nas Mengele z grupą innych lekarzy. Zaczęli nas oglądać z przodu i z tyłu, badać wszystkie otwory.

Przypominałyśmy szkielety – nic, tylko skóra i kości. Dostałyśmy suknie, pozostałe po różnych nieżyjących.

Maritta

Rosjanin, który nas odkrył, był mały, zgarbiony, miał twarz o mongolskich rysach, a na głowie bardzo zniszczoną futrzaną czapkę. Wyłamał drzwi do piwnicy i zszedł po schodach na dół – wtedy usłyszeliśmy pierwsze rosyjskie słowa. – No, teraz się dopiero zaczyna – powiedział mój kuzyn i, jak się okazało, ten jeden jedyny raz miał w pełni rację. Wtedy się właśnie coś zaczęło, a mianowicie czterdzieści pięć niszczących lat panowania komunizmu. Tyle że w owej chwili nic groźnego się nie wydarzyło. Ja byłam jednak w strachu. Wszyscy byliśmy w strachu, Bela spał, czoło miał rozpalone, świece już się skończyły, oliwna lampka dawała słabe światło, pozostawiając okropnie ostry zapach. Rosjanin miał dziwnie miękko brzmiący głos. Powiedział, że szuka „Nemec”, Niemców, mówił całkiem chłopcym tonem. W rzeczywistości szukał kobiet. Mnie zostawił w spokoju.

Agnes

Przez trzy tygodnie trzymali nas w zamkniętym baraku. Karmili jak dotychczas, ale nie miałyśmy nic do roboty i nie wiedziałyśmy, co nas czeka. Po trzech tygodniach, późnym wieczorem, kazano nam wyjść z tego baraku. Dostałyśmy po kawałku chleba, który był nam dobrze znany, i po małej porcji konserwowego mięsa. Po czym trzeba było wsiąść do czekającego już pociągu. Nie licząc beczki, służącej za toaletę, wagony były puste, na podłodze leżało tylko trochę słomy. Wtedy po raz pierwszy rozchorowałam się na żołądek. Przez całą drogę nie schodziłam z tej beczki. To trwało dwa dni; kiedy pociąg stanął, kazano nam wysiąść. Było nas w sumie sto pięćdziesiąt pięć osób. Po raz pierwszy się zdarzyło, że tyle żywych ludzi opuściło Auschwitz.

Maritta

Kiedy Rosjanin sobie poszedł, wyszliśmy z naszej kryjówki. Co krok spotykało się ludzi wyłaniających się z ruin niby wystraszone szczury. Ja nie miałam pojęcia, gdzie mam się z dziećmi podziać – dopiero jakiś krewny mi poradził, żebym się udała do mojej teściowej. Dzielnica, w której mieszkała starsza pani, została w znacznym stopniu zrujnowana, okna były pozbawione szyb, dachy pozrywane, lodowaty wiatr wdzierał się wszędzie. Mojej teściowej zostały do dyspozycji tylko dwa pokoje i jedno łóżko, na którym sama leżała, sparaliżowana pod wpływem ostatnich wydarzeń, skrzecząca głosem podobnym

do chrapania. Tylko tak potrafiła się odzywać. Żeby zagotować wodę na herbatę, trzeba było znosić to skrzeczenie, bo kaflowy piec, służący też do gotowania, stał tuż obok jej łóżka. Co prawda wojna rzekomo się skończyła, ale nikt nie mógł przewidzieć, co nas jeszcze lada chwila może spotkać.

Od rodziców już od dawna nie miałam żadnych wiadomości. Od męża, rzecz jasna, też.

Agnes

Drzwi pociągu otworzyły się. Strażnicy stali wzdłuż toru – był już późny wieczór – i kazali nam ruszyć naprzód wąską nieoświetloną ścieżką. Byłam bardzo słaba, miałam okropną biegunkę i szłam z wielkim trudem. Moje najbliższe towarzyszkę podtrzymywały mnie i pomagały się podnieść, kiedy się potykałam. Za plecami słyszałyśmy wrzaski niemieckich oficerów: „*Los geht's! Los! Los!*”. Nigdy tych słów nie zapomnę. Sama nie wiem, jak ten marsz wytrzymałam, ale w końcu późną nocą dotarliśmy do jakiejś fabryki. Była to przędzalnia. Nie wolno nam było nikomu opowiadać, skąd przyjechałyśmy i co przeżyłyśmy w Auschwitz. Wprowadzono nas do pomieszczenia, w którym stały łóżka z używaną cudzą pościelą. Pozwolono nam przespać się na tych łóżkach. Należały one do kobiet, które miały w przędzalni nocną zmianę. Kiedy nazajutrz szłyśmy do pracy, one kładły się spać na tych samych łóżkach. W porównaniu z Auschwitz wiodło nam się tu lepiej.

Kierownicy zmian mieli prawo dobierać sobie robotnice, więc znowu nas oglądano, sortowano i poddawano kwarantannie. Przy tej okazji niektóre kobiety zorientowały się, że są w ciąży w związku z brakiem menstruacji. Usiłowały to w miarę możliwości ukryć, bo wszystkie ciężarne nieoczekiwanie znikwały i nie wiadomo było, co się z nimi stało.

Nasz kierownik zapytał, która z nas zna niemiecki, i w ten sposób przydzielono mnie do pracy w suszarni, gdzie musiałam pomagać przy wieszaniu siedemdziesięcio-, a czasem nawet osiemdziesięcikilogramowych bel materiału. I na tym polegała teraz moja praca. Dzień w dzień.

Któregoś ranka obudziłam się z okropnym bólem zęba. Mój kierownik posłał mnie ze strażnikiem na wieś do dentysty, na którego drzwiach widniał napis: „Żydów nie leczymy”. Mimo to weszliśmy do środka. Dentysta kazał mi otworzyć usta, sięgnął po szczypce i szarpnął z całej siły. Wszystko to odbyło się na stojąco. Parę minut potem wyszliśmy na ulicę, ale ból nie ustępował. Lusterka nie miałam, szybko jednak zorientowałam się, że dentysta wyrwał mi niewłaściwy ząb. Na szczęście był pod bokiem dentysta żydowski, którego dyrektor fabryki przysyłał do nas raz w miesiącu. Powiedziałam mu: „Ja od tego

zęba chyba umrę”. A on mnie zapewnił: „Wojna się wkrótce skończy. Postaraj się wytrzymać”. I oto zaraz potem fabrykę niespodziewanie zamknięto. Nie musiałyśmy już suszyć żadnych tkanin, bo trzeba było pomóc przy budowaniu schronów dla niemieckiej ludności, żeby ją zabezpieczyć przed alianckimi bombami. Ta praca była okropnie wyczerpująca, bo trzeba było kopać głębokie doły, a brakowało odpowiednich narzędzi. Tuż obok znajdowała się kopalnia węgla, a tam pracowali francuscy jeńcy wojenni, którzy podrzucali nam karteczki z wiadomością, że wojna się zaraz skończy. Tak mijał tydzień za tygodniem, w powtarzającym się regularnie rytmie dnia. Aż nadszedł ranek, kiedy nikt nas nie zbudził. Po raz pierwszy od wielu miesięcy panował zupełny spokój.

Maritta

Przez pewien czas byłam zadowolona, że znalazłam schronienie u mojej teściowej. Mimo ciężkiej sytuacji, w jakiej się wtedy wszyscy znajdowali, zdarzały się też momenty zabawne, na przykład kiedy wybrałyśmy się z moją kuzynką i dwoma dziecięcymi wózkami, żeby ukraść trochę węgla. Całe miasto było w gruzach, wszystkie mosty runęły na dno Dunaju. Codziennie zjawiali się jacyś krewni czy kuzyni, w mieszkaniu robiło się coraz ciasniej, roilo się od dzieci, które wokół łóżka pani domu bawiły się w chowanego – i było to całkiem niezłe wyjście z sytuacji.

Agnes

Na ogół pukanie słyhać było około piątej rano, ale tamtego dnia nic takiego się nie wydarzyło. Leżałyśmy więc w łózkach aż do trzeciej po południu, kiedy ktoś nas poinformował, że powinnyśmy się udać do jakiegoś baraku. Dyrektor fabryki i oficer SS stali tam na stole, trzymając w rękach klucze. „Dostaliśmy właśnie wiadomość – krzyknęli obaj – że Niemcy się poddały! Wojna się skończyła”. Po czym obaj odrzucili klucze na znak, że wreszcie jest już po wszystkim. No, a co my miałyśmy teraz począć?

Maritta

Większość znajdujących się w tym mieszkaniu dzieci była niedożywiona, chora i bez sił, ale wszystkie przeżyły. Wszystkie z wyjątkiem mojego synka. Bela zmarł w dniu, w którym wojna się skończyła.

Dmuchał w nas lodowaty wicher, kiedy po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku szliśmy krok w krok za kierowcą taksówki, który prowadził nas przez rozległy parking do swojego auta.

– Dla mnie podróż do Rosji to to samo, co dla Żydów podróż do Auschwitz – oświadczył mój ojciec w drodze do hotelu, w który go wrobiło biuro podróży w Budapeszcie: szarobura wieża wznosiła się pośród licznych pasażerów handlowych – wszystkie sklepy były zamknięte, a może też nigdy się jeszcze nie otworzyły. Wysiedliśmy z taksówki, przeciągnąłem jego walizkę na kółkach przez pozostałe po deszczu czarne kałuże i przyłączyłem się do grupy osób czekających przed recepcją i wymachujących nerwowo paszportami. Obok holu znajdował się niewielki bar, do którego zaprowadziłem mojego ojca, żeby chwilę odpoczął po długim locie i po pierwszych wrażeniach – sam nie wiem, po czym jeszcze. Chciałem nam obu oszczędzić czekania na klucze do hotelowego pokoju wśród uzbeckich przedsiębiorców i kierowców ciężarówek z Astany. Obserwowałem mojego ojca, jak siedzi, popijając piwo – starszy pan w szarej zimowej kurtce, zapiętej pod szyję, i w nowych butach, z których wystawały kępki sztucznego futerka. Nie patrzył w telewizor ani nie obserwował innych hotelowych gości, którzy się wokół niego kręcili. Nie interesowały go też liczne prospekty leżące na ladzie i reklamujące okoliczne szaszłykarnie, kasyna, kluby ze striptizem – po prostu chciał sobie spokojnie posiedzieć, tylko to mu było potrzebne. Nie znam nikogo, kto potrafiłby równie długo jak on siedzieć bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Przypomniało mi się wtedy zdanie, które już w dzieciństwie przy każdej okazji przesuwano się przed moim wewnętrznym okiem, jak na czerwonym wyświetlaczu: Uważaj na ojca. Tylko, że nigdy nie wiedziałem, jak mam to zadanie realizować.

„Jak się czujesz?” – wpisałem w mój telefon. Dzielilo nas najwyżej dwadzieścia metrów. Czekałem, aż to pytanie do niego dotrze, a on lekko drgnie, słysząc pomruk swojej komórki. Gdzie ona się podziała? Z przodu czy z tyłu? Z przodu, w kieszeni spodni. Zdjął okulary, żeby odczytać wiadomość. Patrzyłem, jak mi odpisuje, widziałem palec wskazujący na małym ekraniku.

Znałem tę odpowiedź. Używaliśmy między sobą od zawsze takiego żartobliwego powiedzonka – każda rodzina ma przecież jakieś własne słowa klucze. A nasze brzmiały: Jako tako.

Jako tako, tymi słowami określaliśmy dawniej każdą nadarzającą się sytuację. Dotyczącą szkoły, jedzenia, stanu ducha. Jak ci dziś poszło? Jako tako. Jak ci się grało w tenisa? Jako tako. A jak u ciebie w biurze? Jako tako. Nigdy nic nie wyglądało naprawdę dobrze. Zawsze groziło jakieś nieszczęście – nawet kiedy świeciło słońce, niebo już zaciągało się chmurami. Mój ojciec nigdy niczego nie ubarwiał, nigdy się nie przechwalał. Nad całym moim dzieciństwem wisiało wciąż jakieś zagrożenie, perspektywa straty czy klęski; zdawało się, że w każdej chwili może nastąpić jakaś totalna katastrofa.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w naszym pokoju na czternastym piętrze, na dworze było już całkiem ciemno. Stojąc w oknie, widziałem pojedyncze światła aż po horyzont, ale pomiędzy nimi rozciągały się rozległe czarne przestrzenie. Może był to nieduży lasek albo park, albo też gigantyczne cmentarze samochodów czy wszelkiego rodzaju nieużytki, na pół gotowe domki, z których wystawały żelazne sztangi.

– Istnieje pewna forma brzydoty, która mi się wydaje piękna – zwierzyłem się ojcu, co brzmiało jak wyznanie studenta architektury, który dotarł do trzeciego semestru; chodziło mi jednak o przełamanie tego piekielnego milczenia między nami. – Podobnie jak te tak zwane piękne miasta, które mnie odrzucają, bo są takie rozkoszne, rozumiesz, o co mi chodzi? – to brzmiało jeszcze gorzej, ale czy ja naprawdę użyłem słowa „rozkoszne”? Ponieważ on mi nie odpowiedział, spojrziałem w jego stronę. Leżał na łóżku, ale nie spał. Nie zdjął nawet kurtki, tylko okulary odłożył na nocny stolik – a bez nich wyglądał jak całkiem obcy człowiek.

* * *

Mój dziadek miał za sobą dziesięć lat rosyjskiej niewoli. Od roku 1945 do 1955. Jego dossier z tego okresu obejmuje blisko sto stron. Przeleżało sześćdziesiąt lat w wojskowym archiwum, zanim ja do niego dotarłem, zleciłem sporządzenie fotokopii i dokonanie tłumaczenia. Znajdują się tam dwa zdjęcia ukazujące mojego dziadka takim, jakiego ja go nigdy nie widziałem. Jedno z tych zdjęć zostało wykonane wkrótce po aresztowaniu, ma wtedy trzydzieści lat i jest ubrany podobnie jak obecni młodzi posthipisi spotykani na targach ze zdrową żywnością w Brooklynie, Berlinie czy Zurychu: w luźno tkany sweter, koszulę drwala, ciemną kurtkę, brązowe sznurowane buty z cholewkami

sięgającymi łydki. Ma bardzo zdrowy wygląd, lekki zarost, wysokie czoło i ani śladu rozpaczy w oczach, tak podobnych do moich.

Drugie zdjęcie pochodzi z roku 1955, jest więc o dziesięć lat późniejsze, a wykonane zostało w obozie 84, znajdującym się w mieście o nazwie Azbest, w górach Uralu, na Syberii Zachodniej. Major o nazwisku Simanowski przyłapał mojego dziadka na łamaniu obozowych reguł. Oto raport z 1 kwietnia 1955 roku: „Skazany Batthyány wsunął rękę przez druciane ogrodzenie i usiłował jeńcowi T., znajdującemu się w owym czasie w areszcie w odosobnieniu, podać razowy chleb z masłem i kielbasą, 100 g cukru i 4 papierosy”.

Za ten czyn, pisał Simanowski, wyznacza karę siedmiu dni aresztu w odosobnieniu. Mój dziadek skarżył się jednak na gorączkę i bóle w okolicy nerek. Simanowski, arcysumienny strażnik, zadał sobie trud zmierzenia wspomnianej gorączki. „Stwierdziłem tylko 37,3 stopnia. Wygląda to na wprowadzanie w błąd” – czytałem głośno mojemu ojcu w naszym hotelowym pokoju, ale on nie zareagował. Może jednak zasnął? Pewnie sam siebie przeklinał, bo najchętniej znalazłby się teraz w swoich czterech ścianach. Wróciłem do rozpoczętej lektury: „Stan zdrowia pozwala na tydzień aresztu w odosobnieniu”. Simanowski zamknął mojego dziadka 2 kwietnia i wypuścił go 9 kwietnia.

Kim mógł stać się później ów Simanowski? Wiernym sowieckim obywatelem z Marksem i Leninem na bibliotecznym regale? A może zasłużonym urzędnikiem, członkiem partii komunistycznej, a za Gorbaczowa już emerytem w zrobionej na drutach kamizelce z ochraniaczami na łokciach i skromną daczą gdzieś na wsi. Czy pamiętał tych wszystkich jeńców, bicząc sobie w saunie plecy brzoźową różgą?

A może los jego potoczył się inaczej. Lata przepracowane w łagrze uczyniły z Simanowskiego przeciwnika reżimu, Marks i Lenin wylądowali w piwnicy, a ich miejsce zajął Sołżenicyn i pierwsze polityczne dzieła Václava Havla, którego w głębi ducha uwielbiał. Potem roznosił ulotki, a kiedy Gorbaczow zapowiedział pierestrojkę, wyszedł na ulicę, żeby go oklaskiwać. Czy wspominał czasy spędzone w Azbeście, słuchając ulubionego fragmentu *VI Symfonii Patetycznej* Czajkowskiego?

Jak wielu takich ludzi chodziło po świecie? Takich jak Simanowski? Podczas wojny byli młodzi, a w latach osiemdziesiątych, kiedy ja dorastałem, stali się poczciwymi seniorami z plamami na twarzy i nosili okulary, których szkła od blasku słońca ciemniały. Wszędzie w Europie karmili gołębie, przesiadywali w rozmaitych parkach w cieniu potężnych platanów i obce niemowlęta głaskali po główkach. Czterdzieści lat wcześniej byli strażnikami, żołnierzami, tajnymi

policjantami, szpiclami, prowadzili przesłuchania, torturowali, mordowali, żądali wyższych kar i pisywali protokoły, takie jak Simanowski o moim dziadku. Zdjęcie zrobione mu w roku 1955, w dniu, kiedy go osadzono w areszcie w odosobnieniu, nie ukazuje już żadnego hipstera, tylko klasycznego kacetowca, jakiego znałem z filmów Spielberga. Ogolona głowa, brak paru zębów, martwe spojrzenie. Bez słowa wręczyłem to zdjęcie memu ojcu. Leżeliśmy teraz obaj, każdy na swoim łóżku. Ojciec trzymał fotografię tuż przed oczami, tak że dotykał jej czubkiem nosa i wprawiał w ruch własnym oddechem.

– Cóż to za podłe gówno – powiedział, podczas kiedy ja wyszukiwałem w sieci nazwiska Simanowski. Było przeszło dziesięć tysięcy trafień, wśród nich znalazł się dostawca napojów z okolic placu Czerwonego.

– Pójdziemy się czegoś napić? – zapytałem.

– O tej porze?

– Jesteśmy przecież w Moskwie, chociaż od nas z góry na to nie wygląda. Gdzieś tu muszą być jacyś ludzie, jakieś restauracje, jakieś kawiarnie.

– Jesteś tego pewny?

– Nie. Zejdę jednak na dół i porozumiem się przez Skype'a z dziećmi, stamtąd będzie lepszy odbiór.

– Pozdrów ich ode mnie.

– Pewnie zapytają jak się czuje dziadek. Co mam im odpowiedzieć?

– Powiedz im: jako tako.

* * *

Na dole tłum ludzi wciąż jeszcze czekał przed recepcją i tak będzie przez całą noc. Rosja jest krajem obejmującym jedenaście stref czasowych, więc do Moskwy przez okrągłą dobę przybywają ludzie, jedni, by odwiedzić krewnych, inni, by załatwić tu interesy.

Włączyłem mój komputer i po niedługiej chwili zobaczyłem żonę i dzieci tłoczące się przed ekranem, i wszyscy mówili równocześnie, tak że niewiele do mnie docierało.

– Czy w Ruslandii jest też pasta, tato? – pytali.

– Czy dziadek widział białego niedźwiedzia?

Opowiadałem im przed wyjazdem, jak zimno jest w Rosji, na co chórem zapytali, czy tak zimno jak u białych niedźwiedzi. Po paru minutach moja żona zrobiła z nimi porządek.

– Pozwólcie mi też coś powiedzieć – usłyszałem jej głos i zobaczyłem rozchwiane obrazy. To czyjeś kolano, to włosy, po czym znów głos żony:

– A teraz sio! Do pokoju!

Potem jeszcze głośniejsze wrzaski i gwałtowne trzaśnięcie drzwiami.

– No, już jestem! – zawołała żona. – Jak wygląda Moskwa?

– Niewiele widzieliśmy. Pada deszcz, a ja nie mam ciepłych butów.

– To kup je sobie.

– Właśnie zamierzam to zrobić.

– Jak się ze sobą dogadujecie, ty i twój ojciec?

Najchętniej odpowiedziałbym: jako tako, co byłoby zgodne z prawdą – tymczasem zacząłem jej się zwierzać, jakie przygnębiające robi on na mnie wrażenie.

– Biedak jest nieustannie zmęczony – mówiłem – jakby na wszystko zobojętniały. Czy ja też taki jestem?

– Niby jaki?

– Taki zamknięty w sobie.

– Daj mu jeszcze trochę czasu – poradziła mi, a ja kiwnąłem głową.

– Jak tam dzieci?

– Narzekają na ból gardła.

– Ojej, biedaki.

– Nie jest tak źle.

– No, to okay – uspokoilem się.

– Okay – odpowiedziała.

W tle widziałem nasz duży pokój, zielone fotele, regał z książkami, nad którego wyborem długo zastanawialiśmy się, zanim zdecydowaliśmy się kupić właśnie ten. Na podłodze leżały oba gumowe dinozaury, o które wieszaliśmy się potykali, kiedy w nocy któremuś z dzieci coś złego się przyśniło albo zachciało się pić i trzeba było wstać, żeby je uspokoić. Jeden dinozaur miał śpiczaste zęby, a drugi długą żółtą szyję. Na ekranie trudno je było rozróżnić, ale ja dokładnie wiedziałem, który jest który. Oba należały do naszego świata.

– Uważaj na siebie – powiedziała moja żona.

– Zamelduję się z Syberii – odpowiedziałem i ten żart wydał mi się niezły.

Wystarczyło jedno kliknięcie i już jej nie było.

Mój dziadek Feri był lejtnantem armii węgierskiej, sprzymierzonej z Niemcami i walczącej z nimi ramię w ramię przeciwko nacierającej coraz gwałtowniej Armii Czerwonej. Ostatni postój jego oddziału miał miejsce pośród winnic pokrywających wzgórze wokół miasta Székesfehérvár, niedaleko Balatonu. Kiedy front obronny przeciwko Rosjanom załamał się na terenie Węgier w styczniu 1945 roku i najbardziej zaciekle walki toczyły się wokół stolicy, a oddziały Wehrmachtu z dnia na dzień wycofały się z frontu, również mój dziadek odesłał pozostających pod jego rozkazami żołnierzy do domu, a sam udał się okrężnymi drogami w kierunku odległej o dwadzieścia pięć kilometrów wsi o nazwie Sárosd, gdzie moja babka Maritta i Agnes wzrastały, widując się niemal codziennie. Pałac należący do mojej rodziny został doszczętnie zrujnowany i splądrowany, dach spalony. Dom Agnes stał jeszcze, ale sklep był pusty, okna zabite deskami, a jej rodzice nie żyli. Ludzie, wystraszeni, siedzieli w domach, nikt nie wychodził, kościół zamknięty, z Cyganami koczującymi przed wjazdem do wsi nie wiadomo, co się stało, może zostali zagazowani w jakimś obozie, może poszli w zapomnienie, bo nikt się o nich nie martwił.

Feri schronił się u znajomego gospodarza. Z owego okresu zachowało się sporo listów i dokumentów, tak że na ich podstawie ówczesne wydarzenia da się bez trudu odtworzyć: mój dziadek już zamierzał swój mundur zakopać, kiedy wyszło zarządzenie, że każdy, kto służył w węgierskim wojsku, ma się zgłosić do sowieckiej komendantury po nowy dowód osobisty. A ponieważ dziadek chciał pojechać do Budapesztu, do żony i synków, a w tym celu potrzebne mu były dokumenty, udał się do wymienionego biura. Broń, zegarek i obrączkę pozostawił u gospodarza, na co miał licznych świadków:

Proboszcza: „Odradzałem mu meldowanie się Rosjanom i wręczyłem kartkę, na której zapisana była najbliższa godzina odjazdu pociągu do Budapesztu. Feri mnie jednak nie posłuchał. «Nie popełniłem żadnego przestępstwa – powiedział – więc nie mam się czego bać»”.

Gospodarza: „Zastanawialiśmy się, czy może się za tym kryć jakaś pułapka, ale człowieka, który szuka żony i dzieci, nie da się powstrzymać. Zostawił

u mnie obrączkę, zegarek i broń. Jego żona wszystko to później odebrała”.

Petiego, stangreta: „Drogi do Budapesztu były kontrolowane przez Rosjan. Poradziłem mu, w jaki sposób może bez dokumentów, okrężnymi drogami dotrzeć do stolicy. Sam bym go przeprowadził. Byłem gotów zrobić wszystko dla tej rodziny. Ale on nie chciał słuchać mojej rady”.

Z tych trzech doradców wiejski proboszcz był mu najbliższy, człowiek, który wiedział też wszystko o śmierci obojga państwa Mandlów.

Moja babka opowiedziała mu w konfesjonale, co się wydarzyło. Mówiła o strzałach, opisując bardzo dokładnie, jak żwir się rozpryskiwał, kiedy pan Mandl padał na ziemię. Mówiła, że powinna była wtedy działać, coś zrobić. „Czy to nie jest nasz obowiązek?!” – krzyczała przez drewniane kratki konfesjonału. I nagle zaczęła drzeć, bo zrobiło się jej zimno. Ksiądz prosił, żeby się uspokoiła, żeby tak głośno nie krzyczała. Wtedy usłyszał, jak moja babka uderza głową o konfesjonał, a potem osuwa się na ziemię, tracąc przytomność.

Feri nie posłuchał jednak ani jego, ani dwóch innych doradców. Nie docenił powagi sytuacji, nie przewidział, co jeszcze może się zdarzyć, wojna prawie się już skończyła, wszyscy przecież tę wieść głosili. A może to wiara w Boga mu przyświecała? Zapewne niczego nie podejrzewając, ruszył, by spotkać się z Rosjanami. Na wstępie zetknął się z młodym sowieckim porucznikiem, który znał niemiecki i francuski, który nie ryczał, przeciwnie, był uprzejmy, niemal serdeczny, a jego zadaniem było przesłuchać wszystkich członków armii węgierskiej. Ponieważ ów porucznik szukał tłumacza, zaproponował mojemu dziadkowi współpracę.

Ów Rosjanin, w którego towarzystwie mój dziadek spędził najbliższe tygodnie, nazywał się Efim Etkind. Miał wtedy dwadzieścia siedem lat, później został cenionym literaturoznawcą, który w połowie lat siedemdziesiątych musiał z przyczyn natury politycznej opuścić Związek Sowiecki. Etkindowi, byłemu żołnierzowi Armii Czerwonej, zarzucono posiadanie rękopisu książki Aleksandra Sołżenicyna *Archipelag Gułag*, czym dopuścił się zdrady stanu. Poza tym pozostawał w kontakcie z krytycznie do Związku Sowieckiego nastawionym pisarzem Josifem Brodskim, co okazało się wystarczającym powodem, by zajęli się nim ludzie z KGB.

Efim Etkind i mój dziadek spotkają się, już jako dwaj starcy, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Zimna wojna już dawno odeszła w przeszłość, Jelcyn jest przy władzy, Związek Sowiecki przestał istnieć. Etkind ma niemiecką żonę, mój dziadek jest w szponach demencji. Dźwigając pięćdziesiąt lat dziejów świata na karku, siedzą sobie ci dwaj siwowłosi staruszkowie spokojnie na kanapie.

Wtedy byli jednak całkiem młodzi i prowadzili przesłuchania gdzieś na węgierskiej prowincji, a wojna miała się zaraz skończyć. Etkind zadawał pytania, mój dziadek je tłumaczył – aż do dnia, kiedy kompania Etkinda została odwołana, czyli około połowy 1945 roku.

Mojego dziadka przeniesiono czym prędzej do najbliższego obozu jeńców wojennych. Nie występował tam już w roli tłumacza, stał się tylko jednym z wielu jeńców. Drut kolczasty otaczał teren o powierzchni boiska do piłki nożnej i dzień w dzień przybywali tam nowi jeńcy. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka? Czy żałował, że sam dobrowolnie stawiał się w ratusz? Był jednak bardzo pobożny – tak mówili ci, co go dobrze znali – należał do tych nielicznych prawdziwie uduchowionych, natchnionych przez Boga. Sam nigdy nie zachowywał się głośno, nie był typem przywódcy czy buntownika. Większość czasu spędzał gdzieś w kącie na modlitwie. Tak, właśnie tak mój dziadek mógł się zachowywać. Głęboko ufał Bogu. Ale czy nigdy nie zadawał sobie pytania, gdzie ten przeklęty Bóg się podziewał w owych latach, kiedy w Europie umierały miliony ludzi?

Podczas gdy mój dziadek rozmyślał w obozie zbornym o żonie i dzieciach, Budapeszt płonął. Rosyjskie oddziały okrążyły resztki pozostałych żołnierzy niemieckiej i węgierskiej armii, na ulicach pełno było zabitych, sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi zginęło, w tym trzydzieści tysięcy cywilnych mieszkańców miasta. 13 lutego rosyjscy żołnierze wywiesili sowiecką flagę na budapeszteńskim zamku, bitwa dobiegła końca.

Wiele tygodni potem, kiedy padł ostatni strzał, na ulicach leżały trupy zabitych koni, między którymi musiała przedzierać się moja babka z dwojgiem dzieci, zanim dotarła do mieszkania teściowej znajdującego się w jednej z nielicznych ocalałych dzielnic miasta. Bela, jej drugie dziecko, spał w kołysce, był blady i okropnie wychudzony. Po ulicach ciągnęły, śpiewając, oddziały sowieckich żołnierzy, turkotały ciężarówki z czerwoną gwiazdą. Coraz to dobijali się do okien złodzieje, ranni lub głodni, chcąc ogrzać się w ciepłe, posilić zupą – jednak moja babka, jej szwagier i wszyscy inni, którzy mieli jeszcze dość siły, przepędzali ich, wymachując ciężkimi patelniami i obtłuczonymi butelkami.

Wkrótce wojna się skończy – pocieszano się – wkrótce miną te czasy, kiedy ludzie zachowują się jak zwierzęta.

Pewnego dnia zadzwonił do drzwi jakiś mężczyzna. Był to Rosjanin. Żołnierz. – Przynoszę wiadomość o pani mężu – zwrócił się do mojej babki po francusku. Miał ciemne włosy, był szczupły i jakby onieśmielony. Nazywał się Efim Etkind. – Spotkałem się z Ferim. Pracował dla nas jako tłumacz. –

Zapewnił moją babkę, że Feri dobrze się czuje i niewątpliwie wkrótce się tu zjawi. – Myśmy się prawie zaprzyjaźnili – powiedział, żegnając się.

* * *

Wszystko to działo się w owych szczególnych dniach tuż przed końcem wojny, kiedy ludzie jeszcze nie pojmowali, na jakim świecie się znaleźli. Agnes pracowała owej wiosny 1945 roku poza budynkiem przędzalni. Miała na swojej kościstej sylwetce nędzny więziński łań, a w ręku śpiczasty kilof do drążenia dziur w ziemi. Jej nowe zadanie polegało na budowaniu bunkrów. Trzeba było zabezpieczyć niemiecką ludność przed nalotami aliantów. Podnosiła więc kilof do góry i spuszczała z rozmachem, by go wbić w zamarznięty grunt. W tym samym czasie moja babka Maritta w Budapeszcie trzymała na ręku swoje drugie dziecko, które już prawie się nie ruszało i nic nie jadło – zaś ciotka Margit i wuj Ivan w Rechnitz, niewielkiej miejscowości w Burgenlandzie, kazali przynieść wino i szampana z piwnicy, bo szykowało się huczne przyjęcie.

W Rechnitz strzelały pierwsze korki, Margit oraz Ivan tańczyli, pijąc prosto z butelek, byli przecież jeszcze młodzi. Agnes leżała w baraku, pogrążona w głębokim śnie. Tej samej księżycowej nocy pod koniec marca moja babka, nic nikomu nie mówiąc, pochowała swoje drugie dziecko – a mój dziadek Feri siedział w jednym z wagonów zmierzających w kierunku gułagu. A kiedy do pałacu w Rechnitz nadeszło około północy telefoniczne polecenie natychmiastowego pozbycia się czekających na dworcu stu osiemdziesięciu Żydów, ciotka Margit i wuj Ivan wysłali tam swoich ludzi, którzy mieli to zadanie za nich wykonać.

Parę dni później wojna naprawdę się skończyła, Hitler się zastrzelił. I ta godzina zero wybiła całkiem cicho: Agnes zbudziła się – leżała na cienkim materacu w baraku, znajdującym się gdzieś w Polsce – zdziwiona tym nieoczekiwanym spokojem: nikt nie walił do drzwi, nie słychać było porannego apelu ani wrzasku strażników, dokoła panowała tylko ta dziwna cisza. W Budapeszcie moja babka spakowała swoją walizkę, wzięła za rękę jedyne dziecko, jakie jej zostało, i opuściła mieszkanie teściowej, ruszając na poszukiwanie rodziców. Kiedy jednak skręciła w najbliższą ulicę, zobaczyła nagle płynący z wolna potok ludzi – brudnych, wygłodniałych mężczyzn i kobiet, zmierzających z powrotem do swoich dzieci, sąsiadów, krewnych. Wracali z obozów koncentracyjnych, więzień, lazaretów. Wynurzali się z rozmaitych kryjówek, piwnic, ruin zbombardowanych domów.

Zdjęcia przedstawiające Europę Wschodnią z owych czasów ukazują sceny jak z Apokalipsy, zrujnowane miasta, popalone wsie, słupy dymu na horyzoncie,

resztki drutów kolczastych w przydrożnych rowach, opuszczone baraki dawnych obozów rozrzucone po nieuprawianych polach, martwe konie porzucone w bagnach.

W miastach takich jak Budapeszt, pełnych trupów, powietrze miało jakąś dziwną gęstość, ale bez zapachu – tak opowiadali ci, co przeżyli – zostawiało jednak na skórze coś w rodzaju mydlanej warstwy, której nie dawało się niczym zmyć, mimo uporczywego ścierania. Twarz, ramiona i nogi pokrywały się tą dziwną warstwą natychmiast z powrotem.

Ów człowiek, który kiedyś zadzwonił do drzwi mojej babki, ten uprzejmy, nieśmiały Rosjanin Efim Etkind, w jednym się pomylił: na powrót mojego dziadka do Budapesztu trzeba było czekać dziesięć lat.

* * *

Najpierw Feri został zawieziony do rosyjskiego miasta garnizonowego o nazwie Woroneż, oddalonego od Moskwy o pięćset kilometrów, do obozu 82, na oddział 6. Ten odcinek jego jenieckiej drogi nie został utrwalony na piśmie. Mógł jednak mieć przebieg podobny do losu węgierskiego pisarza Istvána Örkényego, który, podobnie jak mój dziadek, dostał się do niewoli rosyjskiej, i to, co go spotkało, opisał w książce *Làgerek nêpe*: więcej niż trzydziestu mężczyzn siedziało tam na nagiej podłodze wagonu – kilku udało się ulokować na pryczy, na którą dorzucono im rannego, lekarza, niegdyś świetnego pływaka, z amputowanymi obiema nogami. Na owej pryczy znalazło się jeszcze miejsce dla niego. Szóstego dnia podróży pociąg rama pryczy się obluzowała i jedna jej część zsunęła się na ziemię, kiedy pociąg się zatrząsł, i ranny zjechał z siedzenia – jego kości jeszcze nie zdążyły się zrosnąć, więc upadek go bardzo uraził i biedak krzyczał z bólu. Towarzysze próbowali mu ulżyć, poprawiając pryczę, ale w gruncie rzeczy każdy myślał wtedy głównie o sobie – i ranny po dwóch dniach cierpienia zmarł.

Żaden z jadących wtedy jeńców nie potrafił się zdobyć na współczucie w stosunku do towarzyszy. Kierowały nimi w owej sytuacji najbardziej elementarne instynkty. Nawet wspomnienia bladły. Przypisywano ten stan pozostałościom po tyfusie, ale w gruncie rzeczy przyczyną było wynikię z nieludzkich warunków równie nieludzkie zobojętnienie.

W trzy lata po aresztowaniu, w roku 1948, kiedy na Węgrzech komuniści objęli władzę, a moja babka Maritta musiała pogodzić się z faktem, że pewna epoka się skończyła i cały dotychczasowy społeczny porządek stanął na głowie – mój dziadek Feri został w Woroneżu skazany na śmierć. Rzekomo, tak brzmiał wyrok, razem z innymi węgierskimi jeńcami wojennymi pobił niewinnych

obywateli wsi Iłowka, a niejakiego pana Djuretskiego zastrzelił. Kilku świadków go rozpoznało.

Batthyány, Ferenc, numer jeniecki: 34897534

Miejsce urodzenia: Kittsee, 1915

Wzrost: średni

Sylwetka: szczupła

Szyja: długa

Twarz: trójkątna

Uszy: małe, okrągłe, odstające

Zawód: prawnik

Stopień wojskowy: lejtnant, dowódca kompanii armii węgierskiej, 206. dywizja artylerii

Inne: pochodzi z książęcej rodziny właścicieli wielkich majątków ziemskich

– Jestem niewinny – oświadczył podczas procesu i odmówił złożenia podpisu pod wyrokiem.

– Jesteś hrabią? – padło pytanie.

– Tak.

– No to przyznaj się, jak wyzyskiwałeś proletariuszy.

– Nikogo nie wyzyskiwałem.

– Jesteś hrabią czy nie?

– Przecież to nie moja wina.

– Stul pysk!

Dwa lata później wyrok został zrewidowany, karę śmierci zamieniono na dożywocie. Stalin okazał się wielkoduszny i Feri został przeniesiony z Woroneża do Stalingradu, do obozu 362. „Stan zdrowia: dobry; choroby zakaźne: brak” – napisano na skierowaniu. Dodatkowa uwaga: „wymagany zaostrożony rygor”.

W rok później Feri został przeniesiony do obwodu swierdłowskiego w pobliżu Jekaterynburga w Uralu; najpierw do miejscowości Rewda, potem do miasta Azbest, gdzie gołymi rękami musiał wydrapywać z wiecznej zmarzliny ułamki rakotwórczych skał, wykorzystywane potem do budowy domów.

Dzienniki IV

Agnes

Cóż więc robiłyśmy tamtego dnia, kiedy wojna się skończyła? Po tym gdy dyrektor fabryki odrzucił klucze i powiedział, że jesteśmy wolne, pobiegłyśmy pędem do drzwi. Przed bramami stali ci sami strażnicy, których rozkazy musiałyśmy przez cały czas wykonywać – ale teraz rozdawali zupeł.

Potem tego samego niezwykłego dnia jeździłyśmy z rosyjskimi żołnierzami na ich czołgach, a oni dawali nam chleb i słoninę, i pokazywali, jak się po rosyjsku salutuje. Kiedy zapadł zmrok, wróciłyśmy do naszych baraków. Bo gdzie miałybyśmy nocować? Ale Rosjanie czatowali na nas. To było okropne. Ogarnęło ich istne szaleństwo. Nikt nie był w stanie nad nimi zapanować, nie słuchali niczyich rozkazów. Wojna się skończyła i nie musieli się już z niczym liczyć. Pukali do naszych drzwi, żądając, żebyśmy ich wpuściły. Okropnie się wtedy bałam. Ale i tym razem miałam szczęście, bo jedna z dziewcząt z naszej grupy mówiła trochę po rosyjsku. Powiedziała, że wszystkie cierpimy na jakieś stany zapalne. Przekonałyśmy się wtedy, że jeden tylko argument mógł do Rosjan trafić: strach przed zakaźną chorobą.

Maritta

Podczas kiedy ja koniec wojny spędzałam w budapeszteńskiej piwnicy, moi rodzice tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej do naszej wsi zdążyli się schronić w klasztorze cystersów w Zirc, małym miasteczku w zachodniej części Węgier. Tam przetrwali najtrudniejszy czas względnie bezpiecznie. Wkrótce potem, w kwietniu 1945 roku, dotarłam tam i ja z moim trzyletnim synkiem. Było to już wtedy moje jedyne dziecko. Ponieważ mój dom rodzinny został częściowo zbombardowany, a ocalały jego fragment Rosjanie zajęli na wojskowy lazaret, po powrocie zamieszkaliśmy w dawnym domku myśliwskim. Znajdował się on daleko od wszelkich połączeń komunikacyjnych, w środku rozległego lasu, był pozbawiony wody, prądu elektrycznego, kompletnie odcięty od świata. Wiadomości, które tam z rzadka docierały, nie zawsze były wiarygodne. Usłyszałam na przykład, że ktoś spotkał mojego męża Feriego

w jakimś rumuńskim obozie jenieckim. Był rzekomo bez płaszcza i na nogach miał tylko półbuty. Jego jednostka została wywieziona gdzieś dalej na wschód. Po latach doszła do mnie wiadomość, że w tym samym czasie rosyjski sąd wojskowy skazał go na śmierć. Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej powstał na Węgrzech, pod osłoną zwycięskich mocarstw, demokratyczny rząd. Po raz pierwszy w dziejach tego państwa odbyły się na Węgrzech wolne demokratyczne wybory. Pierwsza jednogłośnie podjęta uchwała nowego rządu wywołała wstrząs, porównywalny ze zjawiskiem przyrodniczym. Była to reforma rolna, najradykalniejsza, jaką można było sobie wyobrazić. Miała ona dosłownie wszystko zmienić. Właściciele ziemscy zostali wywłaszczeni, ich ziemia stała się z dnia na dzień własnością państwa. Za wielki majątek ziemski uchodził każdy areal przekraczający tysiąc mórg, co odpowiada pięciuset hektarom. Wywłaszczenie miało charakter totalny i odbywało się bez żadnego świadczenia w zamian. Państwo natychmiast przydzielało uzyskane tą drogą grunty mieszkańcom wsi i małorolnym chłopom. Ziemia miała przejść na własność ludu pracującego.

Może z dzisiejszego punktu widzenia uznaloby się tę decyzję za słuszną, taką, którą należało już znacznie wcześniej podjąć. Jednak dla nas, bezpośrednio tym faktem dotkniętych, owa reforma rolna stała się niezmiernie ważnym wydarzeniem, które sprawiło, że dosłownie straciliśmy grunt pod nogami.

Jednakże w tamtym momencie dziejowym nie mogliśmy rozmiarów tej katastrofy zrozumieć, a tym bardziej jej sformułować: ta reforma prowadziła do załamania się trwającego setki lat systemu. Pewien świat przestał istnieć. Kiedy dziś wracam pamięcią do tamtych wydarzeń, to nie mogę się nadziwić, że nie wzbudziły one wtedy ani nienawiści, ani żądy zemsty. Jedyłą reakcją nimi dotkniętych było przykre, niedowierzające zaskoczenie.

Mój ojciec ani słowem się na ten temat nie wypowiedział. I na żaden inny zresztą też. Pozostał niemy aż do śmierci. Nieliczne chwile szczęścia znajdował podczas spacerów po lesie. Zarówno on sam, jak i moja matka, a właściwie my wszyscy staliśmy się kretami. Byliśmy rodziną kretów. Wycofaliśmy się ze wszystkiego. Przestaliśmy w cokolwiek wierzyć. Nasze myśli obejmowały tylko najbliższe godziny. Było to wtedy jedyną szansą na przeżycie.

Agnes

Następnego dnia wstałyśmy z łóżek i wyszłyśmy na zewnątrz. Miałyśmy na sobie tylko obozowe ubrania, a na nogach drewniaki. „Dlaczego nosicie takie buty?“, pytali nas Rosjanie, a my odpowiadałyśmy: „Bo żadnych innych nie mamy”. No, to wtedy oni postanowili zawieźć nas do najbliższego miasta, do

sklepu z butami. Sklep był co prawda zaryglowany, ale to im nie przeszkodziło, by go otworzyć. Panował wtedy przecież totalny chaos, było pełno ludzi na ulicach, żołnierzy, rannych, repatriantów, uchodźców, więźniów. Nawet w sklepie panował straszny bałagan. Wyszukałam sobie parę butów sznurowanych i wyszłam. Kiedy Rosjanin, który mnie przywiózł, to zobaczył, zapytał: „I to ma być wszystko?”. Wprowadził mnie z powrotem do sklepu, zgarnął tyle butów, ile mógł unieść, i wręczył mi. „No tak, teraz masz wreszcie w czym chodzić”, powiedział.

Razem z czternastoma dziewczynami zwróciłyśmy się z prośbą do burmistrza, żeby nam pomógł wrócić do domu, do naszych rodzin. Dwaj policjanci ofiarowali się, że małą ciężarówką podwiozą nas do granicy czechosłowackiej.

Tam na początku nie chcieli nas przepuścić, bo miałyśmy się najpierw poddać kwarantannie. Nie dałyśmy się jednak znowu zamknąć i po prostu ruszyłyśmy dalej, aż dotarłyśmy do uniwersyteckiego miasta Brna. Nie miałyśmy żadnego bagażu, a po drodze nasza grupa skurczyła się do ośmiu dziewcząt. Na dworcu było pełno rosyjskich żołnierzy, od których trzeba się było trzymać jak najdalej. Nie miałyśmy pojęcia, do jakiego pociągu powinnyśmy wsiąść, ale jakimś cudem udało nam się dotrzeć do Bratysławy. Na tamtejszym dworcu trafiłyśmy do namiotów Czerwonego Krzyża. Wolontariusze tej organizacji nas nakarmili i zaproponowali nam przespanie się na pryczach, jakie mieli do dyspozycji. Każda z nas chciała jednak jechać dalej, żeby znaleźć się wreszcie u celu, czyli w Budapeszcie.

Maritta

Węgry zamieniły się w jedno wielkie gruzowisko, moja rodzina rozproszyła się po całym kraju, dotychczasowy ustroj społeczny stanął na głowie. Największe niebezpieczeństwo groziło nam nie ze strony „Ruskich”, żołnierzy sowieckich, ale ze strony komunistów, którzy po upadku stolicy poprzysięgli zemstę winowajcom i namnożyło się ich niczym rozjuszonych szerszeni. Jak łatwo byłoby, i to jeszcze dziś, rzucić wszystko na Rosjan, tymczasem to nasz własny naród się nas wyrzekł.

– Teraz przyszła kolej na was, hrabiowie i oficerowie Horthyego!

Wystarczyło jedno byle jakie podejrzenie, i to nawet nie tej rangi, żeby człowieka aresztować. Zapanowało wszechwładne kłamstwo. Za najlepszy przykład niech posłużą najpotworniejsze procesy pokazowe. Zaraz na początku kardynała Mindszentyego oraz naszego bliskiego krewnego, księcia Esterházyego. Kardynał odpowiadał za Kościół katolicki, księżę – za tysiąc lat

panowania feudalizmu na Węgrzech. Należało się ich pozbyć. Z bezsilnym przerażeniem patrzyliśmy, jakie ich spotkało upokorzenie, zwłaszcza przez fakt upublicznienia tych procesów. Ani jedno słowo oskarżenia nie było zgodne z prawdą. Świat zamienił się w jedno wielkie krzywe zwierciadło. Tylko dzięki najbardziej makabrycznemu poczuciu humoru właśnie my zasiedliśmy w pierwszym rzędzie przed tym zwierciadłem. To znaczy nasza rodzina, nasi krewni, nasze środowisko, krótko mówiąc, cała nasza klasa społeczna. Do tamtej pory pojęcie świadomości klasowej było mi zupełnie obce. Dopiero teraz zobaczyłam jasno, kim byliśmy. Obcymi klasowo wrogami narodu, wręcz przestępcami.

Agnes

Nasza podróż trwała trzy tygodnie. Trzy tygodnie po zakończeniu wojny znalazłam się wreszcie w domu, w Budapeszcie. Całe bloki domów leżały w gruzach, tramwaje nie kursowały. Ludzie stali wszędzie w małych grupkach. Wszyscy ze sobą rozmawiali. Co chwila była mowa o tym, że pierwsi Żydzi wrócili z obozów koncentracyjnych: i oto my staliśmy się czymś w rodzaju sensacji. Ludzie nam pomagali, karmili nas, dawali ubranie. Dziewczeta, z którymi wędrowałam, rozbiegły się, szukając swoich rodzin. Ja wybrałam się do mojej najbliższej przyjaciółki, która mieszkała niedaleko dworca. Sądziłam, że będzie wiedziała, gdzie przebywają moi rodzice. Drzwi otworzyła jej matka. Uściskałyśmy się i ona zaczęła płakać.

– Czy wiesz, co się stało z moimi rodzicami? Czy zostali gdzieś wywiezieni?

Nie mogła jednak nic powiedzieć, poradziła tylko, że powinnam zapytać jej córkę. Pożegnałam się z nią i wyszłam na ulicę, żeby odszukać tę dziewczynę. Biegłam, nie mogąc się doczekać spotkania.

Maritta

Życie w domku myśliwskim, z daleka od świata, toczyło się dalej. Zbudowaliśmy sobie obórkę, w której jakimś cudem znalazły się wkrótce świnia i kilka kur. Niebawem przybyła jeszcze krowa. Powoli nauczyłam się ją doić, i nawet to zajęcie polubiłam. Wieczorem siadałam na niskim stołeczku, opierałam czoło o brzuch krowy i obserwowałam własne dłonie w akcji. Czułam oddech zwierzęcia, z przyjemnością wciągając w nozdrza zapach mleka.

Miejscowa komisja odpowiedzialna za reformę rolną przydzieliła mojemu ojcu dziesięć mórg gruntu. Były to spłachetki ziemi położone na stromych zboczach pagórków. Po zachodzie słońca wtulały się owe spłachetki w otaczający je sfalowany krajobraz, a pełnia księżycy, rozświetlając całą dolinę,

czyniła z niej świat iście bajeczny. Poezję tych obrazów traktowałam jak nagrodę za ciężką, wyczerpującą pracę. Grunt trzeba było wzruszać motyką, wspinając się z dołu do góry, co przy palącym słońcu ciągnęło się w nieskończoność. Kiedy spływający po ciele pot zbyt mi dokuczył, robiłam sobie przerwę na papierosa. Siadałam wtedy na kamienistym gruncie i rozglądając się po malowniczej okolicy, napawałam się wonnym dymkiem.

Chociaż Budapeszt dzieliło od nas zaledwie sto kilometrów, to dotarcie do niego zajmowało cały dzień. Trzeba było wstać skoro świt, stanąć przy szosie i czekać, aż nadjedzie kopalniany autobus. W najlepszym razie można było zabrać się nim do najbliższej stacji kolejowej. Tam zaś czekało się nie wiadomo jak długo na pociąg do Budapesztu. A był on w owym czasie miejscem fascynującym. Widok zniszczonego, ale już odradzającego się miasta budził podziw i niechęć zarazem, zwłaszcza w kimś, kto przybywał tam prosto z lasu. Najbardziej przerażające ruiny nie zostały jeszcze uprzątnięte, a już to tu, to tam rodziło się coś nowego. Z każdej szpary, z każdej szczeliny buchało odradzające się życie. A obok kwitł czarny rynek, handel wymienny, przeróżne podejrzanе interesy. Nawet najbardziej naiwne pomysły miały w tym przełomowym momencie szansę powodzenia.

Wystarczyło znaleźć odpowiednie pomieszczenie – w którym nie schroniły się wcześniej osoby starsze, chore lub małe dzieci – a natychmiast powstawał tam salon. I dzień w dzień odbywały się w nim wesołe spotkania. Na Węgrzech zawsze piło się dużo, ale w owej epoce, chociaż trudno było w to uwierzyć, piło się jeszcze więcej niż zwykle.

Agnes

Biegłam i biegłam, aż wreszcie odnalazłam moją przyjaciółkę, z którą się od tak dawna nie widziałam. Uściskałyśmy się i długo trzymałyśmy za ręce.

– Czy wiesz coś o moich rodzicach? – zapytałam wreszcie. – Czy ich też dokądś wywieziono?

– Nie – odpowiedziała, potrząsając głową.

– Czy oni żyją? – pytałam dalej.

– Oni się zabili.

– Popełnili samobójstwo?

Nazajutrz po naszym przybyciu do Moskwy poszedłem z ojcem do Muzeum Gułagu. Dość długo trwało, zanim zdołaliśmy je znaleźć, nigdzie nie było na ten temat żadnych informacji. Przechodnie zaczepiani na ulicy albo nigdy o czymś takim nie słyszeli, potrząsając głową, mówili: „*Gułag? Niet*”. Albo, najczęściej, szli sobie dalej bez słowa.

Wreszcie udało nam się je znaleźć, w jakimś podwórzu między domami. Niewielki domek, dwu-, może trzypiętrowy, na ścianach kilka map, stare zdjęcia baraków pokrytych śniegiem, wychudzonych mężczyzn w grubych kurtkach i butach z futrzanymi cholewami. W jednym z pomieszczeń stała drewniana prycza, żeby zwiedzający mogli sobie wyobrazić, jak więźniowie spali, w jakich warunkach się myli, na jakich talerzach jedli. Wszystko to wyglądało jednak zbyt schludnie, zbyt czyściutko, jak w domu dla lalek. Stojąc przed dużą mapą, można było ponaciskać parę guzików, a wtedy zapalały się kolorowe światełka, każde pokazywało jeden z obozów – taki sobie archipelag gułag dla dzieci.

A gdzie się podziała cała przemoc Stalina? Cały ówczesny terror? Z samych tylko Niemiec i z Austrii trafiło tam przeszło dwa miliony jeńców wojennych, na dodatek trzysta tysięcy Węgrów, z których ostatni, niejaki Andras Toma, wrócił dopiero w roku 2000. Niezliczone ilości jeńców z Włoch, Japonii, Stanów Zjednoczonych rozproszono po całym kraju, od granicy z Polską aż po Przylądek Dieżniowa na wschodnim cyplu Syberii. Mnóstwo osób zmarło z głodu, zimna albo zostało zastrzelonych podczas marszu, w drodze do łagru. Wielu z tych, którzy przeżyli okres nazizmu, uważało, że Hitlera nie da się z tym porównać. Więzień obozu w Dachau podobno się powiesił na wiadomość, że czeka go Syberia. Z listów tak zwanych zeków, więźniów gułagu, wynika, że wielu z nich życzyłoby sobie, aby Amerykanie rzucili bombę atomową również na Syberię. Przeważająca część tamtejszych więźniów pochodziła jednak z samej Rosji. Za czasów Stalina coraz to znikali politycy, chłopci, nauczyciele, lekarze, ale również całe narody, na przykład Niemcy rosyjscy, i to nawet dzieci, nie mówiąc o kobietach. Eugenia Ginzburg, która spędziła w syberyjskich obozach osiemnaście lat, pisze w swoich wspomnieniach, że jakiejś grupie obozowych

dzieci pozwolono kiedyś zaopiekować się małymi szczeniaczkami. Kłopot polegał na tym, że dzieci te nie umiały wymyślić dla swoich wychowanków odpowiednich imion, bo beznadziejne otoczenie ograbiło je całkowicie z fantazji. Przychodziły im do głowy tylko określenia przedmiotów, z jakimi miały tam do czynienia, a więc na przykład patelnia czy wiadro.

A amerykański dziennikarz Ian Frazier opowiada w swojej książce *Travels in Siberia* o pewnym wydarzeniu, jakie miało miejsce latem 1933 roku. Otóż statek o nazwie Dzurma z tysiącami więźniów na pokładzie wypłynął w morze z położonego w pobliżu Władywostoku portu Nachodka. Mniej więcej w tym czasie płynął nieco dalej na wschód wzdłuż arktycznego wybrzeża statek Czeluskin z uczonymi prowadzącymi badania naukowe na pokładzie. Owego roku atak zimy nastąpił zaskakująco wcześnie i Czeluskin utknął w lodzie niedaleko Czukotki. Gazety sowieckie informowały o tym na bieżąco, cały świat śledził los uwięzionych w lodzie badaczy. Norwedzy zaofiarowali swoją pomoc w ratowaniu pasażerów Czeluski, ale Rosjanie tę propozycję odrzucili. Rzeczywiście udało się im samym ocalić naukowców, co sowieckie media triumfalnie ogłosiły całemu światu. Dopiero wiele lat później okazało się, dlaczego Rosjanie wszelką ofiarowaną pomoc odrzucali.

Dzurma, statek z więźniami, również utknął w lodzie w odległości dwustu mil od Czeluski. Tyle że o tym nikt nie miał prawa się dowiedzieć. Tysiące ludzi, więźniów, strażników, marynarzy musiały przez wiele miesięcy trwać bez jedzenia i nadziei na ratunek. Co się przez ten czas naprawdę z nimi działo, nikt właściwie nie wie. Opowiadano, że członkowie załogi żywili się trupami, a kiedy Dzurma dotarł następnej wiosny do portu, wśród ocalałych nie było ani jednego więźnia. A ci, którzy zeszli ze statku na ląd, nigdy nie wrócili do równowagi.

Jednakże żadnego śladu tych wszystkich okropności nie sposób było się w tym Muzeum Gułagu doszukać.

Przypomniała mi się w pewnym momencie scena z *Archipelagu Gułag* Aleksandra Sołżenicyna – bo zabrałem tę książkę ze sobą na drogę. Zamierzałem ją czytać w samolocie, ale mi się to nie udało – drobny druk, liczba stron stanęły jednak na przeszkodzie. Obserwowałem za to mojego ojca, który z trudem usiłował otworzyć torebkę z orzechami w czekoladzie. Próbował ją rozerwać, przegryźć, wszystko na próżno. Odłożył w końcu orzechy do pudełka, które każdy pasażer otrzymał po pierwszej godzinie lotu – lecieliśmy mniej więcej nad Polską – znajdowała się tam również porcja kury z grzybami, a może to był indyk?

Sołżenicyn opisuje partyjną konferencję odbywającą się gdzieś na prowincji, odległej o tysiące kilometrów od Moskwy, a może nie aż o tyle... Na

zakończenie tej narady dochodzi do wiernopoddańczego wyznania lojalności wobec Stalina – wszyscy uczestnicy wstają i klaszczą. Trwa to trzy, cztery minuty, ręce bolą, wzniesione ramiona mdleją, co starsi ledwie dyszą, ale nikt nie śmie przerwać tego hołdu pierwszy. Mijają dalsze minuty, sześć, siedem, jedni spoglądają z nadzieją na drugich. W dalszych rzędach, w tłoku można z większym powodzeniem udawać, ale gorzej jest w pierwszych rzędach, w pobliżu prezydium, na oczach wszystkich. Mija dziewięć minut, dziesięć, a oni dalej klaszczą i będą tak klaskać do upadłego. W jedenastej minucie dyrektor fabryki papieru pada na swój fotel, pozostali idą w jego ślady, oklaski stopniowo cichną. Zły czar pryska. Uczestnicy zebrania są ocaleni. Ale w nocy dyrektor zostaje aresztowany i ni stąd, ni zowąd skazany na dziesięć lat więzienia za coś zupełnie innego. A w protokole końcowym komisja śledcza radzi: Na przyszłość, ku pamięci: nigdy nie kończ oklasków pierwszy.

Skąd się to bierze, że dorośli ludzie potrafią klaskać przez jedenaście minut po prostu ze strachu? W jaki sposób można manipulować całym narodem? Odpowiedzi na żadne z tych pytań nie znalazłoby się w Muzeum Gułagu. Gdzie się podział ten głód, o którym tyle się naczytałem? Zdarzało się przecież, że zeki jedli smar do maszyn, piekli koty albo pili zupę z trawy. Ci, którzy nie potrafili się oprzeć koniczynie i kwiatkom polnym kwitnącym latem między barakami, nie żyli długo. Główną przyczyną śmierci w łagrach był głód – każdy więzień dostawał kawałek chleba, zupę z prosa, byle jak zmielony owies i kapustę, wciąż tylko kapustę. Do tego dochodziło nękające zimno, o którym czytałem u Warłama Szalamowa, pisarza rosyjskiego, który spędził w łagrach siedemnaście lat. Najstarsi łagiernicy potrafili bez użycia termometru określić z precyzyjną dokładnością aktualną temperaturę. Kiedy mróz przybierał kształt mgły, na dworze było minus czterdzieści stopni; kiedy wydychane powietrze wydawało lekki szelest, ale jeszcze nie zatykało, to oznaczało na zewnątrz minus czterdzieści pięć stopni, gdy jednak oprócz szelestu oddychanie powodowało wysiłek, na dworze musiało być pięćdziesiąt stopni mrozu. Przy temperaturze poniżej pięćdziesięciu stopni wypluwana ślina zamarzała w powietrzu.

W tym moskiewskim muzeum nie można się było niczego takiego dowiedzieć, a co najważniejsze, nikogo nie dziwiło, że dziś tak mało się o tych czasach wie. „Obozy dla jeńców wojennych w byłym Związku Sowieckim to najmniej zbadany temat historii najnowszej” – przeczytałem w jednej z książek, które zdążyłem przejrzeć, szykując się do naszej podróży. Dlaczego prawie nie istnieje literatura na ten temat? Ani nie ma o tym filmów? Dlaczego to Muzeum Gułagu umieszczono w jakimś moskiewskim podwórzu? I dlaczego jest ono takie małe i takie ubogie?

Nawet co do liczby ofiar stalinizmu nie ma między badaczami zgody. Rzekomo sześćdziesiąt milionów Rosjan zmarło śmiercią nienaturalną przez cały czas trwania komunistycznej dyktatury od 1917 do 1992 roku. Znaczna część straciła życie za panowania Stalina, którego podobiznę na naklejkach można kupić w moskiewskich sklepach z papierosami, żeby ją sobie przylepić do samochodu; amatorzy mają też do dyspozycji małe figurki Stalina do postawienia sobie w domu na półce, można też nabyć karty do gry ze zdjęciami najpotężniejszych sowieckich komunistów, zbrodniarzy i przestępców – ze Stalinem na czele.

* * *

Żeby się to już nigdy nie powtórzyło – czytamy we wszystkich książkach o Shoah. Taki cel mają wszelkie upamiętniające te fakty imprezy, wystawy, filmy, studia, zbiory archiwalne, po pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, siedemdziesięciu latach od tych wydarzeń. Dlaczego nie dotyczą one potworności, jakich dopuszczali się Rosjanie? Dlaczego nikt się o to nie troszczy? – zadawałem sobie pytania, patrząc w oczy Leninowi, którego portret wisiał na ścianie muzeum.

Mój ojciec usiadł na składanym krzeselku stojącym gdzieś w kącie. Czy był znowu taki zmęczony? Czy też widok tych zdjęć wiszących na ścianach, tych pryczy i rozmaitych prób odtwarzania owych historycznych szczegółów poruszył go bardziej, niż sobie wyobrażałem? Położyłem rękę na jego ramieniu, co mu chyba dobrze zrobiło.

W naszej wędrówce po muzeum towarzyszyła nam Nadia, młoda kobieta koło trzydziestki. Oprowadzała zwiedzających po muzeum i równocześnie obsługiwała kasę z biletami przy wejściu i kawiarenkę. Ona jedna, ta drobna, delikatna kobieta, jak się zdawało, była tutaj odpowiedzialna za całą historię stalinowskiego terroru. Zadaliśmy jej kilka pytań. „Czy zdarzały się udane ucieczki z gułagów? Jak to było – dopytywałem się – kiedy wracali do domu, do rodziny, czy opowiadali wtedy o tym, co przeżyli?”

Nadia patrzyła na nas – mogłaby z pewnością wiele powiedzieć o milczeniu tych ludzi, o milczeniu, które do tej pory nie zostało przerwane, na dwudziestym pierwszym piętrze szaroburego bloku na peryferiach beznadziejnego miasta. Tylko że jej angielski, jak się tłumaczyła, jest niewystarczający. Kręciła głową, podnosiła ramiona, zaciskała usta. Miała dobrą wolę, ale nie potrafiła z tej sytuacji wybrnąć. Kiedy jednak mój ojciec żegnając się, powiedział: „*My father, ten years, gulag*”, jej nieporadność nagle znikła. „*I’m so sorry*”, odpowiedziała, ujęła jego ręce w swoje, patrząc mu w oczy. Stali tak naprzeciw siebie, mnie się

zdawało, że bardzo długo, słowa były tu niepotrzebne – a on z trudem powstrzymywał łzy.

Metrem pojechaliśmy na plac Czerwony. Żeby się dostać do metra, trzeba się całym sobą weprzeć w metalowe wahadłowe drzwi, tak jakby chciało się kogoś zaatakować – w inny sposób nie da się ich otworzyć. „Dlaczego właśnie w Moskwie powstały te piekielne bramy?”, pytał mój ojciec, stojąc przed nimi z niedowierzaniem i lękiem w oczach, jak to czynią starzy ludzie przed wejściem na ruchome schody. Patrzyłem na niego, wołając: „No, dalej, śmiało, na co czekasz?!”. Dlaczego nie potrafiłem okazać mu więcej cierpliwości? Bo nie mogłem się pogodzić z faktem, że wszystko to przekracza jego siły. Nie wytrzymałem tej jego słabości.

– Rosja była... – zaczął.

– Jak Auschwitz, wiem...

– Nic nie rozumiesz... Rosja to był diabeł. Oni nam wszystko zabrali. Zgwałcili setki tysięcy węgierskich kobiet! Czy o tym wiedziałeś?

Wciąż jeszcze stał przed tymi drzwiami, obserwując ludzi, którzy się na nie z impetem rzucali. Kilka kobiet w eleganckich kozaczkach czekało na moment, kiedy drzwi, odepchnięte, same się rozchyłają, żeby się szybko przemknąć na drugą stronę.

– Rosjanie żłopali alkohol metylowy z lamp, wyobrażasz sobie? Niemcy byli jednak bardziej kulturalni.

– Naziści? Bardziej kulturalni? – oburzałem się. – Chyba żartujesz?

– Nie każdy Niemiec był nazistą – odpowiedział.

Chwyciłem go w końcu za ramię i przepchnąłem przez te złowrogie drzwi, tak jak popycham mojego synka do łazienki, żeby mu umyć zęby. Przeszliśmy przez podziemny korytarz, mijając grube kobieciny w chustkach na głowie, sprzedające chrzan w słoikach. Popychałem go lekko dalej, obok głów kapusty w kartonowych pudłach, ustawionych na podłodze, skarpetek, podróbek pasków od Gucciego, a on się posłusznie poddawał. Czyż kiedyś nie było odwrotnie? Gdy to on prowadził mnie przez miasto, trzymał mój paszport w swojej kieszeni. W pewnym momencie wszystko się jakoś przestawiło. Wszystko się odwróciło. Teraz ja go przeprowadzałem przez przejścia podziemne i pilnowałem, żeby się o coś nie potknął. Kiedy dokładnie doszło do tej zamiany ról, którą każdy syn musi z własnym ojcem bez słowa przeżyć? Czy stało się to jakiegoś konkretnego dnia, czy w określonej chwili i czy obaj tę nową sytuację zaakceptowaliśmy?

Po długich poszukiwaniach nasz wybór padł na restaurację japońską, w której rozmaite wersje sushi przesuwają się przed oczami konsumentów na specjalnym

taśmociągu. Było późne popołudnie i już jakiś czas temu zrobiło się ciemno. Piliśmy wódkę, rozmawiając o moim dziadku, ale nie o jego pobycie w łagrze, tylko o wcześniejszym okresie, kiedy był żołnierzem węgierskiej armii walczącej u boku Niemiec, najpierw na terenie Polski, a później Ukrainy.

- Czy dziadek strzelał? – zapytałem ojca, polewając wasabi sosem sojowym.
- Nie, nigdy.
- Czy można być w armii i w ogóle nie strzelać?
- On nie potrafiłby skrzywdzić nawet muchy. Był zresztą bardzo wierzący.
- No i co powiesz?
- Nie wiem, o co pytasz.
- Moje sushi jest bardzo smaczne, a twoje?
- Jest niezłe. Ale nie chce mi się używać pałeczek. Nie ma tu widelców?
- Czy będąc węgierskim żołnierzem trzeba salutować po nazistowsku?
- Ależ skąd!
- Zostaliśmy przecież największym sojusznikiem Niemiec.
- Chcesz mi wmówić, że twój dziadek był nazistą?

No i rozmowa zakończyła się oczywiście kłótnią. Hitler, gułag, religia i wódka – tego już było dla nas za wiele. Z każdą chwilą stawałem się coraz bardziej wściekły, krzychałem coraz głośniej i byłem coraz bardziej pijany, bo, jak zwykle, nie potrafiłem do ojca dotrzeć. Mogłem rozebrać się do naga, położyć na taśmociągu, zacząć tańczyć i krzyczeć – a on nie zwróciłby na to uwagi. Wszystko spływało po nim jak woda po gęsi. Wyjawiłem mu, że dwa razy w tygodniu kładę się na kozetce u psychoanalityka, bo miałem nadzieję, że w ten sposób skłonię go do otwartości; powiedziałem, że staram się czegoś dowiedzieć o swoim pochodzeniu, o mojej własnej tożsamości. „Często czuję się tak, jakby mnie w ogóle nie było, rozumiesz?”. Ale on tego nie rozumiał. Nie potrafił wyjść mi naprzeciw, ani wtedy, kiedy byłem dzieckiem, ani teraz. I to doprowadzało mnie do szału. Moje słowa w ogóle do niego nie docierały. Patrzyłem, jak ześlizgują się po nim, niby mokry śnieg po okiennej szybie, tworząc na ziemi kupkę nikomu niepotrzebnego brudnego błota. Zerwałem się z miejsca i potrząsnąłem nim, podczas gdy taśmociąg z surową rybą przesuwał się przed naszymi oczami.

Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. W szkole uczestniczyłem w paru bijatykach, raz mi się to zdarzyło wieczorem przed jakimś barem – ale nigdy nie byłem zbyt silny, nie rwałem się do rękoczynów, nie miałem w tym wprawy. I oto teraz, ni stąd, ni zowąd, szarpnąłem czerwony wełniany sweter z zamkiem błyskawicznym, który ojciec dostał w prezencie urodzinowym od swojej nowej

żony; bo moi rodzice rozstali się, gdy miałem piętnaście lat. Nie uderzyłem go, ale zapanowałem nad sobą w ostatniej chwili – a on nie zamierzał się bronić. Nie odepchnął mnie, nie krzyknął – mój ojciec był gotów się poddać. I tak trwaliśmy przez parę sekund, w czasie których nie patrzyłem mu w oczy, tylko w metalową oprawkę jego okularów, zapominając o całym otoczeniu: o gościach przy sąsiednim stoliku, o sushi, o Moskwie, o gułagu. W końcu oderwałem się od niego i usiadłem kompletnie wykończony.

– To przez tę wódkę – powiedział po chwili, poprawiając swój sweter.

– Przez wódkę – powtórzyłem po chwili głęboko zawstydzony, czując w głowie gwałtowne pulsowanie. Wziąłem jednego z jego papierosów i zapaliłem, chociaż już od lat nie palę. Nie miałem odwagi podnieść wzroku znad stołu, aż zamruczał mój telefon z wiadomością od żony: „Dzieci chore, zapalenie migdałków!”.

– Tego tylko brakowało – stwierdził ojciec po przeczytaniu wiadomości, kiwając głową. – No, to co teraz zrobimy?

No właśnie, co teraz zrobimy? Sam nie wiem. Jesteś ojcem i powinieneś to wiedzieć.

Ponieważ taksówka była za droga, ruszyliśmy z powrotem przez owe wahadłowe drzwi, mijając głowy kapusty, chrzan, mężczyzn z wykałaczkami w zębach sprzedających baterie, wsiedliśmy do metra i wróciliśmy do naszego hotelu. Milczeliśmy, aż znaleźliśmy się w pokoju na czternastym piętrze tej brzydkiej wieży w tym brzydkim mieście, gdzie o mało nie złamałem nosa mojemu ojcu. On był już w piżamie, a ja w slipach, kiedy objęliśmy się bez słowa.

* * *

Obudziłem się, ale mój wstyd nie zniknął w ciągu nocy. Ubraliśmy się, zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy do miasta. Byliśmy umówieni z Dmitrim Pietrowem i udawaliśmy, że wczoraj nic się nie wydarzyło. Pietrow jest szefem organizacji o nazwie Memoriał, której celem od późnych lat osiemdziesiątych jest rozpracowanie zbrodniczego panowania komunistów. Podobnie jak instytut Yad Vashem w Jerozolimie ma ona na celu publikowanie nazwisk i biografii wszystkich ofiar. Pietrow siedział w swoim ciasnym biurze, dokoła piętrzyły się sterty książek, w licznych kartonach pełno było ulotek. W Rosji o Stalinie nic się właściwie nie wie, nauczyciele w szkołach rzadko o nim wspominają. Zdarzają się nawet próby rehabilitacji jego osoby. Paru prowincjonalnych szaleńców chciało postawić mu pomnik. Pietrow wybuchnął śmiechem, długie siwe włosy opadły mu na twarz. „Za panowania Putina zrobiło się jeszcze gorzej. Jelcyn

kazał otworzyć archiwa, ale odkąd Putin jest przy władzy, znów zapadło milczenie. My jesteśmy inni niż Niemcy, nie analizujemy naszej przeszłości, nie przyznajemy się do własnych błędów, nie uznajemy popełnionych win. To prawda, że były obozy, że istniał gułag, Stalin miał negatywne cechy, ale, co najważniejsze, odnosił wiele ważnych zwycięstw i zapewnił krajowi wszechstronny rozwój gospodarczy. W rosyjskiej historii momenty heroiczne przeważają nad mrocznymi”.

Przed paroma laty organizacja Pietrowa sporządziła listę działań niezbędnych dla pokonania niechwalebnej przeszłości. Należało otworzyć archiwa tajnych służb i przedstawić zgodnie z prawdą terror stalinowski w podręcznikach szkolnych. Memoriał postulował stworzenie kompleksu muzealnego przeznaczonego dla uczniów i pracowników naukowych, na wzór pomnika upamiętnienia holokaustu istniejącego w Berlinie. Ówczesny prezydent Rosji Miedwiediew zapowiedział, że się tą sprawą zajmie, ale do tej pory obietnica ta nie została spełniona.

Pietrow zabrał się do przeglądania akt mojego dziadka, które mu wręczyłem. Mętne światło, jakie docierało do niego przez okno, było wyraźnie niewystarczające. Przeczytał tekst wyroku śmierci, jaki wydano na mojego dziadka, i decyzję o przeniesieniu go z Woroneża do Stalingradu, a stamtąd do Azbestu. Za oknem śmigwały samochody, ojciec siedział obok mnie. Polubił Pietrowa, czułem to wyraźnie. Coraz to śmiał się, opowiadał dowcipy – o ile łatwiej przychodziło mu mówić o komunizmie i gułagu niż o sobie samym – zastanawiałem się. Zadawał pytania, sypał cytatami z przeczytanych książek, był żywo zainteresowany rozmową. Natomiast wtedy, kiedy zaczynaliśmy mówić o nas, o mojej matce, o mnie, o jego stosunku do własnych dzieci, szybko się wyłączał, jakby te problemy go nużyły. Czy na tym polegała różnica między pokoleniem moim i jego oraz Pietrowa. Bo my nigdy nie przeżyliśmy sytuacji, kiedy obca przemoc wszystko dokoła odmienia, a my jako jednostki nie możemy się przed ową przemocą bronić. Tego doświadczenia, związanego ze świadomością własnej bezsilności, brakuje naszemu pokoleniu. Bo nie wiemy, jak to jest, kiedy przestaje się być pępkiem świata i trzeba się pogodzić z własną bezsiłą. My natomiast byliśmy ekspertami od naszego indywidualnego „Ja” i potrafiliśmy całymi nocami dyskutować o stosunkach między ludźmi, o naszych seksualnych upodobaniach, o uciążliwości alergii na gluten. Czy może byliśmy zanadto zapatrzeni w nasze wnętrza, podczas gdy oni widzieli tylko świat zewnętrzny?

* * *

Mój ojciec i Pietrow rozmawiali teraz o Mátyásie Rákosim, synu żydowskiego kupca, który w latach pięćdziesiątych objął władzę na Węgrzech. Wielu komunistów na wysokich stanowiskach, jak szefowie partii Ernő Gerő i József Révai czy założyciel policji politycznej Gábor Péter, byli Żydami. Wrogi stosunek do Żydów, jaki dziś tak często zdarza się na Węgrzech, może mieć między innymi i takie źródło. Jest to jeden z argumentów najczęściej przytaczanych przez antysemitów – można się z nim zetknąć podczas demonstracji partii rządzącej, a także na forach internetowych: bo Żydzi rzekomo nie tylko mają banki i media pod kontrolą, ale także należeli zaraz po wojnie do najbardziej wpływowych komunistów, co dziś stanowi szczególnie niszczącą obelgę.

– Rákosi jest jednym z największych przestępców w dziejach – słyszałem kierowane do Pietrowa słowa mojego ojca – dyktatorem, przy którym Kaddafi to początkujący uczeń.

W tym momencie ogarnęła mnie ta sama wściekłość, jaką odczułem podczas wczorajszej rozmowy w japońskiej restauracji. Co ja tu właściwie robię? Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Przecież tak sumiennie przygotowałem się do tej podróży – przeczytałem akta sprawy mojego dziadka, wspomnienia obozowe Szalamowa, biografię Stalina napisaną przez Baberowskiego, a teraz wygląda to wszystko tak, jakbym sobie nieustannie coś wmawiał.

Czyż nie po to poleciałem na Syberię, żeby mój ojciec mnie wreszcie zauważył? A teraz, kiedyśmy się tutaj znaleźli, musiałem dojść do wniosku, że on nie mógł skupić na mnie uwagi, bo tyle przeszkód stanęło na drodze, zasłaniając mu widok: komunizm, gułag, Rákosi, nasi przodkowie w mundurach, mężczyźni ze szpadami u pasa, kobiety w okazałych spódnicach. Oni wszyscy wciskali się między nas, a gdzieś z boku stał nawet Lenin, uśmiechnięty. Nic dziwnego, że mój ojciec nie mógł mnie pośród tego wszystkiego wypatrzeć. Jednak najsilniej zwracał na siebie uwagę Stalin. Wymachiwał rękami, podkreślał swoje imponujące wąsiska, krzycząc groźnie: „Mnie stąd nigdy nie przepędzisz!” – a ja widziałem tylko jego żółte zęby. I mogłem przeskakiwać przez dwa razy wyższe mury niż w dzieciństwie; mogłem ufarbować sobie włosy jako nastolatek; mogłem nim potrząsać, tak jak wczoraj – Stalin i tak miał rację i wobec mojego ojca pozbawiał mnie jakichkolwiek szans.

Pamiętam rozmowę telefoniczną z ojcem na parę tygodni przed naszą podróżą na Syberię. Opowiadał mi, że w telewizji pokazywano przez cały dzień filmy dotyczące powstania 1956 roku, kiedy to Węgrzy wystąpili przeciwko komunistom. Ten dzień obchodzi się co roku bardzo uroczyście, organizuje pochody, naukowe odczyty, składa wieńce w uroczystych miejscach, zapala

świecie. „To powstanie narodowe – mówił – było najważniejszym wydarzeniem w moim życiu”. Przez cały dzień przesiedział sam w domu, wspominając ze wzruszeniem tamte czasy. „Moja dusza wtedy płakała, ale ty tego nie zrozumiesz”. „Oczywiście, że ciebie rozumiem”, zapewniłem go, pytając z niepokojem: „Ale czy czujesz się już lepiej?”.

Jednakże teraz, w biurze Pietrowa, znów tego nie rozumiałem. Jeśli to powstanie narodowe z roku 1956 stanowiło najważniejsze wydarzenie w jego życiu, to czym byłem dla niego ja? Czym byli moi dwaj bracia? Czy zajmowaliśmy czwarte miejsce? A może piąte? A może zjechaliśmy u niego, podobnie jak tenisiści w nieudanym dla siebie roku, na swój Top Ten? Czy znaleźliśmy się przed objęciem władzy przez komunistów w 1948 roku, a może tuż po bombardowaniu Budapesztu. Czy też walczyliśmy o trzecie miejsce z jego decyzją o emigracji do Szwajcarii?

* * *

Pietrow dalej przeglądał akta, coraz to pojękując: „Ojej! Coś straszego... Ale pech!”. Mój dziadek pracował przez pewien czas dla jakiegoś niemieckiego lekarza jako sanitariusz. Długo pełnił funkcję pielęgniarza, zapisano w aktach. Jesienią 1953 roku zamierzał uciec. Pietrow przeczytał głośno: „Zarządzenie Nr 97, łagier 84, oddział 2”. Dziadka przyłapano w momencie, kiedy szykował się do ucieczki, i za karę musiał przesiedzieć miesiąc w jednoosobowej celi. Było to w roku śmierci Stalina, kiedy Chruszczow został pierwszym sekretarzem partii. Wtedy wszyscy cudzoziemscy jeńcy wojenni zostali zwolnieni, ale mój dziadek do nich nie należał. Pietrow wyjaśnił: „Ten, kto dał zarządowi obozu dowody na to, że jest dobrym komunistą, że czyta Marksa i bierze udział w kursach antyfaszystowskich, mógł liczyć na wcześniejsze zwolnienie”. Mój dziadek, którego Pietrow poufale nazywał Ferim, najwyraźniej niczym takim się nie wykazał. „Przez parę ostatnich lat Feri coraz to dostawał się do izolatki”. Pietrow przerzucał kolejne miesiące: listopad 1953, luty 1954, Mátyás Rákosi, mały Stalinec, został już pozbawiony władzy, Chruszczow postawił na bardziej umiarkowanego Imrego Nagya. Kanclerze Niemiec i Austrii, Konrad Adenauer i Julius Raab, naciskali, żeby ostatni jeńcy wyszli wreszcie na wolność i dzięki temu doszło 20 listopada 1955 roku do wydarzenia utrwalonego w dokumencie Nr 03-1875446: „Sprawa jeńca wojennego Batthyányego Ferenca, urodzonego 1915 w Kittsee, została zakończona”.

W ciągu kilku tygodni, poprzedzających zwolnienie, Feriego odżywiano chlebem, kiełbasą i zupą. Nikt nie powinien tam w domu po nim poznać, w jak

skrajnej biedzie spędził ostatnie dziesięć lat. Jeszcze podczas podróży powrotnej, w pociągu, usiłowano wbijać mu do głowy teorie Marksa i Engelsa z nadzieją, że stanie się w swojej ojczyźnie przyzwoitym socjalistą. Mój dziadek dotarł do Syhotu Marmaroskiego na granicy węgiersko-ukraińskiej¹¹. Tam skąd przed dziesięcioma laty deportowano do Auschwitz dwadzieścia tysięcy Żydów, stało teraz kilka namiotów Czerwonego Krzyża. Powracający z Rosji nie powinni, podobnie jak nurkowie, zbyt szybko wynurzać się na powierzchnię – najpierw kazano im trochę wypocząć, pozbyć się napięcia, coś zjeść, przespać się. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1955 roku Feri wysłał do mojej babki telegram: „Wracam jutro w południe, jeśli z podniecenia nie umrę”.

Mój ojciec miał wtedy czternaście lat i nigdy jeszcze, nie licząc kilku zdjęć, nie widział swojego taty. Obserwował matkę, jak sprząta ich małe mieszkanko, podczas gdy na kuchennej płycie perkotał w garnku rosół. Przez całe popołudnie czekał na szczęknięcie ogrodowej furtki, a kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, a on siedząc przy stole, ze zmęczenia omal nie zasnął, stanął przed nim zmieniona mężczyzna w mundurze i z plecakiem na ramionach.

– Czy wiesz, kim ja jestem? – zapytał obcy żołnierz, który był całkiem łysy, miał zepsute zęby, którego czekała przedwczesna demencja i któremu do śmierci miały marznąć nogi.

Mój ojciec kiwnął potakująco głową.

* * *

Wkrótce po powrocie z Syberii, kiedy w 1956 wybuchło na Węgrzech powstanie narodowe, mój dziadek, razem z żoną i synem, opuścił Węgry i zjawił się u ciotki Margit i wuja Ivana w ich willi Mita w Lugano, by stamtąd wyjechać do Nadrenii i objąć funkcję prokurenta w Zakładach Thyssena. Jeszcze w latach sześćdziesiątych spotykał tam zdumiewająco wielu dawnych współwięźniów z gułagu. Często organizowane towarzyskie spotkania nazwali „obozowymi konferencjami”. Gdzieś na niemieckiej ziemi jadło się ciasto i piło piwo i wino, dzieci bawiły się w Indian, kobiety paliły papierosy, a mężczyźni siedzieli razem z pochylonymi ku sobie głowami. „Pamiętacie, jak wyrąbywaliśmy azbest ze skał? Przy trzydziestostopniowym mrozie?”, wymieniali szeptem wspomnienia, siedząc na kolorowych, plastikowych ogrodowych krzeselkach, podczas gdy przez okno dobiegały odgłosy telewizyjnego programu Gerda Müllera, nadawanego co sobota dla widzów Bawarii. „Pamiętacie, jak jedliśmy mydło, żeby wywołać gorączkę?”.

Mojego dziadka wspomnienia te zaczęły jednak wkrótce nużyć. Tłumił ziewanie jak dobrze wychowane dziecko. „Oj, Feri, bracie, jak możesz tego nie

pamiętać?”. Istotnie, szczegóły, nazwy miejscowości coraz bardziej się zacierały. Ale koledzy z tamtych lat, żołnierze Wehrmachtu – kto wie, co podczas wojny musieli dla Hitlera robić – mieli mu jednak za złe, że coraz rzadziej zjawia się na spotkaniach. „Feri, bracie, gdzie ty się podziewasz?”. Czuli się dotknięci – przypominało to rany wojenne – że oto jeden z ich wspólnoty zaczyna się wyłamywać i wielu rzeczy nie chce, a może już nie jest w stanie sobie przypomnieć. W końcu mój dziadek całkiem stracił pamięć i powtarzające się codzienne wydarzenia przesłoniły dawniejsze przeżycia.

Aż pewnego dnia nadszedł list. Dziadek otworzył kopertę, wyciągnął lupę i zaczął czytać – musiał jednak tylko bezradnie potrząsać głową. Ani podpis, ani treść listu nic mu nie mówiły. List zaczynał się od następujących słów: „Czy pamięta pan młodego sowieckiego lejtnanta?”. Był to ów Rosjanin, Efim Etkind, który powierzył mojemu dziadkowi funkcję tłumacza. Pisał, że od lat starał się go odnaleźć i dopiero teraz, przypadkiem, trafił na jego adres. Czy moglibyśmy się spotkać? I w parę tygodni potem usiedli rzeczywiście obok siebie. Dwaj starsi panowie, których wypadki dziejowe ze sobą zetknęły.

- Kim jesteś? – zapytał mój dziadek.
 - Nazywam się Efim Etkind.
 - Masz jeszcze dużo włosów.
 - W porównaniu z jajkiem, to mam ich rzeczywiście sporo.
- Kilka miesięcy potem mój dziadek zmarł.

Po południu poleciliśmy z Moskwy do Jekaterynburga, gdzie wyznaczaliśmy sobie cztery dni na poszukiwanie śladów po znajdujących się tam kiedyś łagrach. Mieliśmy do dyspozycji rozklekotany żółty busik, kierowcę, który przypominał chińskiego artystę Ai Weiweia, i pozbawioną poczucia humoru tłumaczkę o imieniu Swietłana, która nam przez cały pobyt towarzyszyła. W ostatnich latach, opowiadała, zjeżdża się tu coraz więcej zwiedzających: Włochów, Finów, Japończyków. Wszyscy chcą się dowiedzieć, co ich ojcowie i dziadkowie tutaj przeżyli. Pola za oknami były całkiem białe, warstwa śniegu nie miała nawet metra grubości, ale pokrywała wszystko równiutko. – Jak na tę porę roku, przy piętnastu stopniach mrozu, jest właściwie zupełnie przyjemnie – stwierdziła Swietłana. – Zdarzają się takie dni, że ciężko oddychać, bo zimne powietrze wywołuje ból w płucach.

Jekaterynburg leży w Uralu, który oddziela Europę od Azji. Stąd na drugi kraniec Syberii, do Magadanu nad Morzem Ochockim jest osiem i pół tysiąca kilometrów. Na tej przestrzeni znajdują się: tundra, jezioro Bajkał i bezkresne stepy, gdzie latem roi się od komarów, a w zimie panuje stały mróz.

Zajechaliśmy do niewielkiego miasteczka o nazwie Rewda, gdzie mój dziadek przesiedział w 1951 roku parę miesięcy. W oddziale obozu nr 4.

– Niewiele tu jest obiektów do zwiedzania – powiedziała Swietłana, która była tu już kiedyś z grupą Niemców. Tylko na Syberii Północnej, w głębi lasu stoi jeszcze kilka wież strażniczych i leżą porzucone resztki drutów kolczastych, zamrożonych w wiecznym lodzie. „Jak gdyby przed paroma tygodniami żyli tu jeszcze ludzie” – przeczytałem w relacji człowieka, który przez wiele dni wędrował przez pokrytą śniegiem okolicę, zanim trafił na pierwsze baraki i oryginalne hełmy. „Syberyjski śnieg wszystko konserwuje – pisał ów autor – nawet atmosfera z tamtych czasów jest wciąż jeszcze wyczuwalna”.

Nasz żółty autobus nie natrafił na wieże strażnicze, ale zatrzymał się przed fermą kurzą otoczoną drewnianym płotem; kiedy wysiedliśmy z naszego pojazdu, ugrzęźliśmy po kostki w rozmiękłym śniegu.

– Gdzieś w tej okolicy był też pana dziadek – oznajmiła Swietłana.

– Tutaj?

Czy po to przemierzyliśmy tysiąc kilometrów, żeby stanąć pod tym płótem? Mój ojciec zakaszał i sięgnął po papierosy. Odkąd wylądowaliśmy w Moskwie, zaczął znów palić. Jestem jakiś zdenerwowany, powiedział, wychodząc ze sklepu z wyrobami tytoniowymi, gdzie kupił kilka paczek marlboro. Ten kaszel, ten charakterystyczny szelest, który w owej chwili usłyszałem, czując nieznośny smród dochodzący z kurnika, przypomniał mi dzieciństwo: paczka marlboro w kieszonce jego koszuli pod swetrem, szelest srebrnego papierka podczas otwierania pudełka papierosów. Spojrzałem w stronę fermy, wyobrażając sobie tysiące niedożywionych kur siedzących na pokrytych własnymi odchodami grzędach i wydziobujących sobie nawzajem nieczystości z piór, i coraz to znoszących bez cienia radości malutkie, nędzne jajka, lądujące w końcu na patelni któregoś z mieszkańców pobliskich ponurych bloków.

I znów musiałem ze zdumieniem myśleć o tym, dlaczego nie było tu żadnych tablic upamiętniających to, co się tu kiedyś działo. Ludzie żyją i pracują, rodzą dzieci i żenią się, i chowają kury tu, gdzie kiedyś wykorzystywano i mordowano innych ludzi. Zawsze fascynowało mnie kojarzenie przeszłości z teraźniejszością. Czy nie tego właśnie brakowało mi w Szwajcarii? Że tam ani ulice, ani domy, ani mieszkania o niczym nie opowiadały, bo nic tam nie ulegało zmianie, a jeśli już, to tylko na lepsze. Czy te lata stabilności i bezpieczeństwa, tak w Szwajcarii przez wszystkich cenione, nie miały działania otepiającego? Czy nie brakuje ostrzejszego smaku głębi, kiedy wszystko wspina się tylko do góry?

Bardzo lubiłem te mosiężne tabliczki umieszczane przy wejściu do domów w Wiedniu czy Budapeszcie, które jednym zdaniem informowały, co się w danym budynku wydarzyło, kto tam mieszkał, kto umarł. Tęskniłem za dreszczykiem, jaki te krótkie słowa budziły we mnie: to wyobrażanie sobie, że w jakiejś dzisiejszej szkole znajdował się przed laty szpital albo izba tortur. Czy taki budynek nie był czymś w rodzaju rzutu okiem w przestrzeń czasu? Albo próbką gruntu, w której nakładają się na siebie rozmaite warstwy skały, przy czym każda daje świadectwo minionych wydarzeń.

– Wsiadajmy już z powrotem – powiedział ojciec, podczas gdy Ai Weiwei zapuszczał silnik. Ja jednak stałem jeszcze przez chwilę, bo nie mogłem oderwać wzroku od tego kurzego obozu. A nuż wyjdzie stamtąd jakiś pracownik z pustymi pojemnikami po karmieniu drobiu i będzie się dziwił, czego my tutaj szukamy. Może ten pracownik będzie nazywał się Simanowski i będzie synem dawnego strażnika mojego dziadka, owego majora, który mierzył dziadkowi gorączkę, po czym pakował go z powrotem do celi. Bo dlaczego miałoby to nie

być możliwe? Obóz dla ludzi czy obóz dla kur – wszystko pozostałoby w rodzinie. Dopiero kiedy Ai Weiwei dał klaksonem sygnał, że mam wracać, opamiętałem się.

Ostatniego dnia pojechaliśmy do Azbestu. Towarzyszył nam Władimir Motrewicz, profesor uniwersytetu w Jekaterynburgu. Od wielu lat prowadził badania dotyczące przeszło stu obozów karnych, które znajdowały się kiedyś w obwodzie swierdłowskim. Motrewicz przeprowadzał regularnie ekshumacje, grzebał się w grobach, szukając śladów przeszłości. Węgrzy, mówił, byli najwytrzymalsi ze wszystkich. Okazali się o wiele bardziej odporni na zimno, niż na przykład Włosi. Motrewicz opowiadał o głodzie, jaki tu panował w powojennych latach 1946–1949. – Więźniom obozów było często łatwiej, niż okolicznym mieszkańcom. – Profesor zdaje sobie sprawę, że nie jest tu osobą szczególnie popularną, bo wszyscy chcieliby zapomnieć o tym, co się kiedyś działo – a jego zadanie polega właśnie na upamiętnianiu historii. – Zdarzały się przypadki kanibalizmu – powiedział po rosyjsku, co Swietłana tłumaczyła, podczas gdy nasz żółty autobus, brnąc po zlodowaciałych drogach, wdzierał się w biały śnieżny krajobraz: – Profesor Motrewicz twierdzi, że zjadano wtedy dzieci. – Zanim zdążyła pojąć sens własnych słów, profesor mówił już dalej o tym, że tysiące ludzi popełniało samobójstwa, a ja odezwałem się, patrząc na ojca:

– Gdzieśmy naprawdę wylądowali?

– Czy ci nie mówiłem, że znaleźliśmy się w piekle?

Swietłana, widząc nasze przerażenie, powiedziała:

– Wtedy sytuacja była naprawdę tragiczna, ale dziś jest, oczywiście, zupełnie inaczej. Latem cudownie się tu jeździ na rowerze.

– Jak to: latem? – zapytałem.

Motrewicz roześmiał się, widząc nasze miny. Miał na głowie wielką futrzaną czapkę, w jakiej tylko Rosjanom może być do twarzy. Kiedy ją zdjął, przygasł nieco imponujący blask, jakim promieniował. Swietłana nie przestawała wychwalać zalet tych okolic, przyrody, jedzenia. – Jest tu nawet orkiestra – zapewniała. Nasz autobus mijał lasy o nagich drzewach, fabryki oplecione grubymi rurami niby przez gigantyczne węże. – I znane uniwersytety – ciągnęła Swietłana, kiedy przejeżdżając przez stary przejazd kolejowy, wpadliśmy w lekki poślizg.

Większość spośród siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców Azbestu żyje z kopalni. Jest to typowe monomiasto, jak wiele podobnych w Rosji, gdzie wszyscy pracują dla jednego przedsiębiorstwa. Gdyby Uralazbest się zamknęła, tysiące ludzi straciłyby podstawy własnej egzystencji. Miasto składa się z centrum, kilku ulic, licznych budynków fabrycznych i największej na świecie otwartej kopalni azbestu. Ma ona jedenaście kilometrów długości, trzysta metrów głębokości – to krater, w którym stoją koparki i dźwigi grzebiące w tej gigantycznej ranie i wydobywające z niej co dzień nowy materiał, sprzedawany potem do Chin i Indii – bo w Europie używanie azbestu jest zabronione – gdzie szkodliwe włókna osadzają się u ludzi w pęcherzykach płucnych, z których po miesiącach i latach powstają małe węzłki.

Mieszkańcy Azbestu opowiadają o chmurach pyłu pokrywających tu wszystko: szyby okienne, świeżo upraną bieliznę suszącą się w ogrodzie, jeżyny – skarżą się też na bolesny kaszel, którego nie sposób się pozbyć. „Białe igły” – tak się dziś określa azbest. – W fabrykach był często taki kurz – wspominał emeryt, z którym nawiązaliśmy rozmowę – że człowiek własnych rąk nie widział. – Inny opowiadał o problemach związanych z płucami, chociaż nigdy nie palił, ale nie myślał też o opuszczeniu tego miejsca. Bo dokąd miałby wyjechać?

Mój dziadek został tu przywieziony późnym latem 1953 roku. Istnieje protokół dotyczący jeńców wojennych, według którego dziadek skarżył się na nękające go problemy psychiczne: „Moje nerwy są w stanie rozkładu, jestem słaby i chory. W moim stanie zdrowia jakakolwiek praca będzie równoznaczna ze śmiercią. Czuję, że sam siebie niszczę, potrzebuję wypoczynku”. Nikt jednak na jego słowa nie zareagował. Jeniec jest zdolny do pracy, brzmiała decyzja. Otrzymał odpowiednie do pory roku ubranie i został wysłany do pracy w kopalni. Na czym polegała praca, jaką musiał tam wykonywać, o tym w aktach nie ma mowy. Profesor Motrewicz powiedział, że wszystko to, co dziś robią maszyny, dawniej musieli robić jeńcy wojenni i że wielu z nich wskutek tej pracy i związanych z nią ciężkich warunków po prostu umierało.

Profesor Motrewicz zapewnił nas, że przebadał wszystkie cmentarze wokół Azbestu, między innymi również grób sześciu generałów Wehrmachtu. Zarządy obozów dokumentowały przypadki śmierci jeńców bardzo pieczołowicie, włącznie z miejscem ich pochówku, po czym cała ta dokumentacja lądowała w archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie pozostawała opatrzona pieczęcią „Ścisłe tajne”. Kiedy mieszkańcy Azbestu dowiedzieli się w latach dziewięćdziesiątych, ile ludzi w pobliżu zginęło, nie mogli w to uwierzyć, mówił Motrewicz, wkładając z powrotem czapkę na głowę. Bardzo to nimi wstrząsnęło. „Jak to było możliwe”, zadawali sobie pytanie. I wszystko to miało się dzieć na

ich oczach? Podobnie jak mieszkańcy Rechnitz, ci starsi, którzy rzekomo nie zauważyli dokonanej tam masakry Żydów, również mieszkańcy Syberii z najwyższym zdumieniem słuchali, co się tu działo w biały dzień, podczas gdy oni siedzieli sobie spokojnie w swoich małych mieszkankach.

Jak to jest możliwe? Czy można być tak ślepy? – pytałem sam siebie. Jak to się dzieje, że cały naród nie chce patrzeć? Zresztą, czy dziś jest o wiele lepiej?

* * *

Zimą 1953 roku mój dziadek, jak wynika z akt, znowu podjął próbę ucieczki. Przyłapano go w momencie, kiedy pakował do plecaka chleb i kiełbasę, do niczego się nie przyznał, ale wszystko na to wskazywało, pisał ten sam major Simanowski, którego już na podstawie innych dokumentów miałem okazję poznać. Przeczytałem ojcu ten fragment. Podobało mi się, że Feri podejmował próby ucieczki. Z rozmaitych dokumentów wynika, że starał się dowieść władzom obozu, że nie jest Węgrem, tylko Austriakiem. Pisał, że znaczna część dóbr należących do jego rodziny, znajduje się dziś na terenie Austrii. Liczył, że dzięki temu będzie lepiej traktowany i zostanie wcześniej wypuszczony na wolność – jednak wszystkie jego argumenty zostały odrzucone. Wyglądało na to, że te nieudane próby radykalizowały jego postawę. Zaczął kraść żywność, i to nie tylko dla siebie, ale i dla innych – zostało to utrwalone w aktach z kwietnia 1954. Skarżył się na złe ubrania w maju 1954 i odmawiał pracy w niedziele. „Jestem katolikiem i niedziela, zgodnie z zasadami mojej religii, jest dniem odpoczynku”. Od zimy roku 1954 coraz to pakowano go do jednoosobowej celi, nieopalanej, pozbawionej dziennego światła, jak mówił Motrewicz. „Jeniec Batthyány – pisał teraz już nie Simanowski, ale niejaki pan Kuzniecowa – pracuje źle i nie wyrabia normy. Ma zły wpływ na innych członków brygady”.

– Czy to nie jest imponujące? – spytałem ojca. – Dziadek stawiał opór. Bronił się, nie na wszystko się zgadzał. Nie był konformistą.

– Co mogło być w tamtych czasach imponujące? – odparł mój ojciec. Przez resztę dnia siedział markotny w samochodzie, tylko od czasu do czasu starał się z uprzejmości zamienić parę słów ze Swietlaną, ale przeważnie wyglądał tylko w milczeniu przez okno.

Zajechaliśmy do wyjątkowo zaniedbanej dzielnicy na obrzeżach Azbestu. Profesor znał tam dawną pielęgniarkę, teraz już blisko dziewięćdziesięcioletnią staruszkę, która niegdyś opiekowała się jeńcami wojennymi. Tatiana Wodamonia wyciągnęła drżącą ręką lupę i zaczęła się przyglądać dwu zdjęciom mojego dziadka, które znaleźliśmy w aktach. Siedzieliśmy w jej maleńkim mieszkanku.

Co miałyby z tego wynikać, gdyby go rozpoznała na zdjęciu? Gdyby go w chorobie pielęgnowała? Albo gdyby razem z nim pracowała, bo on był tu chyba także sanitariuszem?

Najpierw przyjrzała się zdjęciu z roku 1945, na którym widać było młodego zdrowego człowieka. Drugie ukazywało chorego, wynędzniałego łagienika. „Czuję, że sam siebie niszczę”. To zdanie, cytowane w protokole, nie dawało mi spokoju.

Tatiana go jednak nie rozpoznała, zaczęła tylko opowiadać o pociągach pełnych obcych mężczyzn, wyniszczonych, zrozpaczonych ludzi. Kobiety we wsi im współczuły, ale jak mogły pomóc? Same były wygłodzone, większość z nich była samotna, ich mężowie zginęli, pod Stalingradem lub w jakiejś innej bitwie.

– Oni musieli pracować po dwanaście godzin dziennie – mówiła Tatiana – ale najgorsze było zimno. – W barakach mieli bardzo małe piecyki, w których paliło się drewnem, ale ogrzewały tylko tych, co byli całkiem blisko.

Jeńcy konstruowali na własny użytek z puszek po konserwach małe dymiące lampki benzynowe, zwane kołymbkami – dawały one trochę światła, wydzielając jednak równocześnie bardzo przykry zapach. Rano bywało w łóżku tak zimno, że włosy przymarzały ludziom do poduszki. Staruszka mówiła, że między jeńcami wojennymi i rosyjskimi kobietami rodziła się miłość i kilku Niemców po zwolnieniu z niewoli pozostało w Azbeście, założyło rodziny, dobrowolnie pracując dalej w miejscowej kopalni.

Po południu ruszyliśmy znowu przez ośnieżone pola. Motrewicz, ze starymi planami obozów w rękę, informował nas po drodze o mijanych kolejno obiektach:

– Tutaj musiał się znajdować obóz nr 84, tuż przy szynach.

Ja miałem na kolanach akta mojego dziadka, fotokopie przesłuchań, opinie lekarskie. Pamiętałem napotkaną gdzieś wzmiankę o tym, że dziadek „podczas pracy przy torach” skaleczył się w rękę.

– Proszę się zatrzymać! – krzyknąłem i Ai Weiwei zatrzymał się.

Nasz żółty autobus stał pośrodku drogi, jego wycieraczki pilnie pracowały, a wywoływany przez nie miarowy szmer przypominał bicie pulsu starej szkapy. Szyby były zaparowane, a kiedy przetarliśmy je rękawami, zobaczyliśmy mały brzozy lasek, krajobraz pokryty grubą warstwą śniegu i ani śladu jakichkolwiek baraków, więziennych cel czy wież strażniczych. Ku mojemu zdziwieniu ojciec, który przecież od rana był jakiś oklapnięty, zerwał się z siedzenia, zamaszystym ruchem rozsunał drzwi samochodu i wyszedł na otaczający nas mróz.

- Dokąd idziesz?
- Czy nie po to przyjechaliśmy tutaj?
- A jeśli się mylimy?

Tymczasem on już zsuwał się po zboczu niewielkiego pagórka, pośliznął się i zaraz wstał, nie próbując nawet strzepać śniegu ze spodni. Ruszyłem za nim, przekonany, że zaraz zawróci – gałęzie smagały go po twarzy, śnieg lepił się do butów, mroźny wiatr zacinał. Jeszcze trochę, a zacznie się złościć, myślałem, zaraz wróci do auta, ani chwili dłużej tego nie wytrzyma. Tymczasem on szedł uparcie dalej, mijając młode drzewka, pogrążając się coraz głębiej w tym pustkowiu.

– On tutaj był – powiedział i coś w jego twarzy uległo jakiejś szczególnej zmianie. Spojrzenie się ożywiło. Wokół ust pojawił się wyraz dziecinnej radości. Wyprostowany brnął z determinacją przez śnieżne zasy. Nieoczekiwanie ten zamknięty w sobie człowiek jakby się otworzył. Ja w każdym razie nie pamiętałem go w takiej dziarskiej formie.

Odkryliśmy razem sterczący z ziemi obłamany żelazny słupek, na pół zardzewiały. Zamierzałem już wracać do naszego autobusu, kiedy ojciec zapytał:

- A jeśli to była latryna?
- Latryna? – powtórzyłem – Mielibyśmy trafić na jego latrynę?

Skinął głową, patrząc na mnie z prawdziwym ożywieniem.

Teraz to ja byłem gotów się poddać, to ja miałem dość zimna, podczas gdy mój ojciec trzymał w ręku nowy obiekt: był to kawałek bardzo starego pnia, w który on się wpatrywał niczym rasowy dendrolog.

– To drewno musi mieć więcej niż siedemdziesiąt lat. Bardzo możliwe, że on miał je w ręku.

I wsunął ów kawałek pnia do kieszeni kurtki – a ja własnym oczom nie mogłem uwierzyć.

– Położę to na moim nocnym stoliku – oświadczył, a ja kiwnąłem głową i poczułem się tak, jak dzień wcześniej w biurze Pietrowa. Nie wiedziałem, jak mam na to wszystko reagować. Podniosłem też jakąś gałązkę, ale czułem w tym geście jakiś fałsz. Mój ojciec zaś snuł coraz to nowe pomysły, wspinał się na coraz to inne wzgórki, rozglądał się na wszystkie strony, za każdym drzewem odkrywał coś ciekawego.

- Należałoby postawić tutaj pomnik – oświadczył.

Ja skupiłem się właśnie na palcach u własnych nóg, bo już prawie ich nie czułem z zimna. On jednak napawał się wrażeniami, jakich dostarczał mu ten pokryty śniegiem brzozy lasek.

Spędziliśmy na tym mrozie nie więcej, jak pół godziny, kiedy nagle wyraz oczarowania zniknął z twarzy mojego ojca, napięcie, jakie przeniknęło jego ciało, osłabło, niby pod wpływem narkotyku. W milczeniu wróciliśmy do naszego autobusu, gdzie czekali na nas Swietłana, Ai Weiwei i profesor.

Szybko zapadł zmrok i ojciec spał już mocnym snem, kiedy dotarliśmy do drogi szybkiego ruchu. Obie dłonie położył między nogami i przypominał śpiące dziecko. Furia, jaka mi przez cały czas naszej podróży towarzyszyła, ulotniła się bez śladu. Nigdy dotąd nie widziałem go w tak dobrym nastroju, tak pełnego zaciekawienia otaczającym go światem – nigdy odkąd go znałem. Podobnych uczuć nie budziły w nim narodziny moich dzieci ani mój ślub. Ten las, latryna, kawałek drewna, który utkwiał w jego kieszeni, wszystko to wyzwoliło w nim więcej prawdziwych uczuć, niż to, czego ja kiedykolwiek byłbym w stanie dokonać.

Dopiero wspólna podróż na Syberię pozwoliła mi zrozumieć, że nigdy nie będę dla niego ważniejszy, niż ta cała historia powszechna i te wszystkie wojny, które opanowały jego umysł i serce. I dzięki temu przestałem się na niego złościć i głośno irytować, bo sytuacja wyglądała gorzej, niż mi się zdawało. Bo Stalin, sam sobie po cichu tłumaczyłem, najpierw zabrał twojej rodzinie cały kraj, potem uwięził twojego dziadka, a na koniec odebrał ci ojca.

Następnego dnia odlecieliśmy z powrotem. Słońce świeciło, kryształki lodu lśniły na szybach autobusu, który wiozł nas na lotnisko. Swietłana, żegnając się z nami, zachęcała nas do powrotu latem, kiedy wszystko kwitnie, a my obiecaliśmy to, wiedząc jednak, że nigdy już Azbestu nie zobaczymy. Czekał nas dwudniowy pobyt w Moskwie – czuliśmy się tam, jak po powrocie z jakiejś dzikiej głuszy, i wiedzieliśmy, że już nie spotka nas nic bardziej wstrząsającego. Piliśmy wódkę już w południe, paląc papierosy jak Rosjanie, a drzwi wahadłowe, które przed paroma dniami stanowiły dla nas przeszkodę prawie nie do pokonania, teraz popychaliśmy bez większego trudu. Nie kłóciliśmy się wcale, rozmawialiśmy swobodnie o tym i owym, tak jakby nagle znikły wszystkie punkty zapalne. W końcu odlecieliśmy do Monachium, gdzie przesiedliśmy się, on na samolot do Budapesztu, ja – do Zurychu.

Dzienniki V

Agnes

W pierwszym okresie mego pobytu w Budapeszcie nocowałam w obozie dla uchodźców, gdzie znaleźli się ludzie, którzy – tak jak ja – nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić. Którzy szukali swego dawnego życia, ale nie mogli go już odnaleźć. Po pewnym czasie zaczęłam tam nawet pracować – rozdawałam koce. To zajęcie dobrze mi robiło, ale w jakimś momencie rozchorowałam się na żółtaczkę; byłam zupełnie sama, nie miałam nikogo, kto by się o mnie zatroszczył. Umieszczono mnie więc w szpitalu, gdzie wprawdzie się o mnie troszczono i szybko wracałam do zdrowia, ale długo jeszcze nie czułam się całkiem dobrze. Pewnego dnia podeszła do mnie jedna z pielęgniarek i powiedziała: „Chyba wiem, czego ci brakuje: czujesz się osamotniona. Nie masz nikogo, z kim mogłabyś porozmawiać. Spójrz tam, w głąb korytarza. Stoi tam młody człowiek, jest Polakiem. Był w Auschwitz, tak jak ty. Znalazł się tutaj, bo miał wodę w płucu. On też jest zupełnie sam. Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś z nim porozmawiała”. Ten Polak z wodą w płucu został moim mężem.

Spędzaliśmy ze sobą bardzo dużo czasu. On był zdeklarowanym syjonistą i pomagał ludziom, którzy wybierali się do Palestyny, bo państwa Izrael wtedy jeszcze nie było. Co i rusz musiał opuszczać Budapeszt na jakiś czas, ale za każdym razem wracał. Miał pięciu braci i jedną szwagierkę – pozostali członkowie rodziny zginęli w obozach koncentracyjnych, podobnie jak jego żona i dziecko. Chciał wyjechać ze mną do Izraela, żeby zacząć życie od nowa, ale ja nie mogłam się zdecydować. Co prawda wiedziałam, że moi rodzice nie żyją, ale żeby opuścić Węgry tak całkiem i na zawsze? Kto wie, może żył jeszcze ktoś, kto więcej o nich słyszał, kto znał szczegóły ich śmierci. Biegałam wciąż z kąta w kąt, szukając nie wiadomo czego, i strach mnie ogarniał, że w końcu zwariuję. Zdecydowałam się więc na niego. Rabin, którego od dawna znałam, udzielił nam ślubu.

Opuszczenie Węgier nie było wcale takie łatwe, bo cały kraj był wtedy opanowany przez Rosjan. Zorganizowaliśmy sobie fałszywe papiery

i wyjechaliśmy najpierw do Fiume, potem do Mediolanu, a stamtąd do małej wioski w pobliżu Turynu, gdzie w starym *palazzo* czekała już na nas jego rodzina. Byliśmy wolni, ale wszystko wydawało się wciąż jakieś niepewne.

Maritta

Goga stawała się coraz słabsza. Którejś nocy dałam jej tabletkę nasenną, żeby złagodzić dręczące ją bóle, i rano stwierdziłam z przerażeniem, że biedaczka jest nieprzytomna. Nasz dozorca wyłożył swój drabiniasty wóz sianem i zaprzągnął do niego dwa wynędzniałe woły. Najbliższy szpital dzieliło od nas dziewięć kilometrów. Umieściliśmy umierającą w tym nędznym pojeździe i ruszyliśmy w drogę. Taką fatalną, wyboistą wiejską drogą zataszczyliśmy biedną Gogę na tamten, lepszy świat. Wraz z nią mój stary świat utracił swój ostatni drogowskaz. Wkrótce potem musieliśmy się znowu przenieść gdzie indziej, bo komuniści odebrali nam nawet ten domek myśliwski, w którym zdołaliśmy się jako tako urządzić. Przenieśli nas do biednej wioski gdzieś na końcu świata. Zamieszkaliśmy w dwóch osobnych chałupach: moi rodzice dzielili dwa pokoje z mieszkającymi tam gospodarzami, moja matka – i to właśnie ona – miała spać w kuchni. Ja i mój syn wprowadziliśmy się do pokoju przy rodzinie, która traktowała nas niezbyt życzliwie. Czuliśmy się tam jak w niewoli i tak to właściwie wyglądało. Oczywiście nie można tego porównać z sytuacją mojego męża, ale czuliśmy się tam tak, jakby nam odebrano wszelką nadzieję. Tylko las dawał nam osłonę, pociechę i drewno na opał. Państwowe Gospodarstwo Leśne zatrudniło nas jako robotników dniówkowych, podczas gdy jeszcze przed paru laty wszystkie te ziemie należały do nas.

Agnes

Dość długo mieszkaliśmy w tej włoskiej wsi. Przygotowania do dalszej podróży natrafiły na jakieś przeszkody. I wtedy, jak grom z jasnego nieba, nadszedł któregoś dnia telegram z Czerwonego Krzyża z wiadomością, że mój brat żyje. Nie posiadałam się z radości. „Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, co on zamierza”. Rozdzieliliśmy się więc raz jeszcze: rodzina mojego męża wyruszyła do Palestyny, a my zostaliśmy na miejscu. Jednak życie we Włoszech też nie było łatwe. Panowało wysokie bezrobocie, policja uporczywie nas nękała, wypytując, co robimy i jakie mamy zamiary. Tak minęły trzy lata. W końcu mieliśmy tego czekania dość – nie udało nam się przekonać mojego brata, by wyjechał razem z nami. Wystaraliśmy się o wizy w konsulacie argentyńskim i wkrótce potem wsiedliśmy na statek płynący do Ameryki Południowej.

Mój mąż miał ciotkę, która mieszkała w Buenos Aires i tam na nas czekała. Nie posiadaliśmy nic oprócz najkonieczniejszych ubrań, zdjęcia moich rodziców na pudełku po margarynie i paska, który mój mąż zabrał strażnikowi z Auschwitz w dniu wyzwolenia obozu. Wsiadliśmy do taksówki i całkiem nieoczekiwanie znaleźliśmy się w samym centrum miasta. Był to rok 1948.

Mój brat nie chciał tu przyjechać, ożenił się i do końca życia mieszkał na Węgrzech. Pracował w jakimś ważnym urzędzie, współpracując z komunistycznymi władzami, ani żonie, ani dzieciom nie wspomniał nawet słowem o czasie przebytych w obozie i umarł wcześniej, w wieku czterdziestu dziewięciu lat.

Maritta

Tak wyglądało wtedy moje życie we wsi położonej na końcu świata: praca w lesie, opieka nad synem, od czasu do czasu spacer i kolacja z rodzicami. I tyle. Moja matka już od dawna była przeważnie w ponurym nastroju, teraz właściwie prawie się nie odzywała, ojciec przez cały czas milczał, a ja też nigdy nie tryskałam żywiołowym humorem. W sumie stanowiliśmy raczej smętne grono. Każdy żył, zamknięty we własnej skorupie. Tylko od czasu do czasu wyglądając na świeże powietrze, by zaczerpnąć odrobinę sił życiowych. Polegało to na krótkich rozmowach, wspólnych spacerach, podczas których chociaż przez chwilę wszystko wydawało się takie, jak przed wojną. Jednak zaraz potem wycofywaliśmy się, zażenowani własną frywolnością, i wracaliśmy do pozycji, która stała się dla nas najbardziej naturalna: do pozycji kretów.

Pamiętam taki wieczór, kiedy wróciłam do domu późno, było bardzo zimno i mój syn już spał. Ponieważ nie miałam drewna na podpałkę, wrzuciłam do ognia gałęzie, które znalazłam przed domem – ich zapach przypominał mi natychmiast dawne czasy, spotkania towarzyskie z okazji polowań, miłą woń rumu, damskich puderniczek. Sięgnęłam po papier i długopis, żeby wszystko to dokładnie, ze szczegółami opisać. Słońce zaczynało wschodzić, kiedy słaniając się ze zmęczenia zabrałam się do odczytywania tego, co napisałam, by potem kartka po kartce wrzucać wszystko w gasnący żar – bo nie widziałam w tym żadnego sensu. Był rok 1955. Męża straciłam z oczu przed z górą dziesięciu laty, moje dziecko zamieniło się przez ten czas w chuderlawego, mizernego chłopca.

Miniona epoka pozbawiła mnie wszystkiego, co do mnie wcześniej należało: domu, rodzinnego ogniska, ojczyzny. Pogodziłam się z tym, że dokończę moich dni tutaj, w tej małej wiosce. Lecz oto stał się cud. Feri telegraficznie zapowiedział swój powrót i w rok później, po stłumionym powstaniu przeciwko Rosjanom, w listopadzie 1956 roku opuściliśmy Węgry wszyscy troje. Kiedy po

wielu latach mogłam wrócić, przekonałam się, że nic z dawnych czasów nie pozostało. Świat mojego dzieciństwa legł pod betonowymi gruzami Wschodu albo na śmietniku Zachodu. Ten świat znikł, przepadł. Gdzieś za jakimś zapomnianym zakrętem.

Agnes

W siedemnaście lat po przybyciu do Buenos Aires wybraliśmy się po raz pierwszy na Węgry. Na bilety lotnicze tam i z powrotem musieliśmy zużyć wszystkie nasze oszczędności. Przez ostatnie lata myśli o rodzicach nie dawały mi spokoju. Chciałam się dowiedzieć, gdzie i w jaki sposób zginęli, ale odpowiedź otrzymałam po bardzo długim czasie. Z okazji moich osiemdziesiątych urodzin – mój mąż od dawna już nie żył – córki zapytały, czego bym sobie życzyła. Odpowiedziałam im, że chciałabym odwiedzić moją wieś na Węgrzech. Chciałabym ją raz jeszcze zobaczyć. Przygotowując się do tej podróży, zaczęłam przeglądać najróżniejsze papiery, książki i dokumenty z nadzieją, że trafię na jakiś nowy ślad.

Przeczytałam relację o tym, że trzystu Żydów zapędzono do getta w sąsiedniej wiosce i że wśród nich byli również moi rodzice. Powiedziałam wtedy córkom: „Nie jedźmy teraz do Sárosd, ale tam, gdzie było owo getto, czyli do innej pobliskiej wioski o nazwie Sárbogárd”. W owej wsi udaliśmy się do siedziby gminy, żeby się dowiedzieć, co się stało z przebywającymi tam Żydami w 1944 roku. Młoda urzędniczka poszła do miejscowego archiwum i przyniosła dawne dokumenty. Nagle zobaczyłyśmy nasze nazwisko i obok datę: 1 lipca 1944. Mój ojciec odebrał sobie życie o godzinie piątej rano. Matka poszła w jego ślady tego samego dnia o godzinie jedenastej wieczorem. Oboje wypili truciznę. Ojciec miał w dniu śmierci lat czterdzieści siedem. Matka czterdzieści cztery. Tego samego dnia pojechaliśmy na żydowski cmentarz. Chciałyśmy znaleźć ich grób, ale nam się to nie udało. Zauważyłam tam tylko stary kamień bez żadnego napisu, bez żadnej daty. „Weźmy sobie ten kamień – powiedziałam moim córkom. – Tutaj zostali pogrzebani moi rodzice. I my znalazłyśmy ich grób”. Kiedy stałyśmy tam wszystkie, robiąc zdjęcie, dodałam jeszcze: „A teraz wynośmy się stąd. I to raz na zawsze”.

Latem, po naszej syberyjskiej podróży, wziąłem sobie kilka tygodni bezpłatnego urlopu. Jeden z moich przyjaciół leciał do Kanady i zostawił mi do dyspozycji swoje mieszkanie, miałem tam spać i pracować. „Korzystaj z tego wedle woli, bez żadnych ograniczeń”, oświadczył, wręczając mi klucze. I w ten sposób znalazłem się ni stąd, ni zowąd w tych obcych pokojach. Podłoga trzeszczała, kiedy przechodziłem z kąta w kąt, a gdy przystawałem bez ruchu, robiło się niesamowicie cicho, dzieci nie hałasowały, telefon nie dzwonił, nikt nie wyznaczał terminu wykonania takiej czy innej pracy. Zupełnie jakbym się znalazł w jakimś cudzym życiu. Bywa tak, że ludzie chowają się w samotnej chatce w lesie, żeby wyłączyć się na jakiś czas ze świata – a ja schroniłem się w dwupokojowym mieszkaniu położonym w najbardziej ożywionej dzielnicy rozrywkowej Zurychu – przebywałem tam do późnych godzin po południu. Po czym ruszałem na rowerze z powrotem do dzieci i żony, gotowałem makaron, wydrapywałem resztki pasty do zębów z umywalki, a w nocy potykałem się o oba porzucone na podłodze gumowe dinozaury, bo któreś z dzieci zapłakało, a ja biegłem, żeby je uspokoić.

Ale przez cały dzień byłem całkiem wolny, po raz pierwszy od lat. Zamierałem przeczytać wreszcie wszystkie te książki i dokumenty, wszystkie akta i notatki, które zgromadziłem podczas podróży do Rechnitz i Rosji. Zamierałem się skupić i zastanowić, zacząć coś pisać, parę zdań zanotowałem na komputerze, sporo godzin spędziłem przed telewizorem, wszystko wydało mi się do kitu, wstałem, żeby sobie zaparzyć kawę, wziąłem do ręki jakąś książkę, ale zamiast czytać, przeglądałem się w okiennej szybie. Obserwowałem siebie, jak stoję w tym obcym mieszkaniu, udając, że czytam – a przecież wiedziałem, że wcale nie czytam. Kogo i po co chciałem nabrać?

– Kiedy tak słucham, co mi pan dzisiaj opowiada, to odnoszę wrażenie, że brakuje panu męskich wzorców do naśladowania – odezwał się Daniel Strassberg, mój psychoanalityk. Była znowu środa... a może piątek? Inni szli do fitness klubu, a ja od miesiący kładłem się na jego kozetce. Obie te godziny

wpisały się już w program mojego tygodnia i wyglądało na to, że nasz eksperyment funkcjonuje jak należy, bo po niedługim czasie zdołałem się zupełnie wyzwolić od mojego podstawowego pytania: co z dawnych przeżyć może mnie nękać? Rechnitz, ciotka Margit, wszystko to wisiało wprawdzie w powietrzu, ale równocześnie gdzieś się ode mnie oddaliło, aż zawisło przed moimi oczami niby bańka mydlana – i pękło. – Chodzi o odpowiedź na pytanie, co to znaczy być mężczyzną.

– Słucham? – odpowiedziałem. Zacząłem nasze spotkanie od opowiadania o dziadku, o moim stosunku do niego, o latach spędzonych przez niego na Syberii i o tym, jaki wpływ wywarł na mojego ojca nasz pobyt w Rosji.

– Jesteście rodziną słabych mężczyzn – ciągnął swoje Strassberg.

Znów zaniemówiłem, czułem się dotknięty i zirytowany. Bo kto ma ochotę słuchać takich sądów w środowe południe? Przez małe okno wpadał blask słońca, widziałem pyłki kurzu tańczące w wiązce światła. Na półce z książkami stała mała drewniana figurka o szerokich biodrach i grubych wargach – czy on przypadkiem ją tam postawił, urządzając swój gabinet? Czy leżał kiedyś na swojej kozetce, żeby sprawdzić, jak pacjent się na niej czuje? Może nawet spał tu czasem, zastanawiałem się, gdy robiło się już późno? Może kiedy pokłócił się z żoną, to wolał tu zostać, paląc papierosa – gdzieś stoi też pewnie butelka koniaku.

– Innymi słowy – słyszałem dalszy ciąg jego wykładu – jedyną osobą w pana rodzinie, którą wyposażył pan w męskie atrybuty, takie jak siła, pieniądze, seks, przemoc jest pańska ciotka Margit, ten potwór.

– Ciotka Margit? – przeraziłem się. To imię już od kilku tygodni nie było tu wspomniane. Zupełnie o niej zapomniałem, inne tematy nabrały większej wagi, moja praca, dzieci. – I to właśnie kobieta miałaby być moim jedynym uosobieniem męskich cech? – Wciąż miałem przed oczyma drewnianą figurkę. – I akurat... Margit?

– *Shit happens.*

Milczałem.

– Bardzo mi przykro – mówił dalej – może się nieelegancko wyraziłem. Ale rozumie pan, co chciałem powiedzieć?

– Nie, właściwie nie – odpowiedziałem, chociaż doskonale go rozumiałem. Miałem to wszystko przed oczami, siebie samego, mego ojca, dziadka, moje dzieci. – Ostatni weekend spędziliśmy w górach – podjąłem na nowo przerwana relację.

– Tak, słucham?

– Na zwykłej rodzinnej wycieczce, śladem wszystkich innych. Ale nam się ostatnio jakoś nie udawało. Tak, że w końcu straciłem panowanie nad sobą i uderzyłem mojego synka.

Strassberg milczał.

– Po prostu tak się stało. Straciłem panowanie nad bezmyślnym odruchem. Syn spojrział na mnie, a ma takie wielkie, okrągłe oczy, jak te wszystkie pluszowe misie – i wtedy okropnie się zawstydziłem. „Bardzo mnie zabolalo”, powiedział, a dolna warga zaczęła mu drzeć, i w końcu wybuchnął płaczem. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto płakałby tak rzewnie, grube łzy płynęły mu po policzkach, a mnie na ten widok omal serce nie pękło. I proszę sobie wyobrazić, że starałem się wszystko zatuszować, taka była moja pierwsza reakcja. „Przecież nic się nie stało, tłumaczyłem mu, nie zrobiłem ci krzywdy”. Najpierw go biję, a potem się tego wypieram. On ma przecież trzy lata, czy to nie jest haniebne z mojej strony?

Czekałem na reakcję Strassberga, spodziewałem się z jego strony pociechy, a kiedy nic takiego nie nastąpiło, kontynuowałem moją opowieść.

– Wziąłem synka na ręce i serdecznie go przeprosiłem. Po czym opowiedziałem wszystko mojej żonie. Stałem przed nią jak zbity pies, słuchając jej oskarżeń: jaki jestem podły, bijąc dziecko, a potem się tego zapierając. Moja żona miała absolutną rację. Otaczały nas niezliczone szczęśliwe rodziny z samymi tylko szczęśliwymi dziećmi, a ja znalazłem się u kresu wytrzymałości nerwowej. Po prostu nagle poczułem, że mam wszystkiego dość. Nie mogłem znieść siebie samego, swojego odbicia w lustrze, swoich dowcipów – poczułem się źle we własnej skórze – czy pan zna to uczucie? Kiedy nie można dalej mówić, bo ma się dość własnej gadaniny. Kiedy się siebie obserwuje, tak jak w fitness klubie, gdzie otaczają nas lustrzane ściany i musimy się sobie przyglądać podczas ćwiczeń z hantlami, nienawidząc się za to. Najwyraźniej znalazłem się w sytuacji, która zaczęła mnie przerastać. Podobnie czułem się kiedyś jako nastolatek, gdy całymi popołudniami nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca w świecie. Ale po co ja to wszystko panu opowiadam?

Strassberg trwał w swym obojętnym milczeniu.

– Kiedy pan mówił przed chwilą o czymś w rodzaju brakującej siły, skojarzyło mi się to z przejawami przemocy, które bywają naturalnym skutkiem słabości. Dlaczego tak się dzieje, że zaczynam krzyczeć na dzieci, kiedy sam jestem zmęczony albo w złym humorze – bo one biegają przecież tylko po całym mieszkaniu, ponieważ chcą się bawić. Mają ochotę żartować, skakać po łózkach, podczas gdy mnie własny głos kojarzy się z marudzeniem sfrustrowanego emeryta: „Czy wy macie pojęcie, ile to kosztowało?”, krzyczę na nie, kiedy coś

zepsują, i patrzę ze złością w ich słodkie oczka – a one tylko chichoczą, by czym prędzej wrócić do przerwanej zabawy. Co mógłbym im ofiarować? Nie mam do dyspozycji nic cennego. Własna pustka doprowadza mnie do szału, czy pan mnie rozumie? Przypomina mi się pewne popołudnie, miałem wtedy chyba nie więcej niż czternaście lat. Była zima, na dworze wszystko pokryte śniegiem. Jechałem z grupą kolegów autobusem na basen. Po drodze zaczęliśmy szaleć, jak to z chłopcami w tym wieku często bywa – przerzucaliśmy się czapkami, wciskaliśmy sobie nawzajem kąpielówki na głowę. Ktoś zepchnął mnie w pewnej chwili z siedzenia, znalazłem się znienacka na podłodze, pod nogami jakiegoś starszego człowieka i on ścisnął mi głowę butami – dokładnie pamiętam zapach podłogi i skóry, podgrzany ciepłem panującym w autobusie. Nie mogłem uwolnić głowy spod jego butów, chociaż szarpałem się i wyrywałem. Zamiast krzyżeć i wzywać pomocy, milczałem, on też się nie odzywał, w milczeniu znęcał się nade mną, czułem, jak łydki drżą mu z wysiłku. Słyszałem krzyki kolegów: „Halo, gdzie ty się podziewasz?! Pośpiesz się!”. Nie mieli oczywiście pojęcia o naszym pojedynku. W końcu autobus zatrzymał się, a ja zdołałem się wreszcie wyswobodzić, drapiąc paznokciami łydki mojego dręczyciela. Tuż przed zatrzaśnięciem drzwi autobusu dołączyłem do moich towarzyszy. Musiałem mieć mocno czerwone uszy i rozpaloną głowę. Nigdy nie zapomnę zapachu jego butów, do dziś wyraźnie go czuję. Ale właściwie po co ja to wszystko panu opowiadam?

Strassberg milczał, ja również milczałem, spoglądając w górę, ku drewnianej figurce, i byłem zdyszany, jak po wyczerpującym biegu.

– Niechże to diabli wezmą – powiedziałem. – Czy ja zachowuję się tak, jak tamten człowiek? Ta cicha przemoc. Co się ze mną stało?

Milczenie.

– Marny nazista w dzieciennym pokoju – odpowiedziałem.

Pewnego popołudnia, siedząc przy biurku w obcym mieszkaniu, wziąłem do ręki zgniłozieloną teczkę mojej babki, którą ojciec wręczył mi po jej śmierci. Leżała ona przez dwa lata, nietknięta, w jednej z moich szuflad. Perspektywa przedzierania się przez tak uciążliwy rękopis odstraszała mnie. Pierwsze strony zawierały opisy polowań na bażanty i zające, co mnie mało interesowało – natrafiłem tam jednak na coś, co zwróciło moją uwagę: był to głos, jakim babka o tym opowiadała – mocny i zdecydowany, znikł ton rezygnacji, bolesnego poczucia klęski. Moja babka, pisząc o sobie, o swoich rodzicach i o wydarzeniach, jakie rozgrywały się na terenie Węgier podczas wojny, sprawiała wrażenie osoby, która dokładnie wie, co robi. I powinna się z tym śpieszyć – o czym przekonała również mnie.

W tej teczce znalazłem setki stron, przeważnie napisanych ręcznie i ułożonych bez ładu i składu, co mnie paraliżowało – bo nie wiedziałem, od czego mam zacząć. Całe fragmenty były przekreślone, najwyraźniej ciągle je przerabiała, uzupełniała, tu i ówdzie wstawiała wykrzykniki lub gwiazdki, odsyłające do miejsc w tekście, których nie potrafiłem znaleźć. W przeciwieństwie do tekstów komputerowych, których historia powstawania aż po zakończenie całego procesu pozostaje dla odbiorcy niewidoczna – tutaj mamy do czynienia z otwartą raną. Walka autorki o sformułowania, o precyzję i prawdę, jej rozpacz, furia – wszystko to czytelnik miał przed oczami. Często dopisywała na marginesie tekstu coś, co podczas lektury własnych dzienników przychodziło jej do głowy; trafiały się tam niedoprecyzowane myśli, starsza pani zapisywała na bieżąco to, co jej nieoczekiwanie zaświtało w głowie – zdradzał to pośpieszny, nieporządnny charakter pisma. I wciąż była z siebie niezadowolona.

Porozkładałem kartki na podłodze, począwszy od biurka w kierunku łazienki, dalej aż do kuchni, tworząc długi wąż białego, gładkiego, nieliniowanego papieru – i zabrałem się do szukania początku i odpowiedniej kolejności. Przystępując do układania puzzli, szukamy najpierw punktów zaczepienia – ja jednak natykałem się wciąż tylko na jedno nazwisko, o którym nigdy dotąd nie słyszałem, a brzmiało ono: Mandl. I na wspomnienie pewnego popołudnia na

dziedzińcu pałacu w Sárosd latem 1944 roku, kiedy Niemcy zajęli Węgry. Adolf Eichmann wprowadziwszy się do najwykwintniejszego budapeszteńskiego hotelu Astoria, w ciągu kilku tygodni zdołał zrealizować plan Margarethe, polegający na zajęciu przez Niemcy Węgier i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych pół miliona węgierskich Żydów.

* * *

– Czy opowiadałem panu o dzienniku mojej babki? – zapytałem Strassberga. Leżałem jak co tydzień na jego kozetce, patrząc w sufit.

– Nie.

– Mam go w domu od lat. Ale dopiero teraz zacząłem go czytać. Wyobrażałem sobie, że będą to niewinne wspomnienia starszej pani. Przekonałem się jednak, że jest to coś poważniejszego.

– Coś poważniejszego?

– Babka postanowiła napisać książkę. Rodzaj spowiedzi. Przed samą śmiercią powiedziała mojemu ojcu, że ma to wszystko spalić, ale on tego nie zrobił. Jestem pierwszym czytelnikiem jej tekstu.

– O czym ona pisze?

– O swoim życiu. O dzieciństwie. O czasach od 1920 do 1956 na Węgrzech. O tym, jak będąc córką właściciela wielkich majątków ziemskich, wzrastała w pałacu z dziedzińcem przed oknami, z liczną służbą, z pokojówkami, z nauczycielem języka francuskiego, ze stangretem. Aż w pewnym momencie do małej wioski o nazwie Sárosd wtargnęła wojna, która wszystko odmieniła. A Węgry były sojusznikiem Niemiec.

– Wiem.

– Żydzi zostali spędzeni w jedno miejsce i wysłani do obozów koncentracyjnych albo potopieni w zimnym Dunaju. Los szlachty był łaskawszy, ale oni też musieli swoje odcierpieć. W latach powojennych odebrano im wszystkie dobra ziemskie i ogłoszono wrogami ludu. O tym właśnie pisze moja babka, o tej totalnej przemianie. I opowiada, że od wielu lat nosiła się z zamiarem opisania tego wszystkiego, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Aż pewnego rana obudziła się z kompletną wizją swojego zadania: zobaczyła, jak ma swoją książkę zacząć, jaka powinna być jej konstrukcja, jak ma wyglądać scena końcowa – wszystko to stanęło jej jasno przed oczami. Brzmi jak scenariusz filmowy, ale ona to w ten sposób opisała. Zagłada jej świata, pisze moja babka, rozpoczęła się pewnego popołudnia latem 1944 roku. Najwyraźniej

była wtedy świadkiem zbrodni. Żydowskie małżeństwo umiera na jej oczach, na dziedzińcu przed rodzinnym pałacem.

– I co się wtedy dokładnie wydarzyło?

– Ja tego nie wiem. Ich nazwisko brzmi: Mandl. Oboje stracili życie w okolicznościach, które nie są dla mnie całkiem jasne. A moja babka mogła ich uratować. „Nie mogę patrzeć w lustro, nie myśląc o Mandlach”, pisze.

– O Mandlach?

– Wszystko to jest jakieś niejasne. Kartki są poukładane bez ładu i składu. Zupełnie jak w jakimś kryminale.

– A co stoi na przeszkodzie, aby odbierać to jako kryminał?

– No, bo jednak dwie osoby straciły wtedy życie.

– Czy nie zwróciło to pana uwagi, że pytanie, czy coś panu wolno, czy nie, się powtarza? Ono przewija się w trakcie naszej sesji, powtarza się problem legitymizacji: czy w grę wchodzi pana życie, zawód czy odczucia, czy pragnienia, wciąż wypływa ten sam problem. Jeśli odczuwa pan to jako kryminał, to w pana pojęciu jest to kryminał.

– A więc nie, to nie zwróciło mojej uwagi. Ale skąd się coś takiego bierze?

– Właśnie nad tym będziemy dalej pracować.

Po powrocie do cudzego mieszkania zacząłem znów biegać od jednej kartki do drugiej – początek jednej sceny znalazłem w kuchni, bo jej dalszy ciąg spotkałem wcześniej na końcu korytarza. Zacząłem teraz zwracać uwagę na różne kolory długopisów, jakich używała – oczyma wyobraźni widziałem jej wysoką, chudą postać, jak siedzi wyprostowana przy stole z charakterystycznie zaczerwienionym nosem. Miałaby pewnie na sobie niebieski sweter z golfem, jasne spodnie i solidne, wygodne buty na grubej podeszwie. O biżuterii nigdy nie było mowy. Nieduża lampa do czytania jest włączona, reszta pokoju tonie w mroku późnego popołudnia. Może obok na stole stoi szklanka z wodą, może jabłko leży na białym spodku. Chociaż nie, jabłko do niej nie pasuje, niech to będą raczej orzechy włoskie. Babka wyjmuje z rękawa papierową chusteczkę, urywa kawałek, zwija go między palcem wskazującym i kciukiem w małą kuleczkę i wkłada do ust. To jedno z jej niewielu dziwactw.

Nie licząc kilku zdań, jest ze swego tekstu przeważnie niezadowolona. Wciąż tylko przekreśla, poprawia, likwiduje, zamykając oczy, bo odpowiednie słowa się na zawołanie nie zjawiają, a zdania nie pasują, *nem jó* – wszystko jest nie takie, jak by sobie życzyła. A otworzywszy oczy, widzi grupy turystów w zanadto pstrych skafandrach, gromadzące się przed podwójnymi oknami

wystawowymi, między którymi zbiera się woda kondensacyjna. Jesienią w Budapeszcie roi się od Chińczyków.

Moja babka wpatruje się w brązowy długopis leżący obok szklanki z wodą. Wyobrażam sobie, jak bierze go do ręki, wciska w lewy górny róg kartki i zdecydowanym gestem przekreśla od góry do dołu cały zapisany na niej tekst, dokładnie i cierpliwie, aż cały soczysty brąz wyschnie i zblednie. Po czym pisze – a musi długopis z każdą nową literą coraz mocniej naciskać, żeby wydusić z niego jak najżywszą barwę dla komentarza do przekreślonego tekstu, nad którym przez wiele godzin pracowała: „Przecież to wszystko wierutne kłamstwo!”.

Słyszę szmer wysuszonego długopisu, wciskającego się w ciszę pokoju, podczas gdy w tle tyka kuchenny zegar, a na placu przed domem chińscy turyści pakują się do swojego autobusu.

To nie ma prawa zaginąć, odpowiadała zawsze, kiedy ją pytałem, dlaczego wciąż pisze i pisze, zamiast posiedzieć sobie w ogrodzie albo pójść na spacer. Mówiła też o jakiejś niewidzialnej taśmie, która ma związać jej świat z moim. Trzeba tylko połączyć poszczególne fragmenty, a wtedy będzie można dostrzec ową taśmę łączącą dziadków z wnukami – bo obejmuje ona najwyżej sto lat, więcej nie da rady, gdyż wzrok już dalej nie sięga. Jej rodzice za bardzo się ode mnie oddalili, a moje dzieci znalazły się zbyt daleko od niej.

Sto lat? I cóż to ma być za taśma?

Za jej życia nie przywiązywałem do tych słów należytej uwagi. Ale im więcej czytałem z tego, co napisała, tym bliższy jej się czułem, tak jakby moja babka chciała mi dać coś na drogę – w ten sposób odbierałem jej słowa. Jak opętany pochylałem się nad kartkami, starając się rozszyfrować jeden wstęp za drugim niby archeolog, który najdrobniejsze fragmenty mozaiki oczyszcza szczotką do zębów i razem składa w nadziei, że zdoła odtworzyć pierwotny kształt. I tak miały kolejne dni.

Owego lata mężczyźni zapuszczali sobie brody, kobietom T-shirty zsuwały się z ramion, a w Syrii tysiące ludzi ginęły w wojnie domowej – podczas gdy ja biegałem na bosaka po historii mojej babki, a trochę i po mojej własnej. I nadal kładłem się dwa razy w tygodniu na kozetce u Strassberga i opowiadałem mu z rosnącym przejęciem o mojej mozaice. A on przestał występować w roli wszystkowiedzącego doradcy, który mi pomaga porządkować problemy, jak to czynił w ciągu minionych miesięcy – ale stał się moim sojusznikiem. Nasze role zbliżyły się do siebie, dotychczasowa hierarchia zanikła. Wizyty w jego gabinecie zamieniły się w spotkania przy kawiarnianym stoliku, Strassberg stał się przyjacielem, który siedzi zawsze przy tym samym stoliku i zawsze ma dla

mnie czas. I zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, usłyszałem własne słowa: „Sam nie wiem, czy potrafiłbym się zdobyć na ukrywanie Żydów”. Wygłosiłem to zdanie, podczas gdy nad Zurychem świeciło słońce, ulicą przejeżdżał tramwaj, a ludzie szli się kapać. A ja rozmawiałem ze Strassbergiem o tylu sprawach, zwierzałem mu się z tak bardzo intymnych uczuć – a jednak dopiero wypowiadając to właśnie zdanie, miałem to szczególne wrażenie, jakbym zaczął unosić się w powietrzu, jakbym dotarł po raz pierwszy do miejsca, którego do tej pory nie znałem. Jak gdyby całkiem nieoczekiwanie wszystko nabrało sensu, chociaż owo zdanie brzmiało, rzecz jasna, absurdalnie. Z jakiej racji ja miałbym obowiązek ukrywać Żydów?

- To jest pana kryterium oceny.
- Moje co?
- Pana punkt odniesienia.
- Nie rozumiem.
- Pański życiowy punkt odniesienia znajduje się w przeszłości.

Czy to była owa taśma, o której wspominała moja babka? – zadawałem sobie pytanie w piekarni na rogu. Po każdym posiedzeniu u Strassberga kupowałem sobie tutaj kanapkę z serem i butelkę coli – i zawsze za ladą stała młoda kobieta w piekarskiej czapce na głowie i z kółkiem w nosie, na przedramieniu miała wytatuowanego karpia. Wyobraziłem sobie jakąś specjalną linię, która łączyła ze sobą pokolenia, widziałem ją jakby jeszcze za mgłą, ale czułem, że coś takiego istnieje, jakiś rodzaj mostu rozpiętego ponad czasem. Moją babkę i mnie dzieliło tyle lat, tyle wojen, tyle granic, a mimo to jej słowa wydawały mi się dziwnie bliskie, jakbyśmy mieli wspólną tajemnicę.

– Czy będzie jeszcze coś więcej? – zapytała mnie kobieta naznaczona karpem.

– Nie, dziękuję.

„Przynajmniej Mandlów mogłam uratować”, pisała babka, wracając co chwila do owego popołudnia, do szelestu, z jakim małżeństwo Mandlów osuwało się na wysypywany żwirem dziedziniec. „I cóż ja wtedy zrobiłam?”, zadawała samej sobie pytanie. „Nic”. Przez całe życie nic nie zrobiła, schowała się, skurczyła i żyła jak kret – skąd ja znałem te zdania? Czy to nie ja sam je wypowiedziałem parę tygodni temu w gabinecie Strassberga, narzekając na brak kręgosłupa, na własne tchórzliwe schodzenie do podziemia. Cierpieliśmy z podobnych przyczyn, moja

babka i ja, czy było to rzeczywiście możliwe? Tyle że moje walki toczyły się nie podczas wojny, ale w biurze czy przy kuchennym stole.

– Należy się osiem franków pięćdziesiąt.

– Słucham?

– Płaci pan osiem franków pięćdziesiąt – powtórzyła kobieta z karpiem, wyciągając do mnie rękę, a ryba patrzyła mi prosto w oczy.

W drodze powrotnej do mieszkania mojego przyjaciela przekonywałem sam siebie, że moim obowiązkiem jest uzupełnić luki w dzienniku babki. Zabrałem się do szukania w internecie informacji dotyczących rodziny Mandlów, szybko wyłądownałem na stronie Yad Vashem, żydowskim miejscu pamięci, gromadzącym nazwiska i losy wszystkich żydowskich ofiar nazizmu i trafiłem na wspomnienie poświęcone małżeństwu Mandlów zamieszczone tam ku pamięci rodziców przez ich córkę Agnes, zamieszkałą w Buenos Aires i podpisującą się swym nowym nazwiskiem Kupferminc. Agnes musiała więc przeżyć Auschwitz i po wojnie przeniosła się do Buenos Aires. Wpisawszy w Google jej nowe nazwisko, natrafiłem na homepage malarki – a przyjrząwszy się jej obrazom, nie miałem wątpliwości, że się nie pomyliłem. Musiała to być wnuczka Mandlów, którzy zginęli przed pałacem mojej babki.

* * *

Była znowu środa i kozetka pod białym regałem, nad moją głową mieściła się litera L. Lévi-Strauss, Lacan, Lukács, znałem wszystkie te grzbiety, oczywiście z Leibnizem włącznie, granatowa okładka wydawnictwa Suhrkamp z żółtymi literami: *Philosophie der Gerechtigkeit*.

– Mandlowie mieli dwoje dzieci w wieku mojej babki, Agnes i Sándora – oświadczyłem Strassbergowi po chwili leżenia w milczeniu, kiedy przecierałem sobie oczy i poprawiałem sweter. – W dzieciństwie bawili się wszyscy razem, chyba panu o tym opowiadałem?

– Tak, pamiętam.

– Moja babka była przekonana, że oboje zostali w Auschwitz zagazowani. Tymczasem na szczęście przeżyli.

– Naprawdę? Skąd pan to wie?

– Dzięki Google. Agnes wyszła po wojnie za mąż za Polaka, który także przeżył obóz. Urodziły im się dwie córki, jedną z nich znalazłem przez internet, jest malarką. Mieszka w Buenos Aires i nazywa się Mirta Kupferminc. Za pomocą swoich obrazów stara się rozpracować historię rodziców i dziadków.

W wywiadzie, który znalazłam na jej homepage'u, Mirta mówi: „Do najważniejszych wydarzeń, dotyczących mojego życia, doszło przed moim urodzeniem”. Czy to nie jest dziwne?

Strassberg milczał.

– Mirta opowiada dziennikarzowi, że jej dziadkowie odebrali sobie życie, zanim ich wywieziono do Auschwitz. Zażyli truciznę, żeby uniknąć niemieckich komór gazowych. Moja babka jednak pisze, że zostali rozstrzelani. Ona była przy tym obecna, wszystko widziała na własne oczy i opisała ze szczegółami. Czy to nie jest wstrząsające? W katalogu wystawy Mirty czytałem, że jej twórczość wynikająca z rozpaczliwej czerpie natchnienie z historii własnej rodziny. W naturze jej twórczości malarskiej jest budowanie, a nie niszczenie. Do znalezionych na ulicy starych mebli dorabia skrzydła, lubi łączyć żydowskie tradycje kulturalne ze sztuką współczesną. Jest pełna tęsknoty za przeszłością, historią, starymi meblami, fotografiami, tradycją rodzinną przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Tymczasem ona właśnie nic z rodzinnych pamiątek nie posiada, bo razem z Auschwitz wszystko przepadło, podczas kiedy ja, przeciwnie, mam wszystkiego za dużo, i to właśnie tego, czego ona nie ma. Czy mnie pan rozumie?

– Tak.

– To pan mi właśnie powiedział, że mój życiowy punkt odniesienia znajduje się w przeszłości.

– Podobnie musi wyglądać sytuacja życiowa owej Mirty.

– Mirta mogła zostać pielęgniarką albo nauczycielką, a wtedy nigdy bym jej nie znalazł. Tymczasem została artystką, która nie maluje krajobrazów, tylko cienie przeszłości. Widziałem w internecie jedną z jej instalacji pod tytułem *Skin of Memory*. Ona porównuje tatuaż oświęcimski Agnes z dzisiejszymi tatuażami młodych ludzi.

– Co pan teraz zamierza robić?

– Napiszę do niej. Proszę sobie wyobrazić, że mógłbym ją odwiedzić. A może jej matka, Agnes, jeszcze żyje? Co mogę jej powiedzieć? Że bardzo mi przykro z powodu tamtych wydarzeń? Żebyśmy o tym zapomnieli? Moja babka powtarza, że dręczyło ją to przez całe życie niby mantra: „Przynajmniej Mandlów mogłam uratować. Chociaż ich jednych”.

* * *

Poniedziałek, 2 września 2013, 15:30

Dziennikarz szwajcarski

Droga Mirto Kupfermenc,

piszę do Pani w bardzo osobistej sprawie. Znalazłem dziennik, napisany przez moją babkę. Wiele setek stron. Babka urodziła się w małej węgierskiej wsi o nazwie Sárosd, w pałacu. W swoim dzienniku często wspomina pani dziadków, małżeństwo Mandlów, i ich dzieci, Agnes i Sándora. Agnes to pani matka, jak sądzę. Czy się nie mylę?

Trafiłem podczas lektury na pewne sprawy, o których musimy koniecznie porozmawiać – a nie ukazują one mojej rodziny w najlepszym świetle.

Poniedziałek, 2 września 2013, 20:13

Re: Dziennikarz szwajcarski

Drogi Sacho, cóż to za wiadomość! Doskonale znam nazwisko Pana babki. Bardzo często była u nas wspominana. Ja też odwiedziłam pałac w Sárosd. Nie ulega wątpliwości, że powinniśmy o pewnych sprawach porozmawiać. Siedzę teraz na lotnisku w Londynie i za godzinę lecę do domu. Może zechciałby Pan nas odwiedzić? Moja matka Agi ma prawie pięćdziesiąt lat i na pewno by się z Pana wizyty ucieszyła.

Poniedziałek, 2 września 2013, 20:25

Re: Dziennikarz szwajcarski

W jaki sposób Pan mnie znalazł?

Poniedziałek, 2 września 2013, 20:26

Re: Dziennikarz szwajcarski

Ciekawa jestem, jaką drogą trafił Pan poprzez nazwisko Mandlów na moje? Tysiące pytań przychodzi mi do głowy, czuję się kompletnie skołowana.

Poniedziałek, 2 września 2013, 21:19

Rere: Dziennikarz szwajcarski

Droga Mirto, wcale nietrudno było Panią odnaleźć. Po paru kliknięciach wylądowałem na Pani stronie i tam też trafiłem na obrazy. Tysiące pytań przychodzi Pani do głowy? Mnie one również nurtują! I bardzo chciałbym przyjechać do Buenos Aires i poznać Panią oraz Pani matkę. W dzienniku przeczytałem, że moja babka szukała pani matki w jakimś węgierskim obozie. Ale jej nie znalazła. Czy to możliwe? Była Pani w Sárosd, tej

maleńkiej wiosce na Węgrzech? Proszę zgadnąć, dokąd ja się za kilka dni wybieram. Musimy dalej kontaktować się telefonicznie.

Środa, 4 września 2013, 13:27

Rerere: Dziennikarz szwajcarski

Drogi Sacho, przekazałam Pana maile mojej siostrze i innym członkom rodziny. Wszyscy są niezmiernie podnieceni. Musi Pan to zrozumieć. Nie co dzień nam się zdarza otrzymywać listy od osób, które mają dla nas informacje dotyczące naszych dziadków. Czy Pan też ma rodzeństwo?

Odpowiadam na Pana pytanie: Moja matka była w Auschwitz, a przedtem w jakimś węgierskim obozie, więc to, o czym jest mowa w dzienniku, może być zgodne z prawdą. Tylko że w związku z tym nasuwa się pytanie: po co pana babka szukała mojej matki? Czy czegoś od niej chciała? I w jakim celu jedzie pan do Sárosd?

Jak Panu może wiadomo, żydowski Nowy Rok obchodzi się w najbliższych dniach, jestem więc teraz bardzo zajęta. Ale jutro około południa będę w studio, czy ta pora by Panu odpowiadała?

Środa, 4 września 2013, 18:27

Rererere: Dziennikarz szwajcarski

Ten termin mi odpowiada. Nic nie wiedziałem o żydowskim Nowym Roku – w takim razie życzę Pani udanych obchodów tego święta! Pyta Pani, czy mam rodzeństwo. Tak, mam dwóch braci, jeden jest ode mnie starszy, drugi młodszy. Całą resztę będziemy mogli wyjaśnić jutro, mamy przecież dość czasu, teraz, kiedyśmy się już „odnaleźli”.

Środa, 4 września 2013, 19:02

Rerererere: Dziennikarz szwajcarski

Kiedy mowa o czasie: nie powinniśmy go znów tracić. Gdybym jutro podczas rozmowy telefonicznej płakała, to proszę nie zwracać na to uwagi i mówić dalej.

W parę dni później wsiadałem w Zurychu do pociągu jadącego do Budapesztu. Było zimno, padał deszcz, a ja zająłem miejsce przy oknie, jadłem bezpestkowe winogrona, a teczka, zawierająca wspomnienia mojej babki, leżała na moich kolanach. Zamierzałem jechać z Budapesztu dalej, do owej wsi o nazwie Sárosd, chciałem stanąć na dziedzińcu, gdzie doszło do zbrodni przez siedemdziesiąt lat trzymanej w tajemnicy.

W przeciwieństwie do wielu innych fragmentów opis tego popołudnia pojawia się w kilku wersjach. Uderzyło mnie to z miejsca, kiedy otworzywszy teczkę, zacząłem rozkładać na podłodze poszczególne kartki. Z początku wydawało mi się, że są to już same czystopisy – dopiero kiedy zacząłem poszczególne wersje ze sobą porównywać, zauważyłem, że każda kolejna jest dokładniejsza, bardziej szczegółowa, bardziej sugestywna. Tak jakby moja babka musiała najpierw wziąć porządny rozbieg, żeby dotrzeć do sedna sprawy. Ale zamiast niszczyć wcześniejsze wersje, zachowywała je, jakby chciała móc odtworzyć krok po kroku własną drogę do prawdy. Na zakończenie pierwszej wersji, w której nie było jeszcze mowy o strzałach, napisała brązowym długopisem: „Wszystko to wierutne kłamstwo!”. Na zakończenie drugiej sama sobie zadała pytanie: „A jeśli to wyglądało jeszcze gorzej?”.

Na peronie w Zurychu stały kobiety w obcisłych sweterkach i kozaczkach na wysokich, cieniutkich obcasikach, paląc jeszcze ostatniego papierosa przed odjazdem pociągu, do którego już wpakowały swoje wypchane, ciężkie walizki. Kobiety te zwróciły nie tylko moją uwagę, inni podróżni też wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, jakby chcąc sobie szepnąć: „Aha, więc to tak wyglądają te młode Węgierki, o których od miesiący trąbią gazety i programy telewizyjne”.

Jedna z owych kobiet usiadła koło mnie – z jej torebki wystawał pyszczek małego pekińczyka, który oblizywał językiem zamek błyskawiczny, podczas gdy nasz pociąg mijał przedmieścia Zurychu. Kiedy jego pani usiłowała wepchnąć swoją walizkę na wysoką półkę, jej sweterek podjechał mocno do góry, tak że nagi brzuch wylał się ze spodni niczym mleko, które podgrzewałem

dla dzieci i które przez moją nieuwagę wykopiało na kuchenną płytę. Lśniący kamyk w jej pępku znalazł się przez chwilę tuż przed moim nosem. Potem wywiązała się między nami rozmowa.

„Gdyby mi się udało odtworzyć wydarzenia tego popołudnia w takim kształcie, w jakim one się rzeczywiście rozegrały, byłabym szczęśliwa – pisała moja babka w swoim dzienniku. – Co ja naprawdę widziałam, a co sama sobie wmówiłam? – zadawała pytanie. – Dlaczego moja matka była w sanatorium? I dlaczego ja dla każdego z członków mojej rodziny szukałam jakiegoś alibi? Dlaczego przez całe życie chroniłam ojca, chociaż on mnie zawsze lekceważył? Czy nie nadeszła pora, żeby go wreszcie zdradzić?”.

– Nazywam się Linda – oświadczyła znudzonym tonem siedząca obok mnie kobieta z pieskiem, kiedy poczęstowałam ją winogronami, których zresztą nie przyjęła. – Czy ty też jedziesz do domu?

– Do domu? – powtórzyłem. – No, w pewnym sensie tak.

Patrzyłem przez chwilę w jej stronę, jak gdybym zamierzał jeszcze coś powiedzieć, a ona wbiła wzrok w swoją komórkę, jak gdyby też czekała na jakiś dalszy ciąg, ale mnie nie przychodziło jakoś nic do głowy. Po węgiersku, w języku moich rodziców, najłatwiej mi jest mówić o przeszłości albo na przykład o jedzeniu. Wiem też, co to jest obóz pracy albo reforma rolna. Mój zasób słów sięga XIX wieku: msza wielkanocna, powozy, przetwory, dżem brzoskwiniowy – bo je słyszałem od dzieciństwa. Ale jeśli chodzi o słownictwo współczesne, to miewam kłopoty. Nie wiem, jak młodzi ludzie porozumiewają się ze sobą. Nie wiem, jak się określa po węgiersku słuchawki z mikrofonem, adidas, jak brzmią słowa: „zazdrość”, „zataczać się”, „tańczyć”. Moje Węgry są staroświeckie, i tutaj, w tym kolejowym przedziale z Lindą i jej pieskiem, tuż przed północą okazały się bezużyteczne.

W Buchs dosiadła się jeszcze jedna Węgierka. Najwyraźniej znały się z Lindą, bo natychmiast zaczęły z wielkim ożywieniem rozmawiać, wyciągnęły herbatniki, colę, gumę do żucia i tak już było do końca podróży. Zamknąwszy oczy, słyszałem zgrzyt wagonów po szynach, szelest torebek z chipsami i ponad tym wszystkim trzepot jaskrawych plastikowych tipsów, które obie panie przykleiły sobie do paznokci, i śmigały nimi po telefonach jak szalone – na tym polegał rytm owej nocy. Zdawało się, że to szczury biegają po powierzchni linoleum.

Piątek, 6 września 2013, 23:15

Rerererere: Dziennikarz szwajcarski

Drogi Sacho, od naszej telefonicznej rozmowy trwamy tu wszystkie w silnym szoku. Cała ta historia ogromnie nas zbulwersowała i chyba byłoby najlepiej, gdybyś nas jak najprędzej odwiedził. Mamy wrażenie, że wiesz o naszej historii więcej niż my same.

Moja matka zadawała sobie przez całe życie pytanie, dlaczego jej rodzice popełnili samobójstwo. Nie mogła tego zrozumieć. Jeśli stało się tak, jak twierdzisz, i oni umarli w inny sposób, to dla nas wiele zmienia. Musimy całą sprawę gruntownie przemyśleć – czy mamy Agnes o tym powiedzieć i jeśli tak, to w jakiej formie. Bardzo bym chciała zobaczyć charakter pisma twojej babki. Może byś przywiózł ze sobą jej dziennik. Napisz, kiedy przyjedziesz.

– Co robisz w Zurychu? – zapytałem Lindę.

– Pracuję w restauracji, jestem kelnerką.

– Gdzie?

– To bardzo mały lokal, za miastem. Nie znasz go, nikt go nie zna. –
I wykonała gest ziewania.

A ja odpisałem Mircie.

Piątek, 6 września 2013, 23:21

Rererererere: Dziennikarz szwajcarski

Droga Mirto, siedzę w pociągu, jadę na Węgry, nie mogę ci odpowiedzieć.
Odezwę się później.

Pociąg wjechał do tunelu, znowu nie przychodziło mi do głowy nic, o czym mógłbym porozmawiać z Lindą. Nigdy nie byłem mocny w podtrzymywaniu rozmowy. Przypomniały mi się wszystkie te artykuły prasowe o Węgierkach takich jak Linda, zdjęcia prostytutek czekających na rogu ulicy za dworcem. Żeby je stamtąd usunąć, zorganizowano przed paroma miesiącami w dawnej dzielnicy przemysłowej specjalne dla nich miejsce w kilku otwartych garażach. Wymyślili je i zbudowali urzędnicy, w porozumieniu z pracownikami socjalnymi, organizacjami kobiecymi i ekspertami służby zdrowia. Odbyli oni mnóstwo posiedzeń, okrągłych stołów, powstały wtedy najrozmaitsze koncepcje, plany, listy, kosztorysy. Łamano sobie głowy w najrozmaitszych biurowych lokalach z ozdobnym fikusem w rogu, jak należy coś takiego zbudować. Jak powinno wyglądać? Bezpieczeństwo, z tym się wszyscy zgodzą, i to bezpieczeństwo kobiety musi być na pierwszym miejscu.

A może by umieścić na tylnej ścianie czerwony podłużny neon? Świetny pomysł! Wniosek przyjęty.

Jak należałoby ten cały przybytek nazwać? Tego rodzaju miejsce nie może pozostać bezimienne, chociażby ze względu na media. Bez takiej propozycji z pewnością by się też nie obeszło.

A więc znowu posiedzenia, propozycje sypią się jak z rękawa, ktoś usiłuje wymyślić grę słów z czerwonym światłem w tle, ale żaden efektowny pomysł się nie rodzi. Ktoś inny próbuje sięgnąć do języka francuskiego, bo to romantycznie brzmi: jakieś *amour* czy *voiture*.

– Trzymajmy się raczej konkretów – zwraca uwagę zebranych kierownik działu. – To jest na ogół mniej ryzykowne. – I wszyscy przyznają mu rację. Jak jeden mąż.

Zaraz po inauguracji zjawia się oczywiście telewizja i pokazuje poszczególne kabiny – bo tak się one teraz będą nazywały. Oglądamy więc wypindrzonych mężczyzn w wypindrzonych samochodach, do których wsiadają wypindrzone kobiety. W głębi widnieje czerwony neon, po czym kamera wznosi się ku górze i ukazuje wieczorne niebo nad Zurychem. A co się dzieje potem? Mężczyzna jedzie sobie dalej, może do domu, żeby coś przekąsić – a może do opery?

A kobieta? Staje po prostu znów na rogu?

Sobota, 7 września 2013, 00:19

Rerererererere: Dziennikarz szwajcarski

Jak będziesz w Budapeszcie, to wstąp do Muzeum Holocaustu. Tam wisi mój obraz. Porozmawiamy, kiedy wrócisz. Mirta

Pociąg zatrzymał się w Innsbrucku. Deszcz dzwonił o szyby. Wyobrażałem sobie, że Linda będzie w domu opowiadać rodzicom, jakie powodzenie ma restauracja, w której pracuje. Wręczy im drobne prezenty, może zegarki, bo każdy, kto przyjeżdża ze Szwajcarii, przywozi zegarki, chociaż pochodzą one czasem z Chin. Będzie mówić, że życie w Szwajcarii jest drogie, ale ulice są bardzo czyste. „Wyobraźcie sobie, że w jeziorze można się kąpać, i są tam łabędzie, bielsze niż u nas śnieg” – tak będzie mówić, przemilczając, jak się czuje, stojąc każdego wieczora przed owymi kabinami i wsiadając potem do obcych samochodów; i widząc, jak kierowca granatowej mazdy wyciąga kluczyk ze stacyjki: światła gasną, ale muzyka pozostaje, zachowując głośność trzeciego stopnia, żeby nie było zbyt głośno ani zbyt cicho, ale przyjemnie, w sam raz.

Ona podaje cenę, trzydzieści franków, cyfr po niemiecku zdążyła się już nauczyć, a w Szwajcarii nie ma nic równie taniego jak laska. „*You can begin now*”, mówi on, i po chwili: „*Where are you from?*”. Pharrell Williams śpiewa *Happy*. Linda lubi tę piosenkę, widziała, jak któregoś lata cały świat tańczył w jej rytmie. Ona śpiewała ją pod prysznicem, *happy* z głębokim „a”, brzmiącym niemal jak „o”. Teraz jednak, pochylając głowę, zawadza o kadzidełko wiszące pod wstecznym lusterkiem i kołyszące się w blasku czerwonego neonu.

Because I'm happy / Clap along if you feel like a room without a roof.

Jej twarz znajduje się na poziomie aparatu radiowego, granatowego displaya, Radio Top, *Die besten Songs aller Zeiten*. Wdycha ciepłe powietrze płynące z silnika.

Because I'm happy / Clap along if you feel like happiness is the truth

Because I'm happy / Clap along if you know what happiness is to you.

Bierze do ręki jego gładki członek i głaszcze go coraz intensywniej, męczyzna pojękuje w takt muzyki – *happy, happy, happy* – z dłonią na jej karku. Niezrażona odorem zsuwa się coraz niżej i wkłada sobie jego członek do ust.

„Pracowałam kiedyś w Szwajcarii jako kelnerka” – tak będą brzmiały jej oficjalne wspomnienia. Podobnie jak państwo Mandl oficjalnie popełnili samobójstwo za pomocą trucizny na szczury z własnego sklepiku spożywczego – jak o tym wtedy opowiadano, chociaż naprawdę strzelono do nich z tyłu, trafiając w plecy, a oni oboje upadli i na ich jasnych płaszczach widać było plamy krwi. „Kto decyduje o tym, co jest prawdą, a co fałszem? Kto decyduje o kształcie historii?”, pyta moja babka w swoich wspomnieniach.

A my jechaliśmy dalej, Salzburg był już za nami. Spojrzałem w okno. Coraz to pojawiały się nikłe światełka migocące wśród pojedynczych gospodarstw. Kto z ich mieszkańców jeszcze nie śpi? Moja twarz odbita w szybie była jakaś zmięta, włosy w nieładzie – wyglądałem staro i żałośnie – w tyle za mną widać było mglisty cień Lindy i pieska na jej kolanach. Kto w końcu decyduje o tym, co jest prawdziwe, a co fałszywe? Kto może zamienić morderstwo na samobójstwo?

Moja babka napisała: „Ten, kto ma władzę”.

Nie była obecna przy tym, jak jej ojciec owego wieczoru w lipcu 1944 roku udał się do burmistrza, a potem do proboszcza, żeby ich pouczyć, co w danej sytuacji powinni uczynić. Pod koniec życia babka doszła jednak do wniosku, że musiało się to wtedy podobnie rozegrać. W owym czasie jej ojciec był kimś

ważnym, szlachta miała jeszcze wtedy władzę. „W parę lat później straciliśmy już wpływ na cokolwiek. Komuniści odebrali nam nie tylko ziemię, ale i całą naszą moc”.

Istnieje taka możliwość, że ojciec mojej babki przez całe późniejsze życie czekał, żeby prawda wyszła na jaw. Może miał nawet nadzieję, że w jakiejś chwili ktoś z tyłu znienacka chwyci go za ramię i zapyta: Powiedz, jak to wtedy naprawdę było? Jednak nigdy do tego nie doszło i cała sprawa utonęła na dnie bagien otaczających Sárosd, a moja babka po latach ją stamtąd wydobyła, oczyściwszy z błota.

* * *

Kiedy tydzień wcześniej zawiadaniałem mojego ojca o zamiarze złożenia mu wizyty, odbyliśmy przy okazji rozmowę na tematy polityczne, między innymi o Viktorze Orbánie, premierze węgierskiego rządu, którego cały świat krytykuje, a mój ojciec wynosi pod niebiosa. W gazetach roi się od relacji na temat „małego dyktatora”, który kazał zbudować koło swego domu stadion piłki nożnej. Czytałem gdzieś, że poseł prawicowo-nacjonalistycznej partii Jobbik polecił wyrzucić z parlamentu flagę europejską i zastąpić ją sztandarem węgierskim z roku 1920, wzbogaconym o zarys granic państwa z czasów jego światowej potęgi.

Mojemu ojcu tego rodzaju aktywność niewątpliwie przypadła do gustu i usłyszawszy tę wiadomość, z pewnością zareagował swoim ulubionym *oh yeah*, naśladując zachowanie Johna Wayne’a z filmu *Rzeka Czerwona*, zagadnąłem go nawet w tej sprawie.

– Czy to prawda z tą flagą?

– *Oh yeah*.

– I co to właściwie ma znaczyć? Skąd się bierze ta wieczna żaloba po niegdysiejszej potędze?

– Ty tego nie rozumiesz?

– Nie. Flaga to przecież tylko kawałek płótna.

– Żal mi ciebie, że tego nie rozumiesz.

– Ale dlaczego to takie ważne?

– Bo nie wiesz, co to znaczy: ojczyzna. Kiedy twoja ojczyzna znajdzie się w niebezpieczeństwie, to czujesz z tego powodu ból. Podobnie jak wtedy, kiedy ci ją zabierają.

– Ból? Ojczyzna? To brzmi w moich uszach jak z czasów średniowiecza.

- Kiedy chcesz przyjechać? Wtedy o tym porozmawiamy.
- Tuż przed jedenastą rano, jeśli przeżyję noc w pociągu. Przyjedziesz po mnie?
- Oczywiście.

Kwadrans po jedenastej dotarliśmy do Budapesztu, był piękny jesienny dzień. A ja najlepiej czułem się na Węgrzech jesienią. Wybrałem się tam po to, żeby razem z ojcem zwiedzić pałac, w którym moja babka mieszkała przed wojną. Chciałem też zobaczyć domek myśliwski, do którego oni się potem przenieśli, pragnąłem pochodzić po lasach i polach, gdzie ona pracowała, kiedy cały kraj tkwił już po uszy w komunizmie. Pomogłem Lindzie wysiąść, podałem jej walizkę, pieska zapakowała z powrotem do torebki. Kiedy staliśmy sami na końcu peronu, zapytałem, czy moglibyśmy wymienić się telefonami.

– A po co? – zapytała, nie brzmiało to niegrzecznie, ale tak, jakby przywykła do takiego pytania.

– Może będziesz potrzebowała kiedyś mojej pomocy. Znam język niemiecki, mieszkam w tym kraju...

– Ja nie potrzebuję niczyjej pomocy.

– No cóż, nie to nie.

– No, niech będzie. – I podyktowała mi dziesięć cyfr, był to numer szwajcarski, mój ojciec machał ręką z daleka. Zbliżał się już do nas, ale zatrzymał się w pewnym momencie. Linda nałożyła na uszy swoje różowe słuchawki, mówiąc: – No, to cześć.

– No, to cześć – odpowiedziałem.

– Kto to był? – zapytał ojciec, patrząc, jak Linda odchodzi na swoich cieniutkich obcasikach i znika w tłumie.

– To Linda. Kelnerka z Zurychu. Pracuje w restauracji poza miastem, ale ty tego miejsca nie znasz. Nikt go nie zna.

Przez następne cztery dni wędrowaliśmy po przeszłości.

* * *

W Sárosd obejrzeliliśmy pokoje w pałacu, ja zgarnąłem z dziedzińca garść żwiru, o którym tak często była mowa w dzienniku i zrobiłem parę zdjęć kasztana. Tam, gdzie dawniej mieszkała moja babka z rodzicami, z pokojówką Gogą, siodlarzami, ogrodnikiem i nauczycielem francuskiego, mieszkali teraz starzy ludzie korzystający z pomocy społecznej i pochodzący ze społecznego

marginesu. Pielęgniarze roznosili zupę w szarych, plastikowych miseczkach. Tam, gdzie dawniej jeździły powozy, teraz staruszka w chustce na głowie pchała przed sobą chodzik, ale utknęła po drodze, bo małe kółka nie mogły się przepchnąć przez gruby żwir. Pojechaliśmy potem do myśliwskiego domku i dalej do „wsi na końcu świata” według określenia użytego w dzienniku, ich ostatniego postoju przed ucieczką na Zachód.

– To musiało być gdzieś w tamtej okolicy – powiedział mój ojciec, wskazując grupę szarych domów z małymi okienkami. – Zastrany komunizm – zżymał się dalej, a ja przypomniałem sobie naszą podróż do Moskwy, jego obelżywe tyrady pod adresem Rosjan. – Chodźmy coś zjeść – zaproponował w końcu.

– Może kieliszek wódki? – zapytałem, bo przypomniała mi się zniecka owa scena, kiedy chwyciłem go za kołnierz, z czołem tuż pod jego nosem.

– Mogę z tobą pić wódkę tylko w hełmie na głowie.

Czekając na zamówione potrawy, wyjąłem z teczki notatki babki i zacząłem czytać:

„Jest późne popołudnie. Leżę w moim pokoju w łóżku, na brzuchu położyłam sobie *Wojnę i pokój* Tołstoja, kiedy nagły krzyk wyrwał mnie z półsnu”.

– Co to takiego? – zapytał ojciec.

– Czy mówi ci coś nazwisko Mandl?

– Nie.

To samo pytanie zadałem komuś innemu przed paroma tygodniami. Pojechałem wtedy do Liechtensteinu, żeby odwiedzić siostrę mojej babki, obie panie spędziły razem całe dzieciństwo w rodzinnym pałacu. Lilly uciekła po wojnie najpierw do Włoch, a potem zamieszkała w jakiejś dziurze w gminie Vaduz.

– Czy nazwisko Mandl coś ci przypomina? – zapytałem starszą panią, kiedy usiedliśmy po przywitaniu. Lilly ma czterdzieści trzy lata, moje pytanie musiałem powtórzyć pięć razy, M-A-N-D-L, krzyknąłem jej prosto w twarz, aż spojrzała na mnie jak na wariata, który ni stąd, ni zowąd bez powodu wrzeszczy.

– To byli wiejscy Żydzi – odpowiedziała, kładąc swoją dłoń na mojej. Dawniej nigdy mnie nie dotykała, ale członkowie mojej rodziny z wiekiem stają się coraz łagodniejsi i coraz bardziej dobroduszeni. Widziałem na jej palcach ślady po pierścionkach, które przez całe życie nosiła. Widziałem cieniutką skórę na opuszkach, tak delikatną, że, zdawałoby się, w każdej chwili może pęknąć, i wyobrażałem sobie, że lekarz, który próbowałby z tych opuszków pobrać krew do badania, nie wycisnąłby ani kropli.

– Mandlowie mieli mały sklepik, pamiętam ich wiśnie w słoikach, były takie słodkie i soczyste. Biada, jeśli któraś z nas poplamiała sobie sukienkę ich sokiem. Czy ci mówiłam, jaka surowa była nasza matka? I że jeszcze surowszy był nasz ojciec?

– Czy pamiętasz lato 1944 roku? – przerwałem jej.

– Rano musiałyśmy zawsze jeść z nim śniadanie, miałyśmy być już umyte, po prysznicu i wesołe. Bo ojciec nienawidził nadąsanych min.

– Co się stało tamtego dnia? – zapytałem.

– A co się miało stać?

– Tamtego dnia umarli Mandlowie.

– Chcesz jeszcze wina?

– Tak, proszę.

Lilly wstała, pojękując, od paru miesięcy cierpi na bóle krzyża.

– Byłaś tam przecież – powtórzyłem, a brzmiało to jak wywiad przeprowadzany przez prowincjonalnego reportera. Dopiero wtedy zorientowałem się, jak idiotycznie to brzmiało, rok 1944, to się rozegrało siedemdziesiąt lat temu, tyle może trwać całe ludzkie życie. Lilly wzruszyła ramionami.

– Ja przecież nie pamiętam, co się wczoraj działo – powiedziała, dolewając mi wina. – Ale po co ci ta wiadomość?

– Mandlowie to była para starszych ludzi – mówiłem ojcu przy restauracyjnym stoliku. – Wiejscy Żydzi. Mieli sklep niedaleko pałacu. W roku 1944, wkrótce po zajęciu Węgier przez Niemców, razem z kilkanaściorgiem innych Żydów pracowali w pałacowym ogrodzie. Prosilili nas o pomoc, tak tu jest napisane – powiedziałem, wskazując palcem teczkę. – Mandlowie prosili nas o pomoc.

– Nas? – spytał mój ojciec, wypijając resztę piwa.

– Nas, czyli naszą rodzinę – powiedziałem. – Twojego dziadka, którego przecież bardzo lubiłeś.

– Ach, więc z tego powodu przyjechałeś.

– Tak.

– No, to czytaj dalej.

„Żwir na dziedzińcu jest cały zryty kołami, widzę głębokie bruzdy, ślady po samochodach. Niemcy przed paru tygodniami zajęli wszystkie pokoje na dole,

nasz dom jest po brzegi wypełniony żołnierzami, uciekinierami, rannymi. Psy są niesłychanie podniecone, matka od wielu tygodni przebywa w sanatorium. Przez moje okno widzę ojca. Jest w bramie wjazdowej, pan Mandl stoi przed nim, wymachując rękami, pani Mandl krzyczy na ojca, oboje mają na sobie jasne, o wiele za obszerne płaszcze przeciwdeszczowe. Widzę na nich żydowskie gwiazdy i schodzę po schodach na dół, żwir chrzęści pod moimi nogami, pan Mandl patrzy mi w oczy, mój ojciec się nie odwraca”.

– Czy mam czytać dalej?

– Tak, oczywiście.

– To nie będzie przyjemne.

Kelner przynosi chleb, sól, pieprz, paprykę.

– Jest kilka wersji tego popołudnia.

– Dlaczego mówisz szeptem? – pyta ojciec.

– Wcale nie szepczę.

– A właśnie że szepczesz.

– Czy to nie dziwne? Dlaczego ona nikomu nie mówiła o tym, jak ważny był dla niej ten dzień?

– Nie mam pojęcia.

– Czy nigdy jej nie pytałeś o to, co się tu działo w czasie wojny?

– Widocznie za mało pytań zadawałem. Czytaj dalej.

– To była tajemnica jej życia. Zajął jej mnóstwo stron opis tego jednego zdarzenia, a śmierci drugiego dziecka, twojego brata – tylko jedną linijkę. Dlaczego?

– Skąd ja to mogę wiedzieć?

– Nikt nie ma pojęcia, gdzie go pochowała. Co zrobiła, kiedy niemowlę zmarło jej na rękach? Czy nigdy o to nie pytałeś?

– Czytajże dalej!

– Dlaczego tak krzyczysz?

– Wcale nie krzyczę.

„– Oni trafią do obozu koncentracyjnego i umrą – mówi pan Mandl, a chodzi o Agi i Sándora, jego dzieci. Twierdzi, że znajdują się już w jednym z tych pociągów, a pani Mandl opiera się na motyce: – Niech pan nam pomoże! – krzyczy. – Niech pan nam pomoże, na Boga, niech pan coś zrobi!

– Jakie to pociągi? – pyta mój ojciec. – Nie wiem, o czym pani mówi. – Pani Mandl krzyczy, pan Mandl podchodzi do ojca i chwyta go za kołnierz, ojciec go odpycha, pan Mandl osuwa się na ziemię i spada mu z głowy kapelusz.

– Co pan wyprawia!?! – krzyczy mój ojciec. Pan Mandl siedzi na ziemi, ten dawniej wysoki, korpulentny mężczyzna wydaje się teraz mały.

– Moje dzieci zginą. My wszyscy zginiemy – odpowiada, czerwony na twarzy, powoli wstaje, zabiera swój kapelusz, otrzepuje kurz ze spodni.

– Niech pan wraca do roboty! – rozkazuje ojciec, ale pan Mandl bierze za rękę swoją żonę i oświadcza:

– Ja nic nie będę robił. Po prostu stąd odejdę. – I ruszają oboje, pośpiesznie, lekko pochyleni, w kierunku stawu.

– Stójcie! – krzyczy mój ojciec i powtarza ten rozkaz po raz drugi i trzeci, w końcu wrzeszczy ze złością, ale tamci nie zawracają. Patrzą ojcu w twarz, widząc jego wściekłość, irytację. – Stójcie! – Wtedy padły strzały”.

– Czy chciałbyś usłyszeć pozostałe wersje tej historii? – zapytałem ojca. – One sobie nie przeczą, przybywa tylko szczegółów dotyczących tego zdarzenia. I nasz wizerunek nie wygląda tam najkorzystniej.

– Nasz? – zapytał znowu.

– No tak. W sumie nasz.

– A kto strzelał?

– Niemiec. Wtedy mieszkali w pałacu żołnierze Wehrmachtu. Rannych umieszczano w piwnicach i stajniach. Wszędzie było ich pełno, niektórzy siedzieli na ławce pod kasztanem. Inni palili papierosy, jeszcze inni rozmawiali. Jeden z nich wyciągnął wtedy z kabury pistolet i strzelił. Miał jasne włosy, tak go w każdym razie babka zapamiętała, był młody i szczupły. Może jeszcze żyje, wyobrażasz sobie.

– Bardzo możliwe.

– Nigdy nie został za ten czyn pociągnięty do odpowiedzialności, bo oficjalnie nic się właściwie nie stało. Zamordował jedno małżeństwo, unieszczęśliwił całą rodzinę, która dziś mieszka w Argentynie. Twoja matka nie zdołała się nigdy od tego popołudnia wyzwolić, a ten żołnierz został może w Lipsku piekarzem albo nauczycielem geografii. Dwoje dzieci, małe mieszkanie, ogródek działkowy, soboty spędzane na stadionie z Lokomotivem.

– Gdzie?

– Tak sobie tylko próbuję wyobrazić. Lokomotive Lipsk, klub piłki nożnej.

– Aha.

– Przypuśćmy, że nazywał się Böhme, Klaus Böhme.

– Böhme? Nasi sąsiedzi w Zurychu tak się nazywali.

– Pamiętam, ale nie przyszło mi do głowy żadne inne nazwisko. Przypuśćmy, że ów Böhme miał owego lata 1944 roku dwadzieścia lat, i w takim razie przeszedł na emeryturę, policzmy dokładnie, w roku 1989. Może owej zimy, kiedy mur w Berlinie został zburzony; taki zwykły niemiecki życiorys. Czy nie jest to jednak zastanawiające? Że z winy owego Böhme siedzę tu teraz z tobą?

Mój ojciec nic nie odpowiedział. Kelner przyniósł zamówioną potrawę. Gulasz z dziczyzny.

* * *

Poniedziałek, 16 września 2013, 15:45

Rererererererere: Szwajcarski dziennikarz

Droga Mirto, nie mogłem odezwać się wcześniej, bo byłem na Węgrzech, a podczas weekendu dzieci zajęły mi sporo czasu. Bardzo mi przykro, że ten dziennik wzbudził w waszej rodzinie taki niepokój. Ufam, że oprócz tego mógł odegrać tu również pewną rolę jakiś element pojednania. Czy błędem było, że się w ogóle do was odezwałem? Mógłbym przyjechać za miesiąc. Wczesnym rankiem 14 października. W czwartek. Czy to by wam odpowiadało?

Poniedziałek, 16 września 2013, 22:20

Rererererererere: Szwajcarski dziennikarz

To nie był żaden błąd. Dostarczyłeś nam odpowiedzi na pytania, które zadawałyśmy sobie od dawna. Data 14 października nam wszystkim odpowiada. Czy chciałbyś zamieszkać u nas? Czy mam cię odebrać z lotniska? Jak było na Węgrzech?

* * *

Takie samo pytanie zadał mi Daniel Strassberg po tym, jak przez pięć minut leżałem na jego kozetce, nie wiedząc, o czym mam mówić. Odniosłem wrażenie, że moje relacje go nudzą, że wciąż wracam do tych samych tematów. Czy mi się zdawało, że słyszę, jak ziewa?

– Na Węgrzech było całkiem interesująco – powiedziałem obojętnym tonem – mój ojciec wysłuchał opowieści o Mandlach bez emocji. Z zupełnym spokojem.

I nic szczególnego się tam nie wydarzyło.

Strassberg milczał.

Ja też milczałem.

– Wydaje mi się, że pana to wszystko właściwie nie interesuje – stwierdziłem.

– Skąd takie wrażenie?

– Bo pan ziewa.

– Czyżby? A zresztą, to mogło się rzeczywiście zdarzyć.

– Tak, oczywiście.

– Czy to pana zirytowało?

– Mógłbym to nawet zrozumieć. Ja też musiałem się przemóc, zanim tu przyszedłem.

– Naprawdę?

– No, bo sam nie wiedziałem, co mam panu opowiedzieć. Nie przybyło nic nowego, ja się ciągle powtarzam. Tak jakby wszystko się we mnie wypaliło. Intensywność ostatniego lata jakby zgasła.

– Kryminał się skończył.

– Słucham, co?

– Kryminał. Przed paroma tygodniami powiedział pan, że to wszystko brzmi jak powieść kryminalna.

Milczałem.

– Bo tak rzeczywiście było – przyznałem. – Same kryminały: najpierw Rechnitz, potem dziennik, Mandlowie, dalej Agnes, Mirta, wszystkie te historie się rzeczywiście dziwnie przeplatały. Również z pańskimi historiami.

– To były przedziwne tygodnie, także dla mnie. Ma pan rację. W tym czasie byliśmy jakby braćmi.

– Jakby braćmi?

– Używając suchego języka psychoanalizy: to tak. Braćmi albo synami, jeśli pan woli. Pan z pańską historią i ja z moją. Mój ojciec, który – podobnie jak mąż Agnes – po wojnie na zlecenie komunistyczno-syjonistycznej organizacji przemycał Żydów ze Szwajcarii do Marsylii, skąd płynęli statkiem do Palestyny. A moja matka przeżyła Auschwitz, tak jak Agnes. Ojciec miał ją przeszmuglować przez granicę, stanowiła towar z przemytu. Oni się jednak w sobie zakochali, czego owocem stałem się ja. W młodości ani też później, jako student, nie miałem ochoty identyfikować się z holocaustem, nie chciałem być synem holocaustu, ale mimo to on odcisnął na mnie swoje piętno, a ostatnie tygodnie spędzone z panem sprawiły, że ten problem na nowo we mnie ożył.

Obie historie splotły się jakby ze sobą. Czy pan wie, skąd się wzięło słowo „symbol”?

– Nie. Oczywiście nie wiem. Za każdym razem, kiedy mnie pan pyta, czy o czymś czytałem albo czy coś wiem, odpowiadam przecząco.

– Dlaczego pan o tym mówi?

– Bo w porównaniu z panem czuję się po prostu głupi. Ale zapomnijmy o tym. Nie powinienem był mówić w ten sposób.

Po czym umilkłem zażenowany. Ależ z ciebie idiota, pomyślałem, a żeby nawiązać do przerwanej rozmowy, zapytałem:

– No i co dalej z tym symbolem? Skąd pochodzi to słowo?

– Od greckiego określenia *symbolon*. Był to znak rozpoznawczy. Pierścień wykonany z gliny przełamywało się na pół i ten, kto odchodził, zabierał ze sobą jedną część. Posiadacz tej odłamanej połowy miał prawo w każdej chwili wrócić do tych, z którymi się kiedyś rozstał. Tak wyglądały nasze dwie historie: razem tworzyły jedną całość. Rozumiem jednak, że brakuje panu pierwotnej intensywności w naszych kontaktach. Podobnie rzecz się ma z miłością, przyjaźnią, a także z psychoanalizą.

– Czyżby?

– Wie pan, kiedy zaczynałem zajmować się psychoanalizą, musiałem sam się jej poddać, tak jak każdy. Pewnego dnia wyznałem mojemu analitykowi, że mam kłopoty ze snem – podejrzewałem, że wynika to z problemów, jakie pojawiły się między mną i moją przyjaciółką, z tego, że unikam zbliżeń z nią. Niech pan zgadnie, jak on na to zareagował?

– Nie mam pojęcia.

– Zapytał mnie o szerokość mojego łóżka. Kiedy mu powiedziałem, że wynosi ona metr czterdzieści, poradził mi kupić szersze łóżko, co rozwiązało mój problem. Chciałbym też panu coś wyjaśnić: moje ziewanie wynikało po prostu ze zmęczenia i nic więcej się za tym nie kryło. Ale proszę mi opowiedzieć o ostatniej pana podróży, bardzo mnie ona interesuje.

– Tuż przed wyjazdem na Węgry rozmawiałem telefonicznie z Mirtą, pamięta pan, to ta malarka, córka Agnes.

– Pamiętam, oczywiście.

– Pod koniec naszej rozmowy powiedziała, że ma wrażenie, jakbyśmy się od dawna znali. Mnie się też tak zdawało. I nie dlatego, że nasi przodkowie się kiedyś znali, ale dlatego, że między nami zrodziła się taka przyjazna bliskość. Może to sobie tylko wmawiam. Mirta opowiadała, jak bardzo cała jej rodzina związana była z losem dziadków, i że do tej pory wszyscy usiłowali się czegoś

bliższego dowiedzieć o ich losie. I że to niezwykle, ile ja mam o nich wiadomości, że potrafię jej opowiedzieć, jak wyglądał ich sklep, o wiśniach ze słoika leżących na ladzie; płakała z radości, kiedy jej mówiłem, jakie jej dziadek miał rumiane policzki. Wydawało mi się to wszystko wręcz niesamowite.

– Co wydawało się panu takie niesamowite?

– Jej bliskość z dziadkami, a przecież ona ich wcale nie znała. Każdy najdrobniejszy szczegół głęboko ją wzruszał. W pewnej chwili zapytała, czy są w dzienniku babki miejsca, które mogą na niej zrobić szokujące wrażenie. Odpowiedziałem, że takie miejsca się znajdują. Zamierzałem właściwie z tym poczekać aż do zakończenia przeze mnie lektury dziennika mojej babki. Ona jednak nalegała, więc zacząłem jej opowiadać ze szczegółami wszystko, co wiedziałem o ostatnich chwilach życia jej dziadków. O tym, że pracowali razem z innymi żydowskimi rodzinami w pałacu, pomagając w ogrodzie. Że prosili mojego pradziadka o pomoc, i o tym sporze potem, o krzykach, strzałach. Mirta zaczęła płakać, a ja nie wiedziałem, czy mam ją przeproszać.

– I przeprosił pan?

– Nie. Milczałem. Powiedziała, że nie jest pewna, czy ma o tych nowych szczegółach opowiedzieć matce. Że musi się nad tym zastanowić i naradzić z siostrą.

– Dlaczego ona się tak waha?

– Bo to jest zbyt bolesne. Nie można tej starej kobiety, która tyle w życiu wycierpiała, dręczyć tak przykrymi nowymi wiadomościami.

– Ja tego jednak nie rozumiem.

– Ja właściwie też.

– Czy nie gorsza do zniesienia była wiadomość, że rodzice sami zadali sobie śmierć.

Poniedziałek, 16 września 2013, 22:41

Rererererererererere: Szwajcarski dziennikarz

Droga Mirto, nie potrzebujesz mnie z lotniska odbierać, bo dojadę do miasta autobusem. Znalazłem też odpowiedni hotel. Pobyt na Węgrzech udany, niestety nie zdążyłem dotrzeć do Muzeum Holocaustu. Jaki to twój obraz tam się znajduje? Możemy się spotkać na obiedzie?

Poniedziałek, 16 września 2013, 23:03

Rererererererererere: Szwajcarski dziennikarz

Doskonale. Restauracja Mott. Róg El Salvador i Armenia. Godzina 13?

Przenieśmy się teraz na chwilę na Węgry roku 1982, a więc w erę Jánosa Kádára, przywódcy wprawdzie powszechnie znienawidzonego, ale jednak to za jego czasów kraj się otworzył na świat. Ludzie czuli się swobodniejsi, zarobki wzrosły, podróże na Zachód były dozwolone, chociaż bardzo kosztowne. Wielu mogło sobie pozwolić na kilkudniowe wakacje nad brzegiem Balatonu, odległego o sto kilometrów od Budapesztu, gdzie powstawało coraz więcej restauracji i pól kempingowych, a także małych pensjonacików i sklepów z butami dla pań, które biegały po nabrzeżach w barwnych lekkich sukienkach, ciesząc się okazywanymi im przez mężczyzn dowodami podziwu. Z pływalni słychać było głos Neny, Supertrampa, dźwięki węgierskich szlagierów, zjadało się smażonego sandacza, popijając piwem lub prawdziwą colą i spoglądając poprzez trzciny na wodę – a gdy się patrzyło z Siófok na zachód, nie można było dojrzeć brzegów, zupełnie jak nad morzem. Na Rivierę, jak tę okolicę nazywano, zjeżdżali się w owym czasie turyści z Bułgarii, zbiorowe wycieczki ze Związku Sowieckiego, a przede wszystkim całe rodziny z NRD. We wschodniej Europie było na pewno sporo piękniejszych miejsc do wyboru: w Polsce liczne rozległe jeziora, w Meklemburgii plaże z delikatniejszym piaskiem, w Dubrowniku smaczniejsze ryby – a jednak na Węgrzech każdy mógł czuć się najswobodniej, w wypoczynkowym nowoczesnym otoczeniu. „Tak właśnie wygląda Południe”, mówili przybyli z Drezna rodzice do córek stłoczonych na tylnym siedzeniu trabanta i podziwiających przez okno lodziarnie o lustrzanych ścianach. Nastrój wolności przenikał takie miejsca, jak Balatonfüred, od czerwca począwszy, a na drugiej połowie sierpnia skończywszy, gdzie przybyli z Budapesztu nastolatki wciskali dziewczętom z Lublany czy Lipska, spotkanym na dyskotecy, język do ust, paląc papierosy z białym filtrem i popijając ponczem z wódką, w którym pływały kawałki arbuza nasączone miejscową śliwkową palinką. Ci sami chłopcy powtarzali co wieczór tę samą zabawę, prowadząc jedną z owych dziewcząt w ciemnościach nad brzeg jeziora, do długiej kładki, której drewniane listwy jeszcze ciepłe były od słońca. Tam czekała zacumowana łódka, chłopak do niej wskakiwał, a następnie złapawszy równowagę, podawał

rękę towarzysze i pomagał jej usiąść na ławeczce. Po czym chwycił za wiosła i zręcznie odbiwszy od brzegu, kierował łódkę prosto między trzciny, zgodnie z wypróbowaną metodą. Dla dziewczyny było to wszystko całkiem nowe – ten zgniły zapach mułu i szelest gałązek trzciny ocierających się o dno łódki, tak że w końcu ani z prawej, ani z lewej strony nic nie widziała, tylko mroczne niebo nad głową.

Założmy, że owa dziewczyna, wpatrzona w niebo i przeczuwająca, co się zaraz stanie, nosiła nazwisko Böhme i mieszkała w ciągu owych beztróskich letnich dni na początku lat osiemdziesiątych z rodzicami i siostrą na kempingu w miejscowości Siófok, w brązowym namiocie z daszkiem, z idealnie dopasowanym składanym stolikiem. Klaus Böhme, jej ojciec, liczący wtedy pięćdziesiąt osiem lat, leżał całymi dniami na nadmuchiwanym materacu w cieniu małego sosnowego lasku, który stanowił część zajmowanego przez jego rodzinę pola namiotowego, trzymając przy uchu przenośne radio. Właśnie odbywały się w Hiszpanii mistrzostwa świata w piłce nożnej i Böhme nie chciał przegapić żadnego meczu, chociaż drużyna NRD nie brała w tych rozgrywkach udziału po przegranej w eliminacjach z reprezentacją Polski.

Już drugie wakacje z rzędu jego rodzina spędzała nad Balatonem, gdzie spotykała się z kuzynką żony mieszkającą na Zachodzie. Trabant rodziny Böhme stał obok mercedesa ich krewnych z Mannheim. Tysiące rodzin rozdzielonych przez mur spędzały razem letnie dni nad Balatonem, w strojach kąpielowych. Obywatele RFN i NRD, leżąc jedni przy drugich na różnokolorowych ręcznikach frotté, wysmarowani jedni hawajskim olejkiem pachnącym kokosami, drudzy – olejem z orzechów firmy Lebona. Po kształcie i koncepcji graficznej namiotów można było rozróżnić pochodzenie właścicieli, wschodnie lub zachodnie. Ale już po paru dniach różnice te nie grały żadnej roli. Z jednej tylko rzeczy mało kto zdawał sobie sprawę, a mianowicie, że na polach kempingowych wokół Balatonu kręciło się też mnóstwo przedstawicieli Stasi, grzecznych, uczynnych ludzi, którzy nawet fundowali dzieciom lody, tyle że popołudniami na parę godzin gdzieś znikali, by spotkać się z węgierskimi znajomymi i wymienić obserwacjami, kto kogo odwiedzał w tym czy innym namiocie i kto z kim na jaki temat rozmawiał.

Po przybyciu przed tygodniem na Węgry Böhme czuł się zrazu w pełni zadowolony. Pogoda była bez zarzutu, lubił też kuzynkę żony, chociaż jej męża uważał za bufona, co nosi najciaśniejsze kąpielówki z możliwych, najbardziej szpanerski zegarek, co wszystko wie najlepiej – tyle że odkąd Böhme odkrył sosnowy las, mógłby odzyskać pierwotny spokój, gdyby nie pewien szczegół, który od dwóch dni zaczął go nękać, ale co to właściwie było?

Może jakaś przypadłość żołądkowa, próbował to sobie wyjaśnić, bo do każdego dania dodawano tu kwaśną śmietanę. Włożył koszulę i pantofle plażowe, zabrał skórzaną torbę, w której miał pieniądze i okulary, i ruszył przez pole kempingowe w kierunku toalet, skąd dojrzał z daleka swoją córkę w grupie młodzieży. Była roześmiana, jej blond włosy stały się pod wpływem słońca jeszcze jaśniejsze, ojciec zauważył, że wieczorem coraz później wraca do wspólnego namiotu.

Zamiast zatrzymać się przed drzwiami którejs z błękitnych toalet Böhme poszedł dalej, minął restaurację i biuro, gdzie przyjezdnym gościom przydzielano pola namiotowe, i w końcu stanął przed własnym samochodem. Nie zastanawiając się, a właściwie nawet nie chcąc się zastanawiać, wsiadł, uruchomił silnik, opuścił szybę w oknie, bo było gorąco i zapach sztucznej skóry, którą pokryte były siedzenia, zaczął dawać się we znaki. Przez tory kolejowe przejechał na główną drogę, którą tydzień temu tu przybyli.

Żona nie zdąży zauważyć jego nieobecności, a wczesnym wieczorem Węgry grają z Salwadorem, z czego mógł bez żalu zrezygnować. Wiatr dobrze mu robił, trzepocząc lekko koszulą, a nie zawadzi rozejrzeć się troszkę po okolicy – myślał Böhme, chociaż dobrze wiedział, dokąd jedzie.

Na wschód od Balatonu okolica stawała się coraz bardziej pagórkowata, Böhme odkrył nawet tu i ówdzie winnice, minął niebieski traktor i wkrótce znalazł się wśród bagien; poznał to po tym, że coraz rzadziej spotykało się drzewa, nie było pól uprawnych – on sam był przecież nauczycielem geografii – zdawało mu się zresztą, że czuje w powietrzu zapach mokrej ziemi. Dojechawszy do Sárosd, Böhme zwolnił tempo, przed wjazdem do wsi mijał chatki cygańskie, widział kury i świnie, i siedzące na ziemi dzieci, dalej napotkał niziutkie lepianki i bocianie gniazda na dachach, i wieżę kościelną. Tam się zatrzymał, wysiadł i spostrzegł, że ma na sobie tylko kąpielówki, koszulę z krótkimi rękawkami i plażowe klapki. Tak ubrany nie mógł się tu przecież pokazać, stał więc przez chwilę przy samochodzie, nie wiedząc, co robić. Patrzył w stronę kościoła, zobaczył przy drodze sklep spożywczy, a po jego lewej stronie, pośród drzew dostrzegł dach żółtego pałacu, który dobrze znał. Chciał mu się przyjrzeć z bliska, tylko przez chwilę, tłumaczył się sam przed sobą, i przeszedł na drugą stronę drogi. Czy nie płynął tam strumyk?

Był wczesny wieczór, nigdzie ani żywego ducha. Böhme przeszedł przez mały mostek i znalazł się w parku otaczającym pałac, tam, gdzie zaczynała się wysypana żwirem ścieżka prowadząca na podjazd. Idąc, czuł każdy kamyczek pod gumowymi podeszwami. Chciał zobaczyć wewnętrzny dziedziniec, rzucić nań tylko okiem; nigdzie w pobliżu nie było żywej duszy, więc wśliznął się pod

pałacowy mur nagrзany słońcem i z daleka obejrzał gałęzie kasztana – a wtedy przypomniał sobie jego potężny pień – czy nie otaczała go okrągła ławka? Za chwilę ją zobaczy, jeszcze tylko parę kroków; kiedy skręcił za róg muru i znalazł się na dziedzińcu, zobaczył to drzewo, w którego cieniu spędzał podczas wojny całe popołudnia. Teraz nie było tam jednak żadnych żołnierzy, tylko kilkanaścioro staruszek i staruszków w szpitalnych ubiorach okrywających wychudłe ciała. Niektórzy trzymali w rękach butelki z kroplówkami, wpatrując się w niego, przybysza w kąpielówkach i plażowych klapkach. Przed czterdziestu blisko laty wpatrywano się w niego tutaj podobnie, tylko wtedy miał na sobie wojskowy mundur, a w ręku trzymał karabin.

Po powrocie do samochodu uderzył dłonią w kierownicę, bo ilekroć stawał mu nagle przed oczami ów obraz z przeszłości, zawsze powtarzało się to samo: dym dobywający się z własnego karabinu i odgłos ciał owej pary osuwających się na wysypianą żwirem drogę. Jak dawno temu się to wydarzyło? – zadawał sobie pytanie. Zostawił już bagna za sobą, zaczynały się rysować stoki pierwszych winnic – czy to się naprawdę wydarzyło, czy sam sobie wszystko wyobraził? Böhme ruszył z powrotem nad jezioro, wkrótce pojawiły się pierwsze sklepy sprzedające nadmuchiwane materace i skrzynki pełne arbuзów. Słysząc już było krzyki dzieci, to go uspokoiło, przepuścił po drodze całą rodzinę, po czym spostrzegł na brzegu jeziora restaurację i czym prędzej skierował swego trabanta na rozległy parking. Właśnie minęła dziewiąta.

Ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, przysiadł się do starszego pana, zamówił butelkę piwa Soproni, a słysząc w tle męskie okrzyki radości i oklaski, wstał i podszedł do telewizora. Węgry prowadziły w stosunku do Salwadoru dwa do zera. Kiedy kelner przyniósł piwo, Böhme wypił je potężnymi łykami. Dopiero teraz przypomniał sobie, że przez całe popołudnie nic nie jadł. Mężczyźni szaleli z radości, Böhme podszedł więc znów do telewizora, zobaczył trzecią bramkę Węgrów z powtórki, wrócił do stolika i zamówił jeszcze jedno piwo. „Piłka nożna”, wyjaśnił starszemu panu, na co tamten kiwnął głową.

Pałacowy dziedziniec wysypiany żwirem i własne strzały, wszystko to Böhme zdołał wreszcie po czwartej bramce Węgrów i trzecim piwie zepchnąć z powodzeniem tam, gdzie ląduje to, co nam się zbyt uporczywie naprzykrza. Tylko czerwonawy ślad na plażowych klapkach świadczył o samotnym wypadzie ich właściciela.

Wyobraźmy sobie, że sąsiadem Böhme przy stole był Rosjanin, krótko ostrzyżony, z wydatnym brzuszkiem, z zawodu urzędnik, żonaty, bezdzietny, który nazywał się Andriej Simanowski. Trzydzieści siedem lat wcześniej był strażnikiem w obozie jenieckim, znajdującym się w niewielkim mieście o nazwie

Azbest. Kiedy za rządów Chruszczowa ostatni jeńcy wojenni, wśród nich był mój dziadek, zostali w 1955 odesłani do domu, Simanowskiego przeniesiono do pracy na kolei, co mu zresztą bardzo odpowiadało. Jeździł często po kraju, nigdy dłużej niż kilka miesięcy nie mieszkał w jednym miejscu i podczas swoich podróży często wracał pamięcią do czasów, kiedy był strażnikiem, z tym, że nie dotyczyło to więźniów, których twarze właściwie nie pamiętał, ale raczej atmosfery wśród władz obozowych, nieustannych pijatyk, coraz to nowych zarządzeń, jakie trzeba było wypełniać, i strachu, czy się je wykonało jak należy. Kiedy przestał już na taką szansę liczyć, podczas jednej z podróży służbowych, w Ługańsku, poznał swoją przyszłą żonę Julię, z którą spędzał właśnie wakacje nad Balatonem. Co roku któraś grupa sowieckich pracowników kolei wraz z żonami mogła spędzić wakacje na Węgrzech. Ostatnio przyszła kolej na Simanowskich, dziesięć dni na Rivierze, cóż za szczęście. Simanowski był dobrym mężem, pił, ale nie za dużo, był sumiennym, wiernym, spokojnym człowiekiem, który nigdy nie czuł się dobrze w dużym towarzystwie i nawet w tej chwili był szczęśliwy, że mógł parę godzin posiedzieć sobie na uboczu. Już w dzieciństwie lubił być sam, ale teraz, siedząc obok tego Niemca w kąpielówkach, żłowiącego piwo, jakby to była woda, ku własnemu zdziwieniu zatęsknił za swoją żoną.

BÖHME: W roku 1982 ma pięćdziesiąt osiem lat. Żonaty, ojciec dwojga dzieci, wysoki, chudy. Pracuje jako nauczyciel w szkole w Lipsku, uczy geografii i chemii.

SIMANOWSKI: O pięć lat starszy od Böhme, również żonaty, ma syna z krótkiego, przygodnego związku, ale się z nim nie spotyka, ma psa. Lubi muzykę klasyczną, ponad wszystko wielbi drugi takt trio fortepianowego a-moll op. 50 Czajkowskiego, plus może jeszcze finał *Patetycznej*.

CZAS: Czerwiec 1982. Argentyna przegrywa wojnę o Falklandy, szczyt NATO w Bonn, trzysta pięćdziesiąt tysięcy osób demonstruje przeciwko planom Ronalda Reagana dotyczących zbrojeń atomowych. Paul McCartney i Stevie Wonder dystansują *Ein bisschen Frieden* Nicole na niemieckiej liście przebojów, a *E.T.* Spielberga bije wszelkie rekordy kinowych kas.

MIEJSCE: Restauracja „Pod pysznym sandaczem”, Balatonvilágos.

Sytuacja jest oczywiście nieprawdopodobna. Jakim cudem ci całkiem sobie obcy panowie mieliby się spotkać? Kiedy jednak uświadomimy sobie, jak wielu Niemców i Rosjan w tym wieku miało podobne biografie, wykonując zawody żołnierzy, szpiegów czy strażników, tak charakterystyczne dla obu ustrojów totalitarnych nękających Europę w minionym stuleciu – to dojdziemy do wniosku, że obaj ci panowie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, byli w tych swoich koszulkach z krótkimi rękawkami zwykłymi przeciętnymi ludźmi o zwykłych przeciętnych historiach: obaj znaleźli się właśnie w ostatniej jednej trzeciej swojego przeciętnego żywota i obu od czasu do czasu nawiedzały wspomnienia ich przeciętnej przeszłości, przejawiając się w formie lekkiej melancholii czy w atakach złego humoru – nastroje te zresztą równie nieoczekiwanie mijały, jak się pojawiały. Böhme i Simanowski byli ludźmi takimi jak my.

BÖHME: Pan jest Rosjaninem, prawda?

SIMANOWSKI: Tak.

BÖHME: Uczyłem się języka rosyjskiego na uniwersytecie. Ale to było trzydzieści lat temu.

SIMANOWSKI: Mówi pan zupełnie dobrze.

BÖHME: Oj, skądże. Nie lubi pan piłki nożnej?

SIMANOWSKI: Nie, nigdy mnie nie interesowała. A pana?

BÖHME: Trochę tak, czasem. (Chwila milczenia).

SIMANOWSKI: Co pan studiował?

BÖHME: Po wojnie studiowałem w Lipsku chemię. Wtedy wiedzieliśmy w NRD, że młody kraj potrzebuje nauczycieli, więc się zgłosiłem, potem wyrósł mur, jak panu wiadomo. Teraz uczę chemii i geografii. Lubię ten zawód, uczę z przyjemnością. Przeważnie w każdym razie. Panu też się to pewnie zdarza. Czy ma pan dzieci?

SIMANOWSKI: Nie. A właściwie tak. To długa historia.

BÖHME: A jest pan...

SIMANOWSKI: ...jestem żonaty. Moja żona poszła grać w kręgle. Mnie rozboleła głowa i dlatego się z nią nie wybrałem. A jaka jest pana sytuacja?

BÖHME: Mamy namiot niedaleko. Ja z żoną i dwojgiem dzieci. A dziś wyruszyłem sam na wycieczkę, bo...

W tle rozległy się okrzyki radości, Böhme spojrzał w kierunku telewizora, ale nic nie mógł dojrzeć, bo palący papierosy mężczyźni w kąpielówkach zasłaniali widok. – Kto teraz gra? – zapytał Simanowski. – Węgry – odparł Böhme, wstał z piwem w ręku, zrobił parę kroków, wyciągnął szyję i zobaczył powtórkę bramki, jest pięć do jednego, pozostały jeszcze sześćdziesiąt cztery minuty. Z wielką ochotą popatrzyłby na koniec gry, ale teraz już nie wypadało.

SIMANOWSKI: Dokąd się pan wybrał?

BÖHME: Słucham?

SIMANOWSKI: Mówił pan o jakiejś wycieczce.

BÖHME: Ach, tak, wie pan, kiedyś... tu w pobliżu stacjonował mój pułk. To było dawno temu. I dużo się przez ten czas wydarzyło.

SIMANOWSKI: Jasne.

BÖHME: Ale teraz nie można się skarżyć, bo dobrze nam się tu powodzi, przyzna pan? Węgry i lato, jednym słowem. Przydałoby się jeszcze jedno piwo. Co pan na to?

Simanowski kiwa głową.

BÖHME: Trochę sobie pojeździłem po okolicy, rozejrzałem się po bagnistym krajobrazie, po wioskach, dużo tu dobrych ludzi, rozumie mnie pan?

SIMANOWSKI: Rozumiem każde słowo.

Siedem do jednego dla Węgier.

BÖHME: Na zdrowie.

SIMANOWSKI: Na zdrowie.

BÖHME: Czy pan też studiował?

SIMANOWSKI: Nie. Chciałem, ale się nie udało. Byłem w armii, wie pan, jak to wtedy jest. Nie zawsze człowiek może sam wybierać. Teraz pracuję na kolei.

Osiem do jednego. Mężczyźni szaleją z radości, piana po piwie zasycha im na brodach, jest dość duszno, słońce już dawno zaszło. Gra będzie trwała jeszcze dwadzieścia minut. Böhme i Simanowski siedzą nad swoimi szklankami, wpatrując się w stół i nie wiedząc, o czym jeszcze mogliby porozmawiać, są zmęczeni, lekko podpici, ale nie w ten przyjemny, uskrzydlający sposób, tylko w całkiem inny, melancholijny, paraliżujący. Wpatrując się w swoją szklankę piwa, Böhme nie ma jeszcze ochoty wracać do namiotu. Simanowski, przypomniawszy sobie współtowarzyszy podróży, zastanawia się, czy nie pora już się powoli zbierać. Przypomina sobie pozostawionego w domu psa. Najchętniej znalazłby się teraz przy nim. Krzyki radości, dziewięć do jednego – Böhme przestał już reagować, czuje, że stracił władzę w rękach i nogach, węgierski komentator szaleje – mecz kończy się za dziesięć minut. Kiedy Simanowski daje wreszcie znak kelnerce, Böhme czuje ulgę i ogarnia go ochota, by temu obcemu Rosjaninowi powiedzieć coś miłego, a że nie przychodzi mu nic do głowy i wstyd mu za własne milczenie, postanawia sam zapłacić rachunek. – Nie, nie – protestuje Simanowski, twierdzi, że nie może się na to zgodzić – ale Böhme nie ustępuje, chociaż po chwili wydaje mu się to przesadą, ale nie może się już wycofać.

BÖHME: To była dobra rozmowa.

SIMANOWSKI: Też tak sędzę.

Podają sobie ręce, ściskając je trochę dłużej, niż zwykle, gwizdek sędziego kończy mecz, przynosząc wybawienie Salwadorowi, obu nowym znajomym również.

Tuż przed godziną pierwszą przekroczyłem próg restauracji Mott w Buenos Aires, dawniej warsztatu samochodowego, teraz rozległego, wypełnionego światłem lokalu ze stołami z ciemnego drewna. Mirta wstała, machając ku mnie ręką – znałem ją dzięki zdjęciom ze strony internetowej, jej kolorowe okulary, śmiech, przeczytałem wszystkie wpisy w Googlu na jej temat, obejrzałem wszystkie jej instalacje. Przed osobistym spotkaniem zaprzyjaźniliśmy się za pośrednictwem Facebooka. Teraz zmierzałem ku niej, krocząc przez ten rozległy lokal i zastanawiając się, jak mam się z nią przywitać – a ona szła już ku mnie z wyciągniętymi ramionami, jak to zwykli czynić ludzie, którzy się długo nie widzieli. Wkrótce potem dołączyła do nas jej siostra Marga, która miała bardziej powściągliwy sposób bycia niż Mirta, mówiła ciszej, starannie dobierając słowa – tak że siedzieliśmy już we troje przy owym stole w Ameryce Południowej i rozpoczęliśmy rozmowę raz jeszcze, od początku, jakby tamtych e-maili i rozmów telefonicznych nigdy nie było. Wydarzenia pewnego popołudnia, które miały miejsce na węgierskiej wsi przed blisko siedemdziesięciu laty, doprowadziły do naszego spotkania.

– Ja tutaj zawsze jadam łososia, ale dzisiaj zamówię tuńczyka – oświadczyła Mirta. – Dla ciebie może jakieś mięso?

Kiwnąłem głową.

– Ma być krwiste?

– Tak.

Pokazałem im zdjęcia moich dzieci w kąpielówkach i rękawkach do pływania nad brzegiem jakiegoś szwajcarskiego jeziora, z buziami umazanymi keczupem – na co one również wyciągnęły swoje telefony, by mi pokazać swoje rodzinne zdjęcia.

– Cała rodzina jest z Węgrami i historią bardzo związana – oświadczyły, podczas kiedy ja oglądałem obce twarze o oczach czerwonych od światła lampy błyskowej. – Przez wszystkie te lata jak tylko ktoś z nas leciał do Europy, to starał się szukać jakichś nowych informacji.

– Ale dlaczego? – zapytałem. – Czy to się nigdy nie skończy? Czy to nie jest dziwne, że nawet wasze dzieci muszą zmagać się z przeszłością?

– Przecież ty robisz to samo.

– Masz rację. Tylko że ja wciąż zadaję sobie pytanie, czy postępuję słusznie i czy nie powinno się dać im święty spokój.

– Co takiego!?! – zakrzyknęły obie bez cienia drwiny, bo one same nieraz zadawały sobie podobne pytania, w ich tonie było to słyhać, wyczuwało się posmak rutyny. – My wzrastałyśmy ze świadomością – mówiła Mirta – że ta bolesna przeszłość ma decydujący wpływ na nasze dzisiejsze życie. To jest nasze dziedzictwo. Ono dla nas zawsze istniało, w każdej godzinie naszej młodości, każdego dnia naszego życia.

Kiwałem na to wszystko głową, przypominając sobie równocześnie owe jeziora, które pokazywałem na zdjęciach, i żwir nad brzegiem, przez który trzeba się było przebić, by dotrzeć do wody. Często chodziłem się kąpać z moimi dziećmi – rozkładałem wtedy barwne prześcieradła kąpielowe w cieniu drzew. Czasem na łące leżała warstwa kwiatowego pyłu. Po wyjściu z wody kupowałem im pieczone kiełbaski albo lody, powtarzając dokładnie to, co robili rodzice dla moich braci i dla mnie, kiedy byliśmy mali. Czy to wystarczało, aby odegrać rolę korzeni? Czy ja mogłem to samo przekazywać moim dzieciom, czy też byłoby to zbyt banalne? To poczucie zadowolenia, kiedy po zmęczeniu kąpielą wraca się do domu, ze słońcem we włosach i zapachem wilgotnych kąpielówek w plastikowej torbie. Mirta i Marga miały holokaust, którego mogły się ucześcić – a co miałem ja?

Stuknęliśmy się kieliszkami. Zacząłem im opowiadać o sobie, o Rechnitz i o tym, jaką drogą trafiłem na dziennik mojej babki. One opowiedziały mi o swoim ojcu Aronie, który przed poznaniem Agnes był już raz żonaty i który stracił w Auschwitz żonę oraz maleńkiego synka.

– W przeciwieństwie do naszej matki Agi, która Węgier nigdy naprawdę nie opuściła, Aron nie chciał już nigdy słyszeć o Polsce, odkąd oboje w 1948 roku przybili statkiem do Argentyny.

Obie siostry opowiadały, że dzieciństwo spędziły w biedzie, w domu nie mieli nawet wanny, ale o czystość i porządek dbano „po europejsku”, jak mówiły. Tylko dwa przedmioty pozostały im z przeszłości: to zdjęcie, które Agnes w cudowny sposób przyszyła w Auschwitz do pudełka po margarynie, a następnie przemyciła, mijając tamtejszych strażników.

– Dziś wisi ono u mnie w domu w ramkach za szkłem – powiedziała Mirta.

Drugi pamiątkowy przedmiot to był pasek, który w dniu wyzwolenia Auschwitz Aron zabrał niemieckiemu żołnierzowi. Odkąd wojna się skończyła,

a on uniknął komory gazowej, spodnie już nigdy nie będą mu zjeżdżać do kolan. Pasek miał być symbolem jego godności.

– Mirta ma zdjęcie, a ja pasek. Wisi u mnie na ścianie – oświadczyła Marga.

– Jego pasek?

– Tak.

– No, to przecież jasne – powiedziałem całkiem cicho, jakby nie było nic bardziej normalnego, jak pasek strażnika z Auschwitz zawieszony na ścianie.

– Dziesięć lat temu poleciałyśmy z Agi na Węgry, żeby szukać grobu naszych dziadków – powiedziała Mirta. Bo dotarły do nich nowe wiadomości, że wszyscy Żydzi z okolic Sárosd musieli wiosną 1944 roku opuścić swoje domy i że wśród nich byli ich dziadkowie. Zapędzono ich jak bydło do stajen w jednej z sąsiednich wsi.

– Stamtąd Niemcy musieli ich posyłać na teren majątku należącego do rodziny mojej babki, co jest też opisane w dzienniku – wpadłem im w słowo, przewracając jego strony, by odszukać właściwy fragment. – Zaczekaj, już to znalazłem: „Od tego dnia – czytałem głośno – co dzień rano stawiało się u nas na podwórzu około dwudziestu Żydów. Każdy miał żółtą gwiazdę na rękawie. Bracia Goldnerowie pomagali przy koniach, Medakowie i Mandlowie w ogrodzie, reszta pracowała w polu”. – Czyścili stajnie – mówiłem – plewili chwasty w ogrodzie, doprowadzali do porządku stawy, gdzie hodowane były karpie.

– Byli waszymi niewolnikami – stwierdziła Mirta.

– Naszymi?

– No, twojej rodziny.

Czytałem dalej: – „Niektórych spośród nich znaliśmy i witaliśmy się z nimi, a oni witali się z nami. Ale ci, którzy nas nie znali, ze strachu nie mieli odwagi patrzeć nam w oczy – ale co myśmy im złego zrobili?”.

Podczas podróży na Węgry panie trafiły w jednym z archiwów na nazwisko dziadków i przyczynę śmierci: Mandlowie, samobójstwo.

– Było to zapisane czarno na białym, tak że po raz pierwszy miałyśmy w ręku oficjalny dokument mówiący, że nasi dziadkowie w ogóle istnieli i w jaki sposób zmarli – powiedziała Marga, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. – Rozumiesz teraz, jak ważny był dla nas ten oficjalny dokument. Po raz pierwszy oni przestali być nieuchwytnymi duchami, po raz pierwszy stali się kimś realnym.

Kiwnąłem na to głową, ale właściwie kłamałem. Bo naprawdę nie potrafiłem tego zrozumieć.

W tamtym dniu wszystkie trzy były ogromnie zbulwersowane. Przy wejściu na cmentarz, za krzakami, wśród gęstych zarośli Agnes odkryła samotny, zapomniany przez ludzi kamień bez żadnego napisu – i wszystkie zgodnie ustaliły, że to jest ten grób – opowiadały. Przez ten czas pojawił się na stole stek i zabrałem się do krajania mięsa, ciąłem warstwę tłuszczu, sam miąższ, krew zbierała się na brzegu talerza, spływając na sałatkę ziemniaczaną.

– Nagle poczułyśmy wyraźnie, że jesteśmy tuż przy nich.

– A więc samobójstwo?

– Tak.

– W takim razie, dlaczego w tym dzienniku wygląda to zupełnie inaczej? – zapytałem, wskazując teczkę na swoich kolanach, okrytych serwetą.

– My zadajemy sobie takie samo pytanie.

Jedliśmy dalej w milczeniu.

– W takim razie, kto popełnił ten czyn, twoja rodzina? – zapytały. – Kto go zatuszował?

– Strzelał niemiecki żołnierz Wehrmachtu, chudy młody człowiek, nic więcej o nim tam nie ma. Ale zatuszował ów czyn jej ojciec, jak pisze moja babka. Przyszło mu to z łatwością. Był wtedy potężny, miał wpływy, to on waszą wersję wymyślił, tak, dziś można to stwierdzić. Wystarczył wtedy jeden telefon i urzędnik wpisał do swoich ksiąg wersję, którą znalazłyście w archiwum. Tak mniej więcej mogło to wyglądać, to jest na pewno bardzo prawdopodobne. Czy wtedy były już telefony?

Umówiliśmy się na wieczór. Mirta poprosiła, żebym przyniósł ze sobą dziennik mojej babki i odczytał jego fragmenty – może mógłbym wykonać ich fotokopie? Przez całe popołudnie biegałem po deszczu. Lało tu już od wielu dni, w Paragwaju była powódź, widziałem to w kronikach telewizyjnych. Jakiś autobus przewrócił się i napełnił od razu brązową wodą. Chciałem przysiąc sobie w kawiarni, ale nie mogłem się zdecydować na żadną. W jednej było za głośno, w innej za drogo, w jeszcze innej za pełno, więc biegałem dalej po ulicach, a patrząc na własne odbicie w sklepowych oknach, na włosy w strąkach, białe miejsca na mokrej głowie, obserwując śmieszne buty o kolorowych podeszwach, takich jakie noszą nastolatki – miałem ochotę krzyknąć. No to krzycz, dlaczego tego nie robisz? Znałem to pytanie od wczesnej młodości. Dlaczego nie spotykamy nigdy na ulicy ludzi, którzy nagle przystają i zaczynają krzyknąć? Albo załamują się i nie wiedzą, co dalej począć. Skąd wszyscy czerpią siły, żeby panować nad sobą? Kiedy urodziła się moja najstarsza córka i po raz pierwszy musiałem znieść atak jej dzikich krzyków i wrzasków, co dzieciom często się zdarza, byłem, jak wszyscy świeżo upieczeni rodzice, zaniepokojony,

z czasem również zirytowany, ale przede wszystkim zdumiony. Czyż ona nie robiła tego, na co ja często miałem ochotę, tylko że moje krzyki były cichsze?

Wieczorem siedziałem przy stole z Mirtą i Margą oraz ich mężami. Rozmawialiśmy na wszystkie możliwe tematy, o Węgrzech i Szwajcarii, o ulewie. Kiedy skończyło się ucztowanie, wyciągnąłem moje notatki i zacząłem czytać, najpierw po niemiecku, potem po angielsku, przy czym musiałem, tłumacząc, szukać w pamięci najtrafniejszych odpowiedników dla „drzewa kasztanowego” czy „żwiru”, czy „wiśni”.

Nie przygotowałem sobie tego wcześniej, a dopiero później zrozumiałem, jak ważne jest tu każde słowo, bo podsumowywało ślad, którego one będą się potem trzymać. Wszystko, co im przekazywałem, należało już potem do nich, ale to ja decydowałem o ich przeszłości. Dobierając odpowiednie słowa, pisałem teraz ich historię. Jak wielką miałem nad tą historią władzę. Co w tej sytuacji czułem?

Ktoś postawił przede mną na stole szklanekę whisky. Obserwując pływające po jej powierzchni kostki lodu, tłumaczyłem opis sklepu państwa Mandlów, półki pełne towaru, wagę, na której pan Mandl ważył cukier, mąkę, jesienią jabłka, zawsze życzliwie trochę nadkładając.

– Jak to miło słyszeć, że był wielkoduszny – cieszyła się Marga, a jej zamglone łzami oczy promieniały.

Czytałem o pociągu, którego dach lśnił w słońcu, a moja babka obserwując go z pola w niedzielne popołudnie, usłyszała szeptem wypowiedziany komentarz: „tam w środku wiozą Żydów” i potem nie mogła oderwać oczu, aż pociąg ruszył w dalszą drogę.

Czytałem też opis wyprawy mojej babki na poszukiwanie Agnes w jakimś węgierskim więzieniu, przed deportacją Żydów do Auschwitz. Mało brakowało, a obie panie by się wtedy spotkały – jednak do tego nie doszło. Potem przytoczyłem rozmaite wersje popołudnia, podczas którego Mandlowie zginęli. Zacząłem od wersji najkrótszej, później nastąpiły druga i trzecia – czułem, jak wszyscy siedzący przy stole wiszą u moich ust, jak moje słowa w nich zapadają, działając na wyobraźnię. „Pan Mandl wziął żonę za rękę – czytałem – i ruszyli w poprzek dziedzińca. – Stójcie! – wołano za nimi, ale pan Mandl ani myślał posłuchać, szedł dalej w stronę stawu, zmierzając w kierunku mostu, może chcąc wylądować we własnym sklepie, kiedy żołnierz wymierzył ze swego karabinu”. Mirta i Marga przyciskały chusteczki do oczu. „Dzielny człowiek – szeptały, szlochając. – Nie chciał słuchać niczyich rozkazów, podobnie jak my”. Wychyliwszy potężny łyk whisky, poczułem najpierw przyjemny ból w gardle, potem ciepło w klatce piersiowej i w żołądku. Po długim milczeniu padło pytanie, dlaczego tu przyjechałem?

– Dlaczego?

Byłem lekko zaskoczony. Podobnie jak parę lat wcześniej, kiedy pisarz Maxim Biller wobec licznego zgromadzenia zapytał mnie, czy poczuwam się do jakiejś współodpowiedzialności z moją ciotką Margit. Z Margit, która po części odpowiadała za masakrę dokonaną na stu osiemdziesięciu Żydach w Rechnitz? „Nie, do niczego się nie poczuwam”, odpowiedziałem, ale wtedy po zakłopotaniu, jakie czułem, zorientowałem się, że nie całkiem tak było, podobnie jak teraz – z zażenowaniem spostrzegłem bezradność brzmiącą w mojej obecnej odpowiedzi:

– Jestem przecież tylko kurierem.

A więc przekazicielem, co również niezupełnie było zgodne z prawdą. Bo kiedy one mnie powtórnie zapytały, czy mógłbym im pozostawić strony dziennika, na których opisane jest to, co stało się z członkami ich rodziny, wprawdzie zgodziłem się, mówiąc: – Ależ oczywiście – jednak nie robiłem tego chętnie, bo relacja zawarta w dzienniku dotyczyła również mnie.

– Małżeństwo Mandlów zginęło na waszym dziedzińcu – odezwał się mąż Mirty. – Czy dobrze zrozumiałem, że twoja babka mogła im pomóc, ale tego nie zrobiła?

– Tak – przyznałem.

Nasz dziedziniec? Mój dziedziniec? Czyżbym był jednak kimś ważniejszym niż kurierem?

– Przez całe życie cierpiała z tego powodu – dorzuciłem pośpiesznie, i zdanie to zabrzmiało jak usprawiedliwienie.

– Czy ona szukała Agi gdzieś w więzieniu?

– Pojechała do miasta o nazwie Kistarcsa i tam pytała jakiegoś żołnierza, czy mogłaby porozmawiać z Agnes Mandl. Szczerze mówiąc, od początku miałem wątpliwości, czy ona rzeczywiście tam się wybrała, czy tylko miała taki zamiar. Bo wyjeżdżając z Sárosd, musiałyby zostawić synka pod opieką rodziców, w dodatku sama spodziewała się wtedy drugiego dziecka, w kraju było pełno Niemców i sytuacja wyglądała groźnie.

– Ona tam dotarła – przerwała Marga chwilę ciszy, masując ramiona na rozgrzewkę. – Parę lat temu siedziałam z naszą mamą w salonie, co zwykle robiłyśmy raz w tygodniu, i ona ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać o swoim pobycie w obozie przejściowym. I o tym, że któregoś dnia ktoś jej tam szukał i chciał się z nią zobaczyć. „Kto to był?”, zapytałam, ale ona nie wiedziała. Wtedy tak się wszystkiego bała, była przecież bardzo młoda, zupełnie sama, bez

rodziców, bez brata. No, więc teraz wiemy, kim ten ktoś był. To twoja babka, jakże dzielna kobieta.

Patrzyliśmy jedni na drugich, zaskoczeni, jakby nam się nagle udało rozwiązać trudną zagadkę.

– A co by się stało, gdyby to spotkanie doszło do skutku? – zwrócili się wszyscy do mnie. – Co twoja babka mogła naszej mamie powiedzieć? „Bardzo mi przykro, że twoi rodzice musieli umrzeć na moim dziedzińcu”?

– Naprawdę nie wiem – odpowiedziałem, ale musiałem przerwać moją wypowiedź, bo ktoś zadzwonił do drzwi i ten przenikliwy dźwięk wszystkich wystraszył. Mirta i jej mąż zmarszczyli brwi, zaskoczeni, bo nikogo się nie spodziewali, więc z niepokojem próbowali zgadnąć, kto to może być, o tej porze i akurat w tym dniu? Mirta wstała, otworzyła drzwi, także z łańcucha, po czym usłyszeliśmy, że wita dużą grupę gości. Po chwili stanęli przed nami ich najstarszy syn, jego przyjaciółka i jej rodzice. Syn oznajmił, że w przyszłym roku zamierzają się pobrać – na co wszyscy obecni zrobili zaskoczone miny, wstali – wciąż jeszcze myślami towarzysząc Agnes w obozie – i zaczęli się serdecznie ściskać. Mirta płakała z radości, obejmując syna, a tusz spłynął jej z oczu już pod wpływem wcześniejszych wzruszeń.

* * *

Piątek, 15 października 2013, 09:45

Rererererererererere: Szwajcarski dziennikarz

Kochany Sacho,

wyobrażasz sobie, ile najrozmaitszych myśli kłębiło mi się w głowie ostatniej nocy? Wizyta mojego syna z radosną wiadomością o jego zaręczynach przewróciła wszystko do góry nogami. Wszystko, o czym rozmawialiśmy, zanim on zadzwonił, będę musiała odłożyć na później. Nasza historia wzbogaci się o całkiem nowy nurt, to dla nas niezmiernie ważne wydarzenie. Ostatnio uświadomiłam sobie na przykład, że wszystkie dane dotyczące mojej przeszłości, zamieszczone w Googlu, okażą się nieprawdziwe. Dane, które sama kiedyś tam wprowadziłam, stały się nieaktualne. Może się to tobie wydawać mało ważne, i pewnie tak istotnie jest, ale zasięg tych koniecznych zmian jest bardzo szeroki.

Kiedyśmy się żegnali, wyznałeś, jak cię to zdziwiło, że się tym wszystkim tak głęboko przejmujesz. Widzę, że zaczynasz stopniowo pojmować, jak wielki wpływ mają na nas wydarzenia, które zaszły przed naszym urodzeniem. I jaki ten wpływ bywa istotny. Marga i ja przekonujemy się

o tym na każdym kroku. To jest właśnie owo dziedzictwo, o którym mówiliśmy. Nie bój się go.

Dziękuję, że tu przyjechałeś, żeby nam opowiedzieć tę historię, która dotyczy nas, ale w pewnym stopniu i ciebie – dlatego że zdecydowałeś się nam ją opowiedzieć. Zobaczymy się u mojej matki. Czy mamy po ciebie przyjechać?

Piątek, 15 października 2013, 11:53

Rererererererererere: Szwajcarski dziennikarz

Droga Mirto,

nie potrzebujecie po mnie przyjeżdżać, to jest przecież niedaleko hotelu – a przez ten czas może przestanie padać, miejmy nadzieję?

Pierwszym elementem związanym z ich matką, jaki zobaczyłem, był balkonik, który przed sobą popychała. Agnes pojawiła się w drzwiach swojej sypialni. W związku z moją wizytą umalowała się, ufryzowała i elegancko ubrała. Mirta i Marga stały obok niej, uszczęśliwione jej widokiem.

– To właśnie nasz gość z Europy – oznajmiły – to ten wnuk.

– Kto? – zapytała, trochę za głośno.

– Ten wnuk, przecież wiesz. – Ale Agnes nic nie wiedziała, widać to było po wyrazie jej twarzy.

Przywitaliśmy się wszyscy po kolei i zasiedliśmy wokół okrągłego stołu w salonie. Znalazłem się tu przejazdem, tak przygotowano Agnes na moją wizytę, bo w dzienniku własnej babki natknąłem się na informacje, której jej, Agnes, dotyczą. „I twoich rodziców – powiedziano jej – i czasów sprzed siedemdziesięciu lat”. A teraz mam im fragmenty tego dziennika odczytać.

– To świetnie – oznajmiła, patrząc na mnie. Po chwili wahania ciągnęła swoim cieniutkim głosikiem: – Czy jesteś wnukiem Maritty, czy Lilly?

Wyraźnie coś sobie przypomiwała.

– Maritty.

– Czy ona jeszcze żyje?

– Nie. Ale jej siostra Lilly żyje.

– Co?

Siedzieliśmy tuż obok siebie. Widziałem jej obozowy tatuaż rozpływający się stopniowo w fałdach pomarszczonej skóry, niektóre cyfry były już nieczytelne, 802...6. A może było to 8?

– Lilly jeszcze żyje – powtórzyłem.

– To dobrze.

Agnes mówiła po węgiersku, hiszpańsku, niemiecku, czasami przechodziła z jednego języka w drugi w ramach jednego zdania, na przykład kiedy opowiadała o mojej babce, która w jej wspomnieniu była wysoka, szczupła,

ciemnowłosa; w dzieciństwie widywały się codziennie, ale rzadko ze sobą rozmawiały.

– Wtedy nie można było tak po prostu ze wszystkimi rozmawiać – powiedziała, a ja przypomniałem sobie, że poprzedniego wieczoru ktoś opowiadał o niemieckiej niani Agnes, która się nią opiekowała i dzięki której wcześniej nauczyła się języka niemieckiego. W obozie uratowało jej to życie. I przeżyła właśnie dzięki Niemce.

Na stole były dwa rodzaje drożdżowego ciasta. Agnes opowiadała, jak przyjazne stosunki łączyły jej ojca z moją rodziną, to byli wyjątkowi ludzie, mówiła, dobrzy sąsiedzi – a nam wszystkim dech zaparło.

Dobrzy sąsiedzi?

Poprzedniego wieczoru ustaliliśmy z jej córkami, że całą prawdę zachowam dla siebie. Agnes była zbyt krucha, jej serce by tego nie wytrzymało. Włączyłem się więc do ich gry ze względu na nią. Dziwnie się czułem, solidarnie z nimi przemilczając prawdę, żeby jej nie smucić. Agnes widziała Auschwitz i tamtejsze piece, stała na rampie przed Mengele, to wystarczy na jedno ludzkie życie. Z jakiej racji, zbliżając się do dziewięćdziesiątki, miałyby jeszcze usłyszeć, że jej matce i ojcu ktoś strzelił w plecy?

– Twoja kochana rodzina opiekowała się w zimie naszymi kwiatkami – ciągnęła Agnes, a jej córki bardzo się zdziwiły, bo słyszały o tym po raz pierwszy. – Koło zamku znajdowała się mała cieplarnia – ciągnęła ich matka – i pozwolono nam wstawić tam nasze kwiaty, żeby nie zmarzły. Oni byli bardzo uczynni – mówiła Agnes, zwracając się do mnie. – Ale we wsi byli też inni, ci nazywali mnie śmierdzącą Żydówką. – Pierwsze słowa wypowiedziała po niemiecku, kolejne po hiszpańsku, a wszystko razem zabarwione jej charakterystycznym węgierskim akcentem; równocześnie wpychała sobie dużym palcem na widelec kawałek ciasta. Jej ojciec zmienił nawet nazwisko Mandl na Mero, żeby brzmiało bardziej po węgiersku. – Bo myślał, że to nas uchroni przed nazistami, że Niemcy nas nie rozpoznają, ale to się na nic nie zdało. – Coraz to słyszeli, że „śmierdzi Żydami” – ale nigdy z ust ludzi z pałacu, ci byli inni – zaznaczała, pochylając się znów nad swoim talerzem, podczas gdy ja wracałem myślami do rodziców mojej babki: Przyjmowaliście kwiaty Mandlów, żeby w zimie nie zmarzły. Użyczaście im świeżej ziemi i miejsca wśród róż i begonii. Jak to miło z waszej strony!

A jak postąpiliście z ludźmi?

Przecież was błagali: „Pomóżcie nam!”. Ich dzieci już wpakowano do pociągów, a wy udawaliście, że nie rozumiecie, o czym mowa. Dlaczego nie

pomogliście im? Trzeba ich było przecież ukryć! Cała tutejsza ziemia do was należała: lasy, zabudowania, jedno wasze słowo by wystarczyło, a ksiądz i chłop, i robotnik, każdy by pomógł. Dlaczego udawaliście głuchych? Czy ryzyko było zbyt duże? Czy byliście wtedy tylko sobą zajęci, zbliżając się klęską swojej klasy społecznej? I czuliście się bezsilni, wyczerpani, zbyt obojętni, jak zostało to opisane w dzienniku: „Matka była w sanatorium, wiecznie w złym humorze, wiecznie chora. Ojciec był zapalonym myśliwym”.

Nie tylko Mandlom można było pomóc, zastanawiałem się, podczas gdy Mirta kładła mi na talerz kolejny kawałek ciasta. Bo co się stało z tą całą resztą, z tymi, co dzień w dzień w pałacu dla was ciężko pracowali? Jak oni się nazywali? Medakowie? Goldnerowie? Co się z nimi mogło stać? Czy wszystkich zagazowano?

Czy nigdy nie zadawaliście sobie pytania, co się z nimi stało? Czy oni nie śnili się wam po nocach? Czy nie słyszeliście wtedy ich krzyków? A później, po wojnie, kiedy komuniści wam wszystko zabrali i musieliście mieszkać w chłopskiej chałupie, bez stangretów i pokojówek, bez społecznej pozycji i władzy – czy nie stawali oni czasem przed wami w tamtej ciasnej kuchni, czy nie kładli się wam na karku nieznośnym ciężarem?

Czy nie ciążyli podobnie mojej babce, mojemu ojcu, a dziś jeszcze i mnie?

O nie, to byłoby zbyt łatwe. A może jednak?

– Czy znałaś Gogę, pokojówkę, mamę? – z tym pytaniem zwróciła się do Agnes jedna z córek.

To było niesamowite, tutaj w tym salonie w Argentynie słyszeć imię Gogi, o której babka w dzienniku pisała: „Goga wyglądała tak jak słońce malowane przez dzieci” i bardzo mi się to porównanie podobało. Babka musiała ją bardzo kochać, może bardziej niż własną matkę.

– Kogo?

– Gogę.

– Nie – odpowiedziała Agnes, a ja zastanawiałem się, czy spośród tych innych, zmuszonych do pracy w pałacu, ktoś jeszcze przeżył: może wnuki Medaków albo dzieci Goldnerów, jakie były ich losy? Przez ułamek sekundy mignęło mi przed oczami parę takich równoległych życiorysów, może też gdzieś na tle Ameryki? Może pili oni słabą kawę w dużych filiżankach, jeździli do swoich klimatyzowanych biur i uroczyście obchodzili Święto Dziękczynienia. Ile dałoby się znaleźć na świecie ludzi, których losy potoczyłyby się inaczej, gdyby rodzice mojej babki im pomogli? W towarzystwie jednej takiej osoby siedziałem przed chwilą w jej salonie, ale co się stało z całą resztą? Z siecią ludzi rozpostartą nad światem? Czy gdyby się wszystkie te osoby odwiedziło, to

znalazłoby się między nimi coś wspólnego? Czy ja też do nich należałem? To podejrzenie mnie przeraziło. Może ja byłbym też innym człowiekiem, gdyby oni wtedy czemuś zapobiegli, miast zachowywać się biernie.

– Muszę wam powiedzieć – odezwała się wtedy Agnes – że nas okoliczni mieszkańcy znali, bo byliśmy Żydami, co mieli sklepik, ale ja nie znałam prawie nikogo. My prawie nigdy nie bawiliśmy się z dziećmi wiejskimi, a z mieszkańcami pałacu też bardzo rzadko.

– Arystokratom było po wojnie też bardzo ciężko – opowiadała Agnes. – Oni również musieli cierpieć, oczywiście nie tak, jak my, ale wszystko im zabrano. Ja tę rodzinę bardzo dobrze wspominam – a my znowu milczeliśmy, wpatrując się ze wstydem we własne talerze. Z tym większą ulgą obserwowaliśmy radość Agnes. Zgodnie z umową, kłamaliśmy w szlachetnym celu.

Sięgnąłem po dziennik. Rano w hotelu zaznaczyłem sobie fragmenty, które zamierzałem odczytać. Niczego nie zmyślałem, omijałem tylko wszystko, co mogłoby zmącić Agnes pozytywne wspomnienie.

„Sklep Mandlów miał w sobie szczególny czar – zacząłem. – Był nieduży i skąpo oświetlony, i właśnie w tym półmroku wszystko lśniło niezwykle tajemniczo”.

– Co takiego?

– „Wszystko lśniło niezwykle tajemniczo – powtórzyłem głośniejszym głosem. – W głębi, za ladą stoją na półkach torebki z cukrem, z sufitu zwisają figi, cebule, kielbasy, w kącie stoją worki pełne orzechów i jabłek”.

– O tak, te jabłka pamiętam.

– „Na żółtym stole obok kasy stały potężne szklane słoje pełne kolorowych cukierków i wiśni w słodkim syropie, a w powietrzu unosił się zapach różnych słodczy, ale od czasu do czasu zalatywało naftą, bo Mandlowie mieli jedyną w okolicy stację benzynową. Pan Mandl był miłym, grubawym mężczyzną o bardzo czerwonych policzkach...”.

– O, tak, rzeczywiście policzki miał bardzo czerwone.

– „I jak coś ważył, to zawsze jeszcze do tej wagi dokładał. A w niedzielę zawsze po kościele zaglądaliśmy do jego sklepu i dostawaliśmy po cukierku na drogę, a ten cukierek wystarczał aż do drzwi domu”.

– Tak, zgadza się – potwierdziła Agnes. – W niedzielę nasz sklep był zamknięty, ale dla hrabiowskiej rodziny ojciec robił wyjątek. Bo on zawsze starał się im dogodzić – zapewniała nas z promienną miną. Czy mimo wszystko nie popełnialiśmy tu błędu? Czytałem jednak dalej, także o pociągu

z Budapesztu, którego nadejście zapowiadała zawsze chmura sadzy, i o żurawiach przy wjeździe do wsi. Czytałem te niewinne fragmenty, wszystkie inne omijając.

Co różniło rodziców mojej babki od ciotki Margit? – zastanawiałem się w drodze powrotnej do hotelu, mijając piekarnie, hałaśliwe bary pełne mężczyzn wpatrzonych w automaty do gry i nie zważających na popiół, który spadał im z papierosów na spodnie. Ci pierwsi widzieli, jak zastrzelono Mandlów i uczynili wszystko, żeby tę zbrodnię zatuszować, Margit zaś tańczyła w Rechnitz tuż przed końcem wojny, nie przerywając zabawy, podczas gdy sto osiemdziesiąt osób wpadało kolejno do dołów, które same musiały dla siebie wykopać.

Było późne popołudnie i przestało padać, asfalt w niektórych miejscach zrobił się już całkiem suchy. Ze słuchawkami na uszach minąłem szybko hotel, żeby przebiec dwie równoległe ulice tam i z powrotem, jak podczas koszenia trawników: cztery bloki w lewo, jeden w górę i cztery z powrotem. Oni nie byli przecież żadnymi krwi potworami. Moi krewni nikogo nie torturowali, do nikogo nie strzelali, nad nikim się nie znęcali. Oni byli tylko świadkami i nie reagowali, bo przestali myśleć, zapominając o własnej ludzkiej egzystencji, chociaż ze wszystkiego zdawali sobie sprawę. Czy była to owa banalność zła wedle sformułowania Hanny Arendt? – zadawałem sobie pytanie, biegając tam i z powrotem, i nie zamierzając przestać. I wszyscy o wszystkich wiedzieli – mruczałem pod nosem, a mijający mnie przechodnie sądzili pewnie, że nucę słowa piosenki; tymczasem ja przypominałem sobie fragment książki *Mindent felfaltak a lángok*, napisanej przez dziennikarkę Lilly Kertész, Węgierkę z miasta Eger, wywiezioną w 1944 roku do Auschwitz. Opisała ona w swojej książce, jak sąsiedzi obserwowali z góry podwórze, z którego wywożono Żydów do obozu. – Wy tu już nie wróćcie! – krzyczeli z okien swoich mieszkań, skąd dobiegały dźwięki muzyki tanecznej i śmiech, a ona komentowała ze zdziwieniem: – Ja przecież znałam mieszkańców tego domu. Zawsze odnosili się do mnie przyjaźnie.

W ciągu zimowych miesięcy 1944 roku węgierscy policjanci nie nadążali z mordowaniem Żydów. W pociągach brakowało już miejsca, zaczęli więc wysyłać na marsze śmierci dziesiątki tysięcy Żydów i Romów, których pędzili węgierscy żandarmi, zmuszając do przemierzania po trzydzieści kilometrów

dziennie, wskutek czego co piąty więzień umierał. Wszystko to również oglądali ludzie z okien swoich mieszkań, stojąc za gęstymi kotarami. A co robili po odebraniu takiej parady? Zjadali pewnie zupę i szli wcześniej spać.

A co działo się z ludźmi, którzy obserwowali, jak budapeszteńscy Żydzi – kobiety, dzieci i starcy, skuci ze sobą kajdankami – wpadali w lodowate nurty Dunaju? Rozstrzeliwano tylko pierwszego, który pociągał całą resztę za sobą. Dlaczego przechodnie nie zaczynali krzyczeć? Albo dlaczego mieszkańcy tych pięknych mieszkań nie kładli się na podłodze, wierzgając nogami z beziły jak dzieci? Dlaczego wszyscy tak się starają panować nad sobą? Czy z poczucia przyzwoitości? Czy ze strachu przed utratą kontroli nad sytuacją?

Trzeba było zamówić taksówkę, myślałem, podczas kiedy śmigaliśmy pod ostatnimi wieżowcami śródmieścia, ale byłem zbyt wielkim tchórzem, by odmówić Mardze i jej mężowi, kiedy mi zaproponowali odwiezienie na lotnisko. Odkąd zasiedliśmy w samochodzie, Marga nie przestawała mówić o swojej matce i o wczorajszym popołudniu spędzonym przez nas w jej domu. – Ona by tej prawdy po prostu nie zniosła – oświadczyła, podnosząc lekko głos, żeby to brzmiało jak pytanie. Mąż położył jej dłoń na kolanie.

– Dajmy sobie z tym spokój, Marga, już jesteśmy to przecież ustalili.

– Ale przyjemnie było patrzeć, jak się tymi wspomnieniami cieszyła, prawda? – spytała, zwracając się do mnie i nie kryjąc łez spływających jej po policzkach.

Co miałem na to odpowiedzieć? Siedziałem na tylnym siedzeniu, wciśnięty w kąt, jakbym się czuł zraniony i uciekał w popłochu.

W rękę trzymałem cienką książeczkę, którą obie siostry ofiarowały mi ostatniego wieczoru. Parę lat temu Agnes spotkała w Shoah-Museum w Buenos Aires pewnego historyka, którego poprosiła o pomoc w spisaniu jej wspomnień z czasów wojny. Zamierzałem to przeczytać w samolocie.

– Sądzę, że dobrze się stało – usłyszałem własne słowa skierowane do Margi, a mówiąc to, wyglądałem przez okno, bo nie miałem ochoty patrzeć na jej łzy.

Potem staliśmy wszyscy troje w kolejce do odprawy bagażu, rozmawiając o ciasnocie w klasie ekonomicznej, o byle jakich filmach, o marnym jedzeniu i czułem się jak dziecko, które po raz pierwszy na długo rozstaje się z rodzicami, najchętniej uściskałbym ich oboje. Albo złożył głowę na ich kościstych ramionach, tylko może głupio by to wyglądało, bo w końcu przecież małośmy się znali. Potem wypiliśmy jeszcze razem kawę na pierwszym piętrze hali odlotów. Marga trzymała w rękę chusteczkę, prosząc raz jeszcze o kopię dziennika, co jej po raz kolejny obiecałem. Kiedy w końcu przechodziłem przez kontrolę paszportów, odwróciłem się ostatni raz, żeby im grzecznie pomachać na pożegnanie. Z jakiej racji chciałem pozostać w ich pamięci tak pełen pokory?

Czy dlatego, że oni są ofiarami?

A ja kim miałbym być? Może sprawcą?

* * *

Minęło siedem lat od chwili, kiedy przeczytałem artykuł w gazecie dotyczący Rechnitz, zobaczyłem zdjęcie ciotki Margit i zacząłem rozliczać się z własną rodziną. W jakim celu to robiłem?

– Czy przyniosło to jakiś pożytek? – zapytał mój ojciec.

– Nie, oczywiście nie przyniosło nikomu żadnego pożytku – odpowiedziałem z furją. W porównaniu z odkryciem antybiotyku, to wszystko nie przyniosło nikomu żadnego pożytku.

Co się więc stało? Zadałem sobie pytanie, tak jak zwykle je sobie zadawałem, przeważnie wtedy, kiedy byłem sam, na przykład w pociągach, w kawiarniach, kiedy wchodziłem po raz pierwszy do jakiegoś hotelowego pokoju, rozsuwałem przy oknie firankę i z nosem przy szybie pytałem: co się w końcu stało? Siedziałem w samolocie przy oknie, piłem sok pomidorowy, lampka do czytania świeciła z sufitu na składany stolik, na którym leżały dzienniki Agnes i mojej babki. Samotne światelko nad czarnym Atlantykiem, dziesięć tysięcy metrów nad poziomem morza, tak to wszystko wyglądało. Obok mnie siedziała para ze Szwajcarii. Mieli na sobie identyczne spodnie – model wodoodporny, z mnóstwem różnego rodzaju suwaków, i na dole i u góry, wszędzie można było coś rozsunąć czy zsunąć, zamknąć czy otworzyć, zwinąć czy odchylić, w zależności od tego, czy pada deszcz czy świeci słońce. Zapewne wspięli się na dwa czy trzy lodowce na Ziemi Ognistej, by potem parę dni spędzić na pustyni, snułem domysły, i na zakończenie wypoczywać przez tydzień w winnicy Mendozy. W szparach ich sportowych butów widać było resztki piasku, a ja nie mogłem oderwać od nich wzroku. Kątem oka obserwowałem krótki zarost pod dolną wargą młodego człowieka, minimalne, z niesłychaną precyzją przystrzyżone poletko, stanowiące dokładny odpowiednik zamka błyskawicznego u jego kurtki. Po każdym wypowiedzianym zdaniu wymieniali krótki pocałunek, za co najchętniej pourywałbym im obojgu głowy. Ale właściwie dlaczego? Skąd się brała ta moja dzika furia na widok ich harmonii? Co budziło we mnie tak głęboką pogardę dla ich spodni, będących symbolem wiary, że wszystkie problemy tego świata da się rozwiązać za pomocą zamków błyskawicznych i rzepów?

„Skąd się wzięła moja nienawiść do tej pary?” – zapisałem w swoim notatniku, nie umiejąc sobie z tą sytuacją dać rady. Co oni mi złego zrobili? Postanowiłem omówić ten problem ze Strassbergiem.

„Czy im zazdrościsz? – zapisałem jeszcze. – Ale konkretnie czego?”.

Przypomniała mi się wyprawa do Włoch, jaką przed laty odbyłem z grupą przyjaciół podczas wakacji. Mieliśmy wtedy wszyscy mało pieniędzy, spaliśmy pod gołym niebem, grillowaliśmy sobie mięso nad ogniskiem, nawaliła nam opona w samochodzie, przez tydzień obywaliśmy się bez prysznic – a kiedy wracaliśmy wreszcie do domu przez Przełęcz Świętego Gotharda, zostawiając góry za sobą, mijając po drodze przezroczyste zielone jeziora z białymi łabędziami i zasobne chłopskie gospodarstwa, przed którymi pały się wspaniałe, zdrowe krowy, jeden z naszej grupy oznajmił: „W Szwajcarii jest jednak najpiękniej”. Za to zdanie najchętniej bym go udusił. Wtedy poczułem się w moim dyskomforcie równie samotny, jak teraz w tym samolocie obok pary szczęśliwych Szwajcarów, którzy marzyli tylko o tym, by wreszcie znaleźć się z powrotem w domu.

Czyżbym zazdrościł ludziom posiadania miejsca na ziemi, gdzie wszystko jest w idealnym porządku i gdzie nie trzeba się dręczyć wątpliwościami? Czy w tym miejscu tkwiło sedno mojej sprawy?

Tak, być może. Patrzyłem, jak tamci dwoje zajadają swoje kanapki, krusząc dokoła i co chwila klikając zdjęcia z ostatniego urlopu: – To Tupungato – słyszałem głos męski. – Czy jesteś pewny? – pytała ona, całując go. – Oczywiście, przecież widać zbocze – zapewnił on, kończąc znów pocałunkiem.

Włożyłem na uszy słuchawki i włączyłem stację z muzyką klasyczną. Chopin, to byłoby w sam raz i zaspokajałoby moje potrzeby. Snop światła padający z góry na oba dzienniki pełnił w tej chwili rolę reflektora oświetlającego teatralną scenę. Zobaczyłem nieoczekiwanie przestrzeń wypełnioną ludźmi z rozmaitych epok: jedni mieli tenisówki na nogach i słuchawki na uszach, inni byli w mundurach wojskowych: Wehrmachtu, NKWD, węgierskiej żandarmerii, niezła mieszanka. Zobaczyłem też moją żonę i dzieci, sytuacja zaczynała być bez wyjścia, pojawiła się też prostytutka Linda i jej piesek, a także palący fajkę Strassberg o posępnym wejrzeniu, najwyraźniej sytuacja mu się nie podobała. Widziałem Böhmego i Simanowskiego, siedzieli w rządzie przed Agnes, rozmawiając jak najlepsi przyjaciele. Ktoś zakaszłał, ktoś inny chrząknął. „No, mówże wreszcie! – krzyknął pisarz Maxim Biller z wyraźną pogardą w głosie. – A co to ma z tobą wspólnego?”.

No właśnie, co?

Jedno stało się wreszcie dla mnie jasne, że wszystko to wiąże się z ludzkim brakiem otwartości, szczerości. Z faktem, że w każdej z tych sytuacji ludzie zawiedli, zabrakło w ich postępowaniu elementu ludzkiej prawości.

Z żądzą władzy cechującą moją ciotkę Margit nie mam w moim przekonaniu nic wspólnego. Tym bardziej jest mi obca jej sympatia do narodowego socjalizmu. Nie przyznaję się też do uczucia żałoby po feudalnych Węgrzech mojej babki ani do jej tęsknoty za ojczyzną i porządkiem. Przyznaję się jednak do jej słabości.

Czy owego popołudnia postąpiłbym inaczej niż moja babka? Czy zbuntowałbym się przeciwko swojemu ojcu, który nie chciał wtedy wkroczyć? Czy bym go powstrzymał, kiedy zacierał ślady popełnionego morderstwa? Czy kiedykolwiek przeciwko czemuś się buntowałem? Nie, bo właściwie po co miałbym to robić, w Szwajcarii wszystko jest w jak najlepszym porządku – tak bym na to odpowiedział.

Czy naprawdę tak jest?

Oczywiście byłem przeciwko wkroczeniu Amerykanów do Iraku. Jak również przeciwko polityce imigracyjnej konserwatystów. Także przeciwko mordowaniu delfinów w zatoce Taiji. I gdyby demonstracje nie rozpoczynały się przypadkiem właśnie wtedy, kiedy ja odbieram dzieci z Kity ¹², to też wychodziłbym częściej na ulicę. Na Facebooku i Twitterze coraz to wypowiadamy się za czymś albo przeciwko czemuś, dzielimy się krwawymi zdjęciami i mądrymi analizami, zamieszczamy videolinki dotyczące katastrof morskich, kiedy u brzegów Lampedusy toną zbiegowie, podpisujemy wirtualne protesty przeciwko okaleczaniu genitaliów w południowym Sudanie. Ale jak byśmy reagowali, gdyby wszystkie te wydarzenia zaczęły się przenosić z ekranów naszych komputerów na ulice? Gdyby sytuacja zmieniła nas z wirtualnych obserwatorów w czynnych uczestników wydarzeń dziejących się w naszej fizycznej obecności. Gdyby wokół nas zaczęło nagle śmierdzieć, gdybyśmy zaczęli fizycznie odczuwać ból i hałas bez osłony łagodzącego designu naszych laptopów: czy wtedy wojna nie stałaby się taka, jak przed siedemdziesięciu laty, a my wszyscy – nie wzięlibyśmy w niej udziału?

„To oczywiście wykluczone – zakrzyknęliby chłopcy w tenisówkach i z torbami z juty na ramieniu. – Przecież myśmy się z tamtych doświadczeń czego trzeba nauczyli. Nas to już nie może spotkać”.

Czyżby?

Czy nie stajemy się ni z tego, ni z owego posłuszni i świadomi swych obowiązków, kiedy chodzi o ratowanie własnej skóry? Czy nie robimy się wtedy podobni do Böhmeo i Simanowskiego, czy każdy nie znajdzie w sobie jakiegoś elementu duszy Margit?

Nie jesteśmy wprawdzie strażnikami i nie prowadzimy przesłuchań, nie każemy też nikogo rozstrzelać, ale jak się zachowujemy w sytuacjach, które

znacznie mniej są groźne niż wojny? Na przykład w biurze, kiedy nam zależy, żeby dobrze wypaść. Czy mamy dość odwagi, by stanąć po stronie prawdy, chociaż może to być w danej sytuacji niewygodne? Czy braliśmy w obronę ludzi, którzy stali się ofiarami mobbingu szefów, czy też staliśmy beczynnie obok, jak tamci przechodnie w Budapeszcie, kiedy topiono Żydów w Dunaju? Czy stanęlibyśmy w ich obronie, bo działa im się krzywda, czy milczelibyśmy jak moja babka? Czy bylibyśmy gotowi takie ryzyko podjąć? Czy w ogóle bywamy gotowi do podejmowania jakiegokolwiek ryzyka? Kto bywa do tego gotów? I w imię czego?

Siadamy na podiach, pisujemy blogi, zyskujemy uznanie, ściskamy liczne dłonie, bywamy hojni, odwiedzamy psychoanalityków, oburzamy się wirtualnie na niszczenie lasów namorzynowych, na deportowanie nigeryjskich uchodźców – co stu siedmiu osobom mogło zaimponować, powodując zaproszenia do „znajomych” na różnego rodzaju platformach internetowych, jak Xing, Pinterest czy LinkedIn, na których oglądamy profile naszych przyjaciół, podziwiając ich odczytanie, znajomość świata – dokąd to oni wszyscy nie jeżdżą: a to do Phnom Penh, do Detroit, na konferencję TED, festiwal Burning Man czy targi Art Basel; niełatwo będzie za nimi nadążyć.

Dlaczego zaś nikt nie próbował pisać na blogu o wspólnych słabościach, o lękach czy wątpliwościach, o tym że go muzulmańska mniejszość w Birmie za mało interesuje, że lasy namorzynowe nic go nie obchodzą i że nie miał odwagi powiedzieć szefowi, co o nim myśli.

Czy naprawdę jesteśmy tacy czyści, jak to staramy się wirtualnie pokazać? Jak bardzo niezłomni jesteśmy? Jak niezłomny jestem ja sam?

Otworzyłem mój notatnik, przeczytałem datę, którą zapisałem w hali odlotów na czystej kartce w lewym rogu. Obok umieściłem pytanie: „Czy zdobyłbyś się na ukrywanie Żydów?”. A pod spodem odpowiedź: „Nie”.

W tydzień później leżałem znowu na kozetce u Strassberga. Bardzo się cieszyłem na tę pierwszą wizytę po mojej podróży do Argentyny. Najbardziej by mi w ogóle odpowiadało, gdyby on poleciał ze mną do Buenos Aires. Każdego wieczoru spotykałibyśmy się w którejś z tych grillujących restauracji, popijając tutejszego mocnego malbeca, który pozostawiał zawsze ciemnoczerwony ślad w kącikach ust. Kiedy jednak już się u niego znalazłem, nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Wie pan co – odezwałem się po dłuższej chwili. – Wszystko przebiegło tam nad wyraz harmonijnie.

– To ciekawe.

– Jeszcze zanim się spotkaliśmy, czuło się ten rodzaj bliskości. Podczas rozmów telefonicznych i wymiany e-maili było podobnie. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem się z córkami Agnes w restauracji, one obie wyraziły zadowolenie z tego, żeśmy się mogli osobiście poznać, i stwierdziły, że one też odnoszą wrażenie, jakbyśmy się od dawna znali – ja czułem się zresztą podobnie. Ale mimo to...

– Coś było nie tak?

– To trudno powiedzieć.

Strassberg milczał.

– Kiedy spytały mnie, czy mógłbym wykonać dla nich fotokopie dziennika, zawahałem się. Właściwie nie chciałem tego zrobić. Jeszcze nie, jeszcze nie byłem na to gotowy. To wszystko jest na razie zbyt świeże, jeszcze niegotowe. To jest przecież moja historia. Nie wiem, jaki użytek one z tego zrobią.

– Na tym właśnie polega sedno całej sprawy.

– Jakie jest to sedno?

– Chodzi o władzę, jaką się ma nad historią. O to samo chodziło także w wypadku pana babki i jej ojca, który to morderstwo zatuszował. I o to też chodzi między panem i obiema córkami Agnes. Kto ma o tym zdecydować, co z tego zostanie ujawnione.

– Hmm... – zastanawiałem się.

– Umyślnie o tym nie wspominałem przed pana odlotem, bo nie chciałem na pana w jakikolwiek sposób wpływać – ciągnął Strassberg. – Ale pana sytuacja wobec córek Agnes jest dość niekorzystna: bo pan może tu tylko przegrać. Jeśli pan nie spełni w całości tego, czego one się będą po panu spodziewać, to znajdzie się pan po stronie sprawców. I nie zdziwiłbym się, gdyby ta harmonia, o której pan mówi, całkiem się rozwiązała.

* * *

W kwietniu spotkałem znowu Lindę, ową prostytutkę, którą poznałem w pociągu, miała wtedy ze sobą psa. Zobaczyłem ją przypadkiem w jakiejś bocznej ulicy niedaleko dworca. W pierwszej chwili nie byłem pewny, czy to ona, i zrobiłem parę kroków w jej kierunku. Była w towarzystwie drugiej kobiety, szły blisko siebie, jedna obok drugiej, stykając się niemal ramionami, miały na sobie długie, czarne, puchowe kurtki do kolan, chociaż było przyjemnie ciepło. Znalazłem się tuż za nimi, usłyszałem, że rozmawiają ze sobą w języku węgierskim, który brzmiał w ich wersji zupełnie inaczej niż w wersji mojego ojca. Ich węgierski miał ciemniejszy ton, był bardziej chropawy, przez chwilę wahałem się, czy się do nich odezwać, bo właściwie nie bardzo wiedziałem, po co mi to. – Linda! – zawołałem jednak, na co ona odwróciła się i spojrzała na mnie zaskoczona. Była prawie zupełnie nieumalowana i niższa, niż ją zapamiętałem, na jej dolnej wardze zauważyłem pęknięty pęcherzyk opryszczki. – Czy pamiętasz, kim jestem? – Potrząsnęła głową przecząco. – Pod koniec zeszłego roku spotkaliśmy się w pociągu do Budapesztu. Siedzieliśmy obok siebie, a ty miałś psa. – Teraz skinęła głową, a jej znajoma spojrzała na nią pytająco. Obie paliły te cienkie, długie papierosy z białym filtrem, które z daleka przypominają słomki i które, jak to zauważyłem, lubią kobiety ze Wschodu.

– Ale miałem szczęście – powiedziałem, bo słowo przypadek, nie przyszło mi do głowy. Czy nie narzucam się im niepotrzebnie? Ogarnęły mnie wątpliwości. – Może wypilibyśmy razem kawę? – zaproponowałem, nie namyślając się długo.

Obie potrząsnęły głowami.

– Ale po co? – zapytały.

– Tak sobie – odpowiedziałem.

Linda, podobnie jak wtedy w pociągu nocnym do Budapesztu, nie była nieuprzejma. Była tylko ostrożna.

– Chciałbym z wami po prostu porozmawiać.

– Ale o czym?

– O waszym życiu i o Węgrzech.

Roześmiały się, wymieniając szybko spojrzenia, po czym nie gasząc papierosów, rzuciły je pod koła przejeżdżającego samochodu. Ich życie jest nieciekawe, a Węgry to kraj do dupy – oświadczyła Linda. I znów wymieniły spojrzenia.

– Moglibyśmy też coś przekąsić – zaproponowałem.

– Dlaczego nie? – odparła Linda, nie patrząc mi w oczy.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, kierując się do baru z tureckimi przekąskami. Pachniało tam cebulą i mydłem; usiedliśmy w głębi w rogu, pod lustrzaną ścianą, w której obie kobiety nieustannie się przeglądały, odruchowo poprawiając włosy. Komórki położyły na stole obok siebie, jakby to były rewolwery.

– Dlaczego Węgry to kraj do dupy? – zapytałem po chwili.

Marika, koleżanka Lindy, prawie się nie odzywała. Była od niej młodsza, mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat, jej czarne, sięgające ramion włosy osłaniały wyraźne znamię na szyi. Marika śmiała się, kiedy Linda się śmiała, i odpowiadała często słowo w słowo tak, jak Linda.

– Bo na Węgrzech nie ma pracy. Bo żyje się tam byle jak – odparła Linda.

– Rozumiem.

– Co ty tam rozumiesz?

Zamilkliśmy wszyscy.

– A ty gdzie pracujesz? – zapytały mnie obie.

– Jestem dziennikarzem. Piszę.

– A co robiłeś na Węgrzech?

– Odwiedzałem ojca. I wpadłem przy okazji do małej wioski o nazwie Sárosd, znacie może to miejsce?

Po czym zacząłem im opowiadać o mojej podróży, o dzienniku mojej babki. Kelner przyniósł zamówione potrawy, a ja dotarłem właśnie do relacji o zbrodni popełnionej na dziedzińcu przed oknami pałacu.

– Żydowskie małżeństwo zostało tam na rok przed końcem drugiej wojny światowej rozstrzelane – opowiadałem, patrząc, jak Linda i Marika zajadały swoje kebaby ociekające sosem jogurtowym. Czuję się przy tym jak jakiś szalony starzec, którego one słuchały z najwyższym podziwem.

– Druga wojna światowa? – powtórzyła Marika wyraźnie osłupiała, jakby ją zaskoczyło określenie pochodzące z jakichś niepojętych pradziejów, coś co

należało całkiem ostrożnie wysupłać z jakiejś jedwabnej chusteczki, chroniąc przed zbyt jaskrawym blaskiem słońca.

– Tak – potwierdziłem.

Kawałki cebuli wypadające im z kanapek, nadziewały na swoje długie paznokcie niby na chińskie pałeczki.

– Ale to wszystko działo się sto lat temu.

– Nie sto, ale siedemdziesiąt – poprawiłem ją przemądrzałym tonem.

A nie miało to przecież najmniejszego znaczenia. Jedliśmy więc dalej, nie mówiąc wiele. A ja nagle wydałem się sobie nieskończenie śmieszny, bo one za parę godzin staną znów przed swoimi boksami, czekając na klientów, podczas kiedy ja im tu snuję opowieści o wydarzeniach, jakie się rozgrywały wiele dziesiątków lat temu na dziedzińcu przed pałacem mojej babki, w świecie który już od dawna przestał istnieć. Pomogłem im dobrać się do chusteczek nawilżanych, które kelner nam przyniósł, po czym w oparach cytrynowego zapachu stanęliśmy przed wejściem do baru, gdzie na tle żółtej ściany dziewczyny, wyłowiwszy z kieszeni niezbędną zapalniczkę, chciały wypalić po papierosie do kawy.

– Czy wasi rodzice wiedzą, czym się zajmujecie w Zurychu? – zapytałem.

Marika potrząsnęła głową.

– Pracujecie w tych boksach?

– Będziesz o nas pisał? – zapytała Linda.

– A czy mogę?

Linda oznajmiła:

– Ojca nie mam. A matka jest w domu i zajmuje się moją córką. Czy to wystarczy? – zapytała, wydmuchując dym z papierosa.

– Przydałoby się zdjęcie – powiedziałem, sięgając do kieszeni.

– Zabiję cię, jak to zrobisz – ostrzegła Linda, unikając mojego wzroku. – Jestem nieumalowana i wyglądam jak wywłoka. – Chciałem jej powiedzieć coś miłego, ale nie przyszło mi nic do głowy.

– Niektóre kobiety opowiadają to swoim córkom. – powiedziała.

– A ty nie zamierzasz?

– Nie.

– Mogłabyś ją ostrzec.

– Każdy powinien sam się o siebie martwić.

– Ja, będąc dzieckiem, chciałbym wiedzieć, co robi moja matka.

– Przestań gadać głupstwa!

Pałac papierosa i ze spuszczonego wzrokiem zaczęła opowiadać o swojej wsi, o innych cygańskich dziewczętach, które przy trasach szybkiego ruchu wieszają na gałęziach drzew plastikowe butelki albo strzępy aluminiowej folii, która błyszczy w słońcu, żeby kierowcy ciężarówek mogli dostrzec te sygnały z daleka. A one latem czekają w krzakach przy szosie, aż któryś zatrzyma się, wysiadzie, postęka, zapłaci i odjedzie. Niektórzy zabierają dziewczynę ze sobą i drogą radiową dają kolegom znać, że mają właśnie do dyspozycji towar, chudą albo przy kości, ciemnowłosą czy blondynkę i przekazują ją sobie jak pałeczkę w biegu sztafetowym, z jednym jedzie na południe, z innym na północ, z jeszcze innym przemierza w poprzek cały kraj, a czasem zostaje gdzieś na przypadkowym parkingu, porzucona niczym zbędny kundel. A jak się przytrafi ciąża, to cóż, siła wyższa, pech. – Tak się to zaczyna – stwierdziła Linda rzeczowo, dając Marice znak, że czas się pożegnać. Przed rozstaniem wręczyłem każdej z nich kartkę z moim numerem telefonu. – Zawsze w potrzebie możecie zadzwonić – zapewniłem, dobrze wiedząc, że żadna z nich z mojej oferty nie skorzysta.

Na pożegnanie podaliśmy sobie ręce.

– A co się stało z twoim psem?! – krzyknąłem już z daleka. Linda potrząsnęła tylko głową.

* * *

– Nigdy panu chyba nie wspominałem, że podczas podróży na Węgry minionej jesieni poznałem pewną prostytutkę – oznajmiłem Danielowi Strassbergowi tydzień później, leżąc na jego kozetce.

– Nie, nie wspominał pan – przyznał.

– Odbyłem z nią wtedy w pociągu krótką rozmowę, a parę dni temu przypadkiem znów ją spotkałem. Zjedliśmy razem małą przekąskę. Ona i jej przyjaciółka pochodzą z Węgier, z małej biednej wioski. Teraz stoją na jakimś rogu przed specjalnie w tym celu postawionymi boksami i czekają na klientów. Opowiedziałem im o dzienniku babki, o rodzinie Mandlów i o mojej wyprawie do pałacu.

– W jakim celu?

– Sam nie wiem. Chciałem im trochę o sobie opowiedzieć. Może miałem ochotę przekonać się, jak one zareagują na moją opowieść. Zawsze mnie fascynowała podwójność takiego życia, jakie prowadzi Linda. Co takie kobiety

jak ona opowiadają swoim matkom w domu? Jak reagują na pytania córek? Jak często zastanawiają się nad tym, co się naprawdę wokół nich dzieje?

– Co podwójne życie tych prostytutek ma wspólnego z panem?

– Właściwie nic – odpowiedziałem, omijając wzrokiem Leibniza i Lacana i wznosząc oczy ku drewnianej figurce na regale, którą ktoś widocznie odwrócił, bo widziałem ją teraz od tyłu, uderzały jej okazałe, szerokie biodra. – Chociaż, może nawet niejedno. Bo wszystko zależy od tego, co człowiek sam jest gotów o sobie ujawnić. Co sam o sobie opowiada. Jaką prawdę na swój temat buduje. Którą prawdę zamierza innym przekazać, a którą woli przemilczeć.

Moja babka dopiero pod koniec życia postanowiła się otworzyć, zaś córki Agnes prawdziwą wersję śmierci swoich dziadków zachowają dla siebie, podobnie jak Linda, która nie będzie ani słowem wspominać owych boksów ani własnych doznań związanych z chwilą, kiedy trzeba ustawić się znów w kolejce po opuszczeniu kolejnego auta, mając jeszcze w ustach resztki spermy.

Strassberg milczał.

– Pozostaje pytanie...

– Tak, słucham?

– Jak to wygląda w moim przypadku?

– O jaki przypadek panu chodzi?

– Jak wygląda moja wersja prawdy? Co przekazuję dalej, a co zachowuję dla siebie?

– Pan zdecydował się na psychoanalizę. A to świadczyłoby o tym, że jest pan gotów stawić czoło swoim słabościom.

– I rzucić światło na własne ciemne plamy. Czy ja to rzeczywiście wprowadzam w czyn?

– Jak obie te kobiety zareagowały na dziennik pana babki?

– Uznały mnie za faceta niespełna rozumu. Jedliśmy kebab, a ja zacząłem truć o drugiej wojnie światowej. To wydało im się szczytem absurdu. Ja sam poczułem się niewiarygodnie stary, bo to wszystko wydarzyło się tak dawno, a równocześnie sprawiałem wrażenie zdumiewająco młodego, naiwnego i rozpieszzonego, jakbym był jednym z owych bladych uczniów elitarnych szkół angielskich, którzy znają życie tylko z książek. Od lat leżę tu na pana kozetce, zadręczając się sprawami sprzed wieków, podczas gdy Linda i Marika dzień w dzień walczą o przetrwanie. – Umilkłem, zgubiwszy wątek. I leżałem tak w milczeniu, nie wiedząc, co dalej. – Czy nie powinienem całego tego balastu z przeszłości po prostu się pozbyć, tak jak to czynią piloci balonowi? – zapytałem w końcu.

Strassberg nie odpowiedział, a ja znowu miałem wrażenie, że nagadałem głupstw.

– A wtedy poleciałbym sobie własnym kursem – ciągnąłem mimo wszystko. – Byłoby mi lżej i łatwiej mógłbym wznosić się w górę. Czy pamięta pan o tej więzi, o której wspominała moja babka, o więzi łączącej dziadków z wnukami?

– Tak.

– Nie jestem pewny, czy nie powinno się tej więzi przeciąć. Można by wtedy zacząć od zera, nie dźwigając wciąż tych dawnych ciężarów. Chociaż, czy byłoby to możliwe? Nie można przecież wyprzeć się swych korzeni, wyrzucić własnej przeszłości do śmietnika, czy ja wiem? Chyba trzeba jednak najpierw zrozumieć, skąd się przychodzi i kim się jest, żeby móc zacząć coś na nowo, może tak właśnie trzeba. Dopiero wtedy, kiedy tę więź zobaczymy, kiedy dojrzymy jej lśnienie, jak oznakowanie pasa startowego nocą na lotnisku – dopiero wtedy będziemy mogli ją przeciąć. Ach, dajmy sobie z tym spokój na dziś. W końcu nie jest to wszystko takie ważne.

– O, proszę, i znów mamy to samo zdanie.

– Jakie zdanie?

– Ja właśnie uważam, że to wszystko jest bardzo ważne, bo w przeciwnym razie pana by tu nie było. Powinien pan wreszcie przestać uważać swoje problemy za nieważne. Nikogo pan przecież w takich momentach nie zdradza, starając się rozwiązać własne problemy.

– Nie bardzo to rozumiem.

– Ja też tak całkiem tego nie rozumiem. Ale mamy jeszcze przed sobą dość czasu.

* * *

We wrześniu siadłem wreszcie przy biurku, zasunąwszy firanki. Wrysowałem sobie dokładny diagram, żeby zyskać przejrzystą orientację w całości; w tym celu starałem się wszystkie moje podróże i poszukiwania zamknąć w ramach jednego wykresu, za pomocą strzałek i wszelkiego rodzaju symboli określających również poszczególne osoby, na przykład mojego ojca miał symbolizować księżyc, moją babkę kółko, Agnes – ptak, a dla Margit wymyśliłem swastykę. Wyciąłem cały diagram i przypiąłem do ściany; ustawiłem sobie odpowiednio krzesło i zabrałem się do pisania: miałem to robić co dzień, bez wyjątku. Pierwszy miesiąc upłynął zgodnie z planem, pisałem jak w transie, nie zauważając, że dni stają się coraz krótsze, że pierwsze liście zaczynają opadać z drzew, że moim dzieciom trzeba kupić nowe kalosze.

W drugim miesiącu zacząłem sam siebie przeklinać, w trzecim doszedłem do wniosku, że człowiek nie może pisać o własnej psychoanalizie, która na bieżąco równolegle przebiega – bo wtedy trzeba by coraz to wracać do poprzednich spotkań i wiele z owych wcześniejszych ustaleń musiałyby ulec zmianie. Nie sposób ująć w słowa to, co się podczas kolejnych spotkań dzieje, a gdyby się spróbowało to uczynić, wszystko by się na naszych oczach rozpadło. W ciągu czwartego miesiąca całymi dniami padał śnieg, kalosze musiały zastąpić cieplejsze modele, a ja doszedłem do wniosku, że powinienem odbyć jeszcze jedną podróż.

Było takie miejsce w dzienniku mojej babki, które nie wydawało mi się zgodne z prawdą. Wkrótce po strzałach wymierzonych w małżeństwo Mandlów ona, według jej własnych słów, wybrała się w drogę do obozu, w którym znaleźli się Agnes i Sándor. Swoim rodzicom powiedziała, że jedzie do Budapesztu, gdzie musi załatwić pewne sprawy, ale prawdziwego celu podróży nie wyjawiała.

Kilka miesięcy wcześniej oddziały armii niemieckiej wkroczyły na teren Węgier. Samochody ciężarowe Wehrmachtu przemierzały tam i z powrotem cały kraj, strzałokrzyżowcy patrolowali wszystkie kąty, węgierski rząd z nowym premierem Dömem Sztójjayem, zwolennikiem nazizmu, ogłosił zakładanie gett, na Żydów nałożono obowiązek noszenia żółtej gwiazdy. Również Eichmann stawiał się w Budapeszcie wraz z całym swoim sztabem, jego oddział do zadań specjalnych składał się między innymi z tak doświadczonych współpracowników, jak Franz Novak i Dieter Wisliceny, dobranych przez samego Hitlera. Eichmann wprowadził się do apartamentu w hotelu Astoria, gdzie 31 marca spotkał się po raz pierwszy z budapeszteńskim Judenratem. „Czy wiecie, kim ja jestem?”, zadał podobno pytanie całemu zgromadzonemu gremium z Samuelem Sternem na czele i odczekawszy jego negatywne potrząśnięcie głową, oświadczył: „Jestem krwawym psem”. W ciągu najbliższych dwóch miesięcy wysłał 437 402 żydowskich mężczyzn, kobiet, dzieci i starców do Auschwitz, z tym że większość zapędzono prosto z rampy do komór gazowych.

W ciągu tych właśnie dni moja babka wyruszyła pociągiem ze swojej małej wioski do Budapesztu, a stamtąd dalej do Kistarcsy, gdzie znajdował się obóz. Miała dwadzieścia dwa lata, oczekiwała drugiego synka, który miał nie przeżyć najbliższej wiosny, zaś swoje pierwsze dziecko, mojego ojca, zostawiła pod opieką rodziców. W Budapeszcie musiała się przesiąść, wymijając żołnierzy i rannych, których pełno na Dworcu Wschodnim, gdzie unosiły się sadze i para buchająca spod kół lokomotyw. Po dotarciu na odpowiedni peron usiadła na ławce i czekała – młoda kobieta przybyła ze wsi, pochodząca z dobrego domu, ciekawe, jak mogła być ubrana? Na pewno nie przesadnie elegancko, wybierała

się przecież do więzienia, zresztą nigdy nie przywiązywała wagi do strojów. Może włożyła na głowę kapelusz? Pewnie zabrała jakąś torebkę, żeby mieć gdzie schować notesik, w którym zapisywała sobie to, co chciała powiedzieć Agnes, jak się zobaczą. W pewnej chwili głos z megafonu zapowiedział, że jej pociąg właśnie nadjeżdża.

Córka Agnes ostatnio potwierdziła, że to się naprawdę zdarzyło. Że moja babka rzeczywiście wybrała się do Kistarcsy, aby zobaczyć się z Agnes i Sándorem. Dlaczego mnie było tak trudno jej uwierzyć?

Bo się tego po niej nie spodziewałem. Po prostu. Nie podejrzewałem mojej babki o brak odwagi, tylko o niemożliwość podejmowania decyzji. Zaskoczyła mnie jej siła i wiara w siebie. To ona sama nieraz w swoim dzienniku porównywała siebie do „kreta, który żyje z głową w piasku”.

Wiele lat temu ojciec opowiadał mi, że w swoim czasie co dwa tygodnie zjawiał się przed pałacem obcy mężczyzna z walizką na kółkach i za każdym razem wciskał jego matce nową gaśnicę – wkrótce powstała z nich w piwnicy cała sterta. Moja babka nie była wtedy osobą niepoczytalną, zdawała sobie w pełni sprawę z tego, że ten człowiek ją nabiera, ale nie chciała go spławiać, bo uważała, że nikt jej nie upoważnił do traktowania kogokolwiek brutalnie. Wolała zrezygnować ze swoich ludzkich praw niż ich bronić – wysłuchiwała więc po raz kolejny hymnów pochwalnych pod adresem nowego typu pianki gaśniczej, zamiast temu obcemu człowiekowi w źle skrojonym garniturze zatrzaskać drzwi przed nosem. Przedstawiciel firmy produkującej gaśnicę najwyraźniej sytuację wyczuł i nie omieszkał jej wykorzystać. A moja babka tak została wychowana, że w każdej sytuacji własne potrzeby i własną osobę odsuwała na drugi plan, wolała żuć stary chleb zamiast kupić sobie świeży; kiedy trzeba było rozepchnąć się łokciami, by wywalczyć sobie miejsce, na przykład w supermarkecie, ona wycofywała się i chowała we własnej skorupie. Na tym polegało jej poczucie wyższości, na odsuwaniu własnych potrzeb na drugi plan.

Tym bardziej zastanawiająca wydaje mi się jej potajemna podróż do owego obozu, podjęta siedemdziesiąt lat temu. Był to jedyny przekazany mi moment z jej życia, kiedy ona sama się niczemu nie podporządkowała. Tamtego dnia moja babka odłożyła na bok, odsunęła od siebie wszystko, co ją wypełniało i co jej ciążyło, ale też co ją, jej osobę określało, cały wstyd i ból, jaki niosła ze sobą odchodząca epoka, całe lenistwo jej społecznej klasy. Pokonała znużenie, które opanowało całe Węgry, i rezygnację, jaka po upadku monarchii pozbawiła ten kraj wszelkich sił, przenikając do jego krwi. Wyprawą do obozu przeciwstawiła się też własnemu ojcu, a także księdzu – bo oni obaj zatuszowali zbrodnię dokonaną na małżeństwie Mandlów. Ona to swoją decyzją zrzuciła z siebie skórę

kreta, która stała się jej drugą skórą, i siedziała w pociągu naga, patrząc spokojnie przez okno – bo wola, by spełnić swój zamiar, dodawała jej sił.

Z tego samego powodu ja również pojechałem do miasta, w którym znajdował się ów obóz, bo chciałem spłacić należny jej trybut, będąc przy niej w tamtym momencie. I, kto wie, może pragnąłem też poczuć w sobie jakiś element owej siły, która ją wtedy wypełniała.

Półlitrowa puszka po piwie wtoczyła się pod moje nogi, kiedy pociąg ruszał z Budapesztu. Po czym za oknami zaczęły się pojawiać bloki z wielkiej płyty budowane przed laty na obrzeżach miast, barwne plakaty reklamowe wielu znanych firm, budynki Ikei i McDonalda – co też ona wtedy mogła po drodze oglądać? Pola, na których tu i ówdzie pozostały jeszcze spłachetki śniegu, konia ciągnącego pług, samotny kwiatek maku na poboczu drogi, czołg na skrzyżowaniu i żołnierzy, wszędzie pełno żołnierzy. Puszka po piwie potoczyła się gdzieś do tyłu, a na pierwszej stacji wróciła pod moje nogi. Był sobotni grudniowy poranek, na niebie lśnił słabo cienki wianuszek słońca, bo resztę osłaniały gęste chmury. Za plecami słyszałem pomruk centralnego ogrzewania. Naprzeciwko mnie siedziały dwie starsze panie, które narzekały na wysokość składki emerytalnej, ja zaś obserwowałem przedziwny wzór turkusowej tapicerki za ich głowami: było to różnobarwne kłębowisko zagadkowych zygzaków, spośród których coraz to wystrzeliwały na różne strony złociste błyskawice. Kto i jakimi drogami mógł wpaść na taki pomysł, zastanawiałem się, podczas gdy obie kobiety utyskiwały na fakt, że opłaty za gaz w ciągu ostatnich lat wydatnie wzrosły. Ktoś musiał przecież ten zagadkowy wzór zaprojektować. Sam autor projektu siedział pewnie po nocach nad komputerem, żeby stworzyć coś jak najoryginalniejszego, potem odbywały się niezliczone dyskusje i narady, aż w końcu autor projektu dostał zapewne za swój pomysł nagrodę, co go niewątpliwie ogromnie musiało ucieszyć. Za każdą decyzją stoją zawsze jacyś ludzie, czy to będą wzory nasiedzeniach w pociągu, czy służące do różnych celów boksy – w każdym wypadku znajdzie się ktoś, kto podejmie decyzję: to ma być zrobione tak, a nie inaczej. Tego typu deliberacje zawsze mnie fascynowały.

Mijaliśmy małe lotnisko Mátyásföld. Czy wtedy stały tu samoloty opatrzone swastykami? Czy moja babka wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy znajdzie się pod bramą obozu. Czy ułożyła sobie jakąś wypowiedź na tę okoliczność? Czy miała przy sobie pieniądze, żeby móc przekupić żołnierzy? Czy zamierzała wykupić Agnes, czy uwolnić się od własnej winy?

* * *

Obóz w Kistarcsy istnieje od lat dwudziestych. Pierwotnie mieściła się tam fabryka wyrobów włókienniczych. Zatrudniała ona około tysiąca robotników, dla których po drugiej stronie torów zbudowano sypialnię. Światowy kryzys gospodarczy w 1929 roku doprowadził fabrykę do ruiny, jej pomieszczenia przejęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i przebudowano je na więzienie. W owym czasie panował na Węgrzech kult zdrowego ludowego ciała. Podzielono więc ludność na dwie strefy. Dobrzy obywatele mieli żyć w strefie zdrowej, trzymać się z dala od złych, którzy musieli się znaleźć w więzieniu. Do drugiej wojny światowej zamykano tu komunistów, przestępców kryminalnych, homoseksualistów, chorych psychicznie, a więc ludzi szkodliwych, którzy nie pasowali do zdrowego, normalnego świata. To więzienie porównywano do Dachau. W obu miejscach znajdowały się dawniej fabryki, oddalone od wielkich miast – było to więc urządzenie nad wyraz praktyczne, bo oba te miejsca miały do dyspozycji połączenia kolejowe. Oprócz kilku chłopów, którzy udawali, że nic nie widzą, nie było żadnych mieszkańców w pobliżu, żadnych świadków, żadnych możliwości ucieczki. Dziś nazwano by takie miejsce Black Site, a Kistarcsa była w dodatku nikomu nieznana.

W chwili wkroczenia Niemców 19 marca 1944 roku obóz dostał się w ręce SS, które zapełniło go Żydami przeznaczonymi do wywózki do Auschwitz. Kiedy w roku 1948 władzę objęli komuniści i Mátyás Rákosi wykonywał posłusznie pochodzące z Moskwy zarządzenia Stalina, znaleźli się tam przeciwnicy reżimu – kilkoro przedstawicieli szlachty, wielu duchownych, a wszystkich umieszczono w tych samych celach, w których siedzieli Agnes i jej brat Sándor wiele lat wcześniej. Strażnicy i więźniowie przybywali i odchodzili, a Kistarcsa trwała na swoim miejscu. Do wybuchu powstania przeciwko Rosjanom w roku 1956 tysiące ludzi leżały tu na ziemi – bo nie było żadnych łóżek ani nawet koców – bez nadziei na uczciwy proces – wśród nich znajdował się też kardynał Mindszenty, głowa węgierskiego Kościoła katolickiego, który miał odwagę z wyżyn kościelnej ambony podawać krytyce rządu strzałokrzyżowców, a później również poniewierający godnością ludzką system komunistyczny. W przeciwieństwie do kardynała Kistarcsa przetrwała nawet rządy komunistów.

Na początku lat osiemdziesiątych kilka jej pomieszczeń posłużyło jako ośrodek kształcenia policjantów, reszta pozostała nieużywana – był to najspokojniejszy okres w istnieniu tego miejsca, stan zamrożenia za Żelazną Kurtyną. Trwający do chwili ogólnej przemiany, która wszystko postawiła na głowie i trzeba było sobie przypomnieć o właściwym przeznaczeniu pomieszczeń Kistarcsy. Wkrótce cele zapełniły się z powrotem, strażnicy zaczęli znów nosić klucze przy pasku od spodni, a w ręku pały, na stołówce dostawało

się łyżkę kartoflanki, jak to dawniej bywało. Kistarcsa wróciła do swojej dawnej roli: stała się jednym z największych aresztów deportacyjnych Europy. Po Żydach, przeciwnikach komunizmu przyszła kolej na czarnoskórych biedaków bez środków do życia, głodnych pasożytów, od których należy trzymać się z daleka. Około dwudziestu tysięcy ludzi, z których większość przybyła z Afryki i którzy przed deportacją spędzili znowu parę miesięcy w tych pomieszczeniach, stanowiących pełne odbicie brutalności, jaką wykazała Europa na przestrzeni minionego stulecia.

Ostatnimi pensjonariuszami obozu była grupa złożona z osiemnastu mężczyzn pochodzących z Rwandy. Przedzierali się przez góry dawnej Jugosławii, gdzie po drodze omal nie zamarзли. Przyjaciół i członków rodzin stracili, przepływając Morze Śródziemne i, oczywiście, nie mieli pojęcia, dokąd w końcu dotarli. Sypialnie i jadalnie były puste. Nie licząc kilku strażników pełniących służbę i członków organizacji opiekujących się uchodźcami, którzy przywieźli owoce i zabraniali zdumionemu kucharzowi dodawać do sporządzanego przezeń wodnistego gulaszu mięsa wieprzowego. Ze ścian budynków odpadał tynk, nie działały toalety, korzenie drzew niszczyły asfalt pobliskich ulic. Przybysze z Rwandy robili to, co wszyscy ich poprzednicy: czekali, paląc papierosy, a w nocy spali niespokojnie. Oni jedni pozostali, ostatni z łańcucha dróg bez wyjścia – zapewne do momentu, kiedy się ich któregoś dnia zgarnęło, przerzuciło przez granicę z Serbią, skąd tutaj przybyli, a może odtransportowało w kajdankach samolotem do punktu wyjścia, czyli do Kigali – któż to może wiedzieć?

Od dziesięciu lat tutejsze budynki świeciły pustkami. Część z nich zburzono, część zbudowano na nowo – wprowadziło się tam przedszkole. W miejscu, gdzie kiedyś więziono ludzi, zanim ich odtransportowano do Auschwitz, teraz znajdowała się szkoła powstała dzięki dotacjom z Unii Europejskiej. *Magyarország megújul*, „Węgry się odmieniają” – wypisano wielkimi literami na tablicy przy wejściu: lakier lśnił, okna zyskały podwójne szyby, a w środku widać było dzieci siedzące przy niskich stolikach.

Przemierzałem ulice tego małego miasta, pewnie tak jak przed laty moja babka, szukając jakiejś bramy, jakiegoś wejścia. Moją uwagę zwróciły rozmaite pomniki pamięci rozproszone tu i ówdzie, było ich sześć albo pięć: marmurowa płyta ku czci ofiar drugiej wojny światowej, pień drzewa poświęcony ofiarom komunizmu, biały kamień, który ma przypominać negocjacje pokojowe w Trianon w 1920 roku. Całe zło przychodzi na Węgry zawsze z zewnątrz, czy to ze strony Niemców, Rosjan czy aliantów, tak to jest w każdym razie wpajane

wszystkim zwiedzającym budapeszteńskie muzea. Węgry były zawsze niewinne, zawsze stawały się ofiarą. Czy ten obóz mógł być jedynym pomnikiem pamięci, jaki można było spotkać w tej okolicy? Czy nie należałoby zachować chociaż części tutejszych murów, żeby ludzie nie zapomnieli, jakich okrucieństw dopuszczali się za nimi węgierscy strażnicy w ciągu ostatnich stu lat? Kraj mógł się odmieniać, jak napisano na tablicy przy wejściu do przedszkola, ale co tu pozostało z dawnych czasów, jaką historię tego kraju przekazywano dalej?

Na jakimś skrzyżowaniu nawiązałem rozmowę ze staruszką, która zaczęła mi opowiadać, jak to miasto wyglądało sześćdziesiąt lat temu. Pokazywała mi laską poszczególne domy: – Tego, tego i tamtego – mówiła – jeszcze wtedy nie było. Ani tego, ani tego.

– Za to był tu obóz – przerwałem jej.

– Tak, był obóz – potwierdziła, spuściwszy oczy.

Pomogłem jej donieść do domu torby z zakupami, z których wystawały pęczki szczypiorku. Kiedy przemierzywszy całą ulicę, dotarliśmy do celu, odezwałem się:

– Znam osobę, która była więziona w tym obozie – powiedziałem zaczepnie, na co staruszka kiwnęła tylko głową bez komentarza i nie zadawszy żadnego pytania.

– Gdzieś musi tu przecież być jakaś brama – odezwałem się pytającym tonem.

– Jest, ale bardzo daleko stąd.

Tłumaczyła mi, że to musi być gdzieś za dworcem, co najmniej pół godziny drogi stąd. Postawiłem torby pod jej drzwiami, pożegnałem się, naciągnąwszy czapkę na uszy, i ruszyłem w drogę. W pięć minut znalazłem się na miejscu. Jakim cudem starsza pani mogła się tak pomylić? Chyba nieświadomie starała się ten obóz jak najdalej od siebie odsunąć. Co roku kawałek dalej, żeby w końcu całkiem zniknął. Podobno w Niemczech spotyka się ludzi, którzy mieszkają w pobliżu dawnych obozów koncentracyjnych, ustawiają sobie w oknach doniczki z geranium, a kiedy się ich pyta, czy im to sąsiedztwo nie przeszkadza, odpowiadają zaskoczeni: „A właściwie dlaczego miałoby przeszkadzać?”.

Chwyciłem się zielonej metalowej kraty okalającej cały budynek. Czy moja babka też tu kiedyś stała? Z jej dziennika niewiele się można dowiedzieć. Musiała być wtedy przejęta, może też wystraszona i zziębnięta, bo nawet latem, w cieniu potężnych drzew trzęsła się z zimna – ale nic nie było w stanie jej powstrzymać, jak gdyby wszystko zależało od tego spotkania: „Muszę porozmawiać z Agi” – pisała. Jakże bym chciał zobaczyć wówczas jej twarz, oczy, usta. Czy wtedy paliła? Musiałaby się nerwowo zaciągnąć przed

spotkaniem z owym żołnierzem. Ale nie, o paleniu nie mogło być mowy, była przecież w ciąży, zresztą młodej damie nie wypadało w tamtych czasach palić na ulicy. Czy jednak nie zrezygnowała z tego wszystkiego, decydując się na taką wyprawę? Owego dnia nie była już żadną damą, w tym właśnie rzecz, i wreszcie stała się człowiekiem.

Cytat z dziennika babki: „Obóz znajdował się w pobliżu szyn, pamiętam widok niedalekich łąk i bramę, której pilnował żołnierz, ale nie wiem, jakiej rangi. W takich sprawach nie miałam doświadczenia. Zapytałam tego żołnierza, czy w obozie znajduje się rodzeństwo Agnes i Sándor Mandl i czy mogłabym z nimi porozmawiać, bo jest to bardzo ważne. Żołnierz zanotował moją prośbę. Nie był wcale nieuprzejmy, właściwie wydał mi się nawet sympatyczny”.

Przez kraty i potłuczone szyby okienne mogłem zajrzeć do wnętrza tych pomieszczeń, widziałem porysowane gryzmołami ściany, również ściany zewnętrzne pokrywało graffiti. Ten widok przypomniiał mi Simona i jego przyjaciół, o których pisałem przed laty – była to grupa młodych Brytyjczyków, którzy podczas weekendów wdzierali się do nieczynnych fabryk, do opuszczonych sanatoriów dla psychicznie chorych, do niezamieszkałych, niszczących zamków. Nie włamywali się tam jak złodzieje czy wandalę, byli do tych wypraw przyzwoicie przygotowani, w urzędzie ksiąg wieczystych zaopatrywali się w dokładne plany szybów kanalizacyjnych, przez które przedzierali się całymi przedpołudniami, z latarkami na czole, mijając zdechłe szczury, aby przez szyb grzewczy obsługujący pralnię dotrzeć do owego sanatorium, gdzie studiowali dawne akta, kładli się na pokrytych pleśnią materacach i robili zdjęcia nagumowanych ścian psychiatryków. Potem całymi dniami rozprawiali o doznaniach psychicznie chorych pacjentów, leczonych wtedy metodą elektrowstrząsów. Czułem się dobrze w towarzystwie Simona i jego przyjaciół. Rozumiałem ich potrzebę powrotu do spraw zapomnianych, dzieliłem z nimi zrozumienie dla estetyki rozkładu – wszystko to stanęło mi przed oczami w obliczu tych żółtych od nikotyny obozowych murów.

Dzienniki VI

Maritta

Czekałam przed bramą obozu przynajmniej dwie godziny. Co chwilę robiłam parę kroków to w jedną, to w drugą stronę, zastanawiając się, co mam Agi i Sándorowi powiedzieć, kiedy ich zobaczę.

Agnes

Pewnego razu podszedł do mnie jeden z policjantów i powiedział, że ktoś chciałby się ze mną spotkać.

Ale ja nie miałam do niego zaufania i bałam się z nim wyjść. – Tam naprawdę ktoś czeka – upierał się. Ja jednak potrząsnęłam głową, więc sobie poszedł.

Maritta

Oni się na pewno zdziwią, kiedy mnie zobaczą, zastanawiałam się.

Agnes

Czy ktoś naprawdę mnie szukał? Kto to mógł być?

Maritta

Kiedy żołnierz wrócił i powiedział, że osób o tym nazwisku w obozie nie ma, postanowiłam jechać z powrotem do domu. Musiałam przesiąść się w Budapeszcie; na placu przed dworcem było pełno żołnierzy z psami i karetek pogotowia. Dachy domów w śródmieściu lśniły w blasku zachodzącego słońca, w powietrzu unosiły się całe chmury pyłków kwiatowych. Nagle zauważyłam kobietę, która wydała mi się znajoma. Rozpoznałam ją dopiero po chwili, kiedy znalazła się tuż koło mnie. Była to właścicielka najwytworniejszej perfumerii w Budapeszcie, starsza pani, którą widywałam tylko w białym fartuchu za ladą, obsługującą klientów. Tamtego dnia miała na sobie ciemny żakiet z gwiazdą Dawida. Kiedy chciałam do niej podejść, wyminęła mnie, odwróciwszy głowę,

wtedy pobiegłam do najbliższego stoiska z kwiatami – musiałam przecież jakoś zareagować, byłam okropnie wzburzona – i kupiłam jeden żółty narcyz, który wsunęłam sobie w dziurkę od guzika. Jakiś Niemiec szedł mi naprzeciw, a ja spojrzałam na niego z okropną złością, on zaś – a był to oficer wysokiej rangi – powiedział: „Brawo!” i skłonił się z uśmiechem. Jak śmieszna to była demonstracja z mojej strony. Żółty narcyz w miejsce gwiazdy Dawida. Czy to wszystko, na co potrafiłam się zdobyć? Tak, to było wszystko.

Gdyby mojej babce udało się doprowadzić do rozmowy z Agnes, to jak by tę rozmowę rozpoczęła, o czym by jej opowiedziała? Zastanawialiśmy się nad tym już w Buenos Aires, razem z córkami Agnes.

Czy zaczęłyby przeproszać Agnes? „Bardzo mi przykro, że biernie obserwowałam, jak strzelano w plecy twojej matce i twojemu ojcu”.

Czy próbowałyby się usprawiedliwiać? „Byliśmy zbyt tchórzliwi, ja i mój ojciec, cała nasza rodzina, cała ta gówniana szlachta, za dobrze nam się wiodło i zobojętnieliśmy na wszystko, czy ty tego nie rozumiesz? Nie mogliśmy więc ukrywać Żydów, ani zachowywać się po ludzku, nie potrafiliśmy wziąć na siebie żadnego ryzyka. Nie jesteśmy rodziną bohaterów – jesteśmy kretami”.

A jak zareagowałyby na tę wiadomość Agnes? Była młodsza od mojej babki i nie miała pojęcia o tym, co ją czeka. Była zupełnie sama, oddzielono ją od brata, miała przy sobie zdjęcie swojej rodziny, a w uszach ostatnie słowa ojca: „I co będzie z wami?”.

Co Agnes by zrobiła, usłyszawszy od mojej babki o zbrodni, do jakiej doszło? Pewnie by się po prostu załamała, wola życia, którą czuje w sobie do dziś i o której opowiadają jej córki, zostałyby unicestwiona. Bez nadziei zobaczenia swoich rodziców najprawdopodobniej by nie przeżyła Auschwitz. W przeciwieństwie do większości więźniarek, jak sama pisała, miała zdumiewająco dużo sił żywotnych, które chroniły ją przed chorobami. Tylko dzięki temu udało jej się przeżyć, bo Niemcy uznali ją za zdolną do pracy. Do czego mogłoby dojść, gdyby moja babka swoją spowiedzią pozbawiła ją tej siły. Czy się nad tym zastanowiła, zanim wybrała się w swoją ekspiacyjną podróż? „Musiałam porozmawiać z Agnes” – pisała, ale co to zdanie właściwie znaczyło? O kim tak naprawdę w tej sytuacji myślała: o Agnes czy o sobie?

Moja babka niewątpliwie lepiej by się poczuła, wyznanie winy na pewno by jej przyniosło ulgę, ale gdyby w tym celu nie trzeba było odbywać spowiedzi. Czy właśnie nie to, czyli rozgrzeszenie Agnes, było jej tak bardzo potrzebne? Potem mogłaby oświadczyć swojemu ojcu, że nie będzie już dłużej kryła jego celowego wprowadzania w błąd przeciwnika, i może zaczęłyby iść przez życie

ze świadomie podniesioną przyłbicą. I to by wystarczyło, żeby móc wcześniej zabrać się do pisania, a więc do realizacji najsilniejszej namiętności, jaką miała w życiu. Tylko za pomocą pisania byłaby zdolna, o czym sama dobrze wiedziała, zapobiec zanikaniu własnej osobowości. Kistarcsa mogłaby stać się punktem zwrotnym w jej życiu, pozwoliłaby też przekazać mojemu ojcu parę iskierek z tego odzyskanego ognia, pomóc mu wzbudzić wiarę w siebie. A on mógłby tę siłę z kolei we mnie przelać. Bo to był problem, o którym na kozetce Strassberga od lat rozprawiałem: żeby wreszcie zacząć istnieć i móc zostawić w śniegu własne ślady. Czyżby to popołudnie spędzone w Kistarcsy dotyczyło także mnie?

Spowiedź mojej babki, która mogła tchnąć życie w naszą rodzinę, zniszczyłaby rodzinę Mandlów. Jedno mogłoby zacząć istnieć tylko kosztem drugiego. Tak więc dobrze się stało, że ów żołnierz zapewnił moją babkę, że w obozie nie ma ani Agnes, ani Sándora Mandlów.

Moja babka musiała stać na dworcu w Kistarcsy ze świadomością poniesionej klęski, bo nie udało jej się odbyć rozmowy z Agnes, inni temu zapobiegli. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak wracać do ojca, do pałacu, i żyć dalej z głową w kretowisku. Pędząc kolejne lata w zależności od innych – za to Agnes przeżyła.

* * *

Obszedłem cały gmach dokoła, wciąż trzymając się blisko siatki; mijałem młode drzewa i krzaki, pod stopami czując suche zmarznięte liście. Szukałem miejsca, które dałoby się przekroczyć, bo chciałem dostać się do wnętrza budynku, by, tak jak przed laty w angielskim sanatorium, móc zajrzeć do obozowych sypialni, dotknąć toalet, ścian. Czy przechodząc pustymi korytarzami, można odczuć śmiertelny strach setek tysięcy ludzi, którzy tu kiedyś przebywali? Próbowałem sobie wyobrazić, co by z tego wynikło, gdyby ktoś rejestrował wszystkie dźwięki, jakie dawały się słyszeć przez cały miniony czas wewnątrz obozu – co by do naszych uszu z tamtych czasów dotarło: czy trwające sto lat krzyki? A może wtedy nikt się nie odzywał ze strachu? W pewnej chwili zatrzymałem się, wstrzymując oddech, tak jakby niespodziewanie stanęła przede mną sarna, która widząc najlżejsze moje drgnienie, prysnęłaby natychmiast w krzaki. Czy ja nie poleciałem do Argentyny w tym samym celu, w jakim moja babka siedemdziesiąt lat temu udała się do Kistarcsy? Oboje zamierzaliśmy przekazać Agnes prawdę o śmierci jej rodziców. Odkrycie faktu, że oboje mieliśmy taki sam zamiar i że żadnemu z nas nie udało

się tego zamiaru zrealizować, było dla mnie czymś nowym. Moja babka nie dostała się do obozu, a mnie córki Agnes przekonały, że ta wiadomość zaszkoziłaby jej teraz, podobnie jak przed laty.

– Dlaczego przyjechałeś do Buenos Aires? – zapytała mnie Mirta już pierwszego wieczoru po lekturze fragmentu dziennika. Wówczas uznałem to pytanie za wyraz zakłopotania i bardzo mnie ono zaskoczyło. Wszyscy byliśmy wtedy tak przejęci, że wydało mi się to próbą wypełnienia ciszy – teraz jednak zaczynałem pojmować, że kryło się za tym coś więcej – chociaż właściwie dlaczego? Ja byłem przecież jedynie kurierem, jak jej wtedy odpowiedziałem, a chodziło mi tylko o uzupełnienie im ich własnej historii. Chociaż czy robiłem to naprawdę dla Agnes i jej rodziny? Czy też raczej dla siebie?

Przecież ja niczego im nie uzupełniłem, zacząłem coś pojmować, wciąż jeszcze trwając w drętwym znieruchomieniu. Niczego im nie dałem, nie, naprawdę zyskałem coś dla siebie. Sam się o coś wzbogaciłem. Na tym polega ów tajemny pakt, zawierany przez nas, potomków, niezależnie od tego, czy jesteśmy wnukami sprawców, czy wnukami ofiar – my wszyscy czegoś dla siebie szukamy, przekopując ziemię i licząc na najcenniejszy kruszec, po czym zabieramy go sobie. W tym momencie sarna prysnęła.

* * *

Połąziłem jeszcze trochę po mieście, minąłem basen, budkę z chińskimi przekąskami, deszcz lał, a ja próbowałem sobie wyobrazić, jakby to było, gdybym zabrał w tę podróż swoje dzieci. Najstarsza córka nie miała jeszcze roku, kiedy wybrałem się po raz pierwszy do Rechnitz, podczas mojej wizyty u Agnes w Buenos Aires skończyła cztery lata, a teraz wkrótce skończy sześć.

– Tato, jest nam zimno – usłyszałem jej głos.

– Przecież musimy jeszcze obejrzeć wszystkie pomniki – odpowiedziałem – bo mogliśmy któryś przegapić.

– Ale po co!? – krzyknęli chórem. – Bo my już nie możemy.

Pokiwałem na to głową, no właśnie: po co? Żeby dotrzeć do dworca, musiałem znowu minąć budynki obozu, iść długo wzdłuż szyn, i wszystko stało mi wyraźnie przed oczami, te ostatnie sto lat – zawsze mnie to na Węgrzech fascynowało, że cała historia tego kraju leżała rozpostarta na ulicy, każdy mógł sobie odtworzyć własny jej obraz, mógł jej dotknąć, mógł sobie po niej chodzić – i nikt nie musiał iść do muzeum, gdzie owa historia jest zakonserwowana pod szkłem, gdzie jest dużo małych lampek, a tu i ówdzie w kącie stoi krzesło, na którym można sobie odpocząć. „Czy wy to

rozumiecie?”, pytałem w myślach moje dzieci, ale one potrząsały głowami. Oczyma duszy widziałem na peronie moją babkę, czekającą na pociąg powrotny – a gdybym się odwrócił, to musiałbym zobaczyć miejsce, skąd odjeżdżał kiedyś wagon, w którym wywieziono Agnes do Auschwitz.

Łzy napłynęły mi do oczu bez zapowiedzi, po prostu połączyły się z kroplami deszczu na moich policzkach. Odwróciłem twarz, żeby nikt nie zauważył, że płacę, podniosłem kołnierz płaszcza i ściągnąłem czapkę niżej na twarz. Trwało to kilka minut, a ja nie próbowałem nawet tych łez powstrzymać – tylko ramiona mi drgały jak podczas wymiotów, i przynosiło mi to ulgę. W końcu nadjechał pociąg.

Usiadłem znów na siedzeniach obitych tą samą barwną tapicerką z błękitnym tłem. Byłem szczęśliwy, sam nie wiedząc dokładnie dlaczego i ni stąd, ni zowąd poczułem mocne przekonanie, że muszę zniszczyć dziennik mojej babki, o co zresztą sama na łożu śmierci prosiła mojego ojca. Jej praca spełniła swoje zadanie, pomyślałem. Poczekam na odpowiedni moment i zabiorę ze sobą dzieci i żonę, i – zobaczyłem tę scenę oczyma duszy – wyjdziemy razem na jakieś pole, niebo będzie zaciągnięte szarymi chmurami, pod którymi będzie latało kilka wron – a my będziemy puszczali z wiatrem, niby latawce, kartki wypełnione gryzmołami mojej babki, które przez wiele tygodni usiłowałem odcyfrować. Niektóre stroniczki pospadają zaraz na ziemię, inne wplaczą się między gałęzie drzew, a my będziemy śledzili lot, bawiąc się beztrósco; aż do chwili, kiedy zostanie nam pusta teczka. Kiedy pociąg ruszył, włączyło się ogrzewanie, osuszając stopniowo mój mokry płaszcz.

Podziękowania

Za hojne wspieranie mnie podczas pracy nad tą książką dziękuję następującym instytucjom: UBS Kulturstiftung; Goethe-Stiftung Zürich oraz Literaturförderung des Kantons Zürich.

Moja wdzięczność należy się redaktorowi Martinowi Breinfeldowi, który mnie wytrwale zachęcał do wydajnej pracy i który z mojej winy dorobił się niejednego siwego włosa. Silke Pfeiffer dziękuję za niezmordowaną współpracę nad tekstem, Dieterowi Bacherowi za zdobycie rosyjskich akt, a Ritvie Hämäläinen za ich przetłumaczenie. Dziękuję Pauli Guldzie za pierwsze rady dotyczące poszukiwania źródeł, Danielowi Strassbergowi za bardzo wiele, rodzinie Kupfermenców za jej serdeczność, Brunowi Augsburgerowi za najpiękniejsze mieszkanie świata, a Finnowi Canonicy z redakcji „Magazin”, dodatku do „Tages-Anzeiger”, który opublikował reportaż dotyczący mojej ciotki Margit, za to, że nie skąpił mi czasu w trakcie korzystania z posiadanych przez niego materiałów. Christophowi Zürcherowi z redakcji „NZZ am Sonntag” dziękuję za cenne wskazówki dotyczące wyszukiwania ciekawych historii, a Mikłósowi Gimesowi za kontakt z prawdziwymi ludzkimi dramatami. Rodzicom dziękuję za wszystko, czego nie sposób ująć w słowa, teściom za cenną pomoc w ciągu ostatnich, obciążonych niemałym stresem lat. Na zakończenie dziękuję obu moim braciom za to, że zawsze przy mnie są i że dzięki nim mogłem tę historię opisać, bo to jest przecież także ich historia.

Moje największe podziękowania i bezgraniczna miłość należą się Suleice, która potrafi mnie znieść nawet w takie dni, kiedy zdobywam się najwyżej na pięć słów – bez niej ta książka nigdy by nie powstała.

Przypisy

1. Bund Deutscher Mädel (pol. Związek Dziewcząt Niemieckich) – nazistowska organizacja młodzieżowa (przyp. tłum.). ↩
2. Ilona Tóth, fałszywie oskarżona o otrucie członka węgierskiej policji, została w 1957 r. powieszona. Miała 25 lat. ↩
3. Od czasu niewoli mój dziadek miał bzika na punkcie pogody, a zwłaszcza temperatury. Już Wałam Szalamow w swoich książkach o życiu w gułagu pisał o tym, że pogoda była przeważnie jedynym tematem rozmów w obozie. Mój dziadek do samej śmierci sprawdzał parę razy dziennie temperaturę za oknem. ↩
4. W 1958 r. Ivan i Margit zlecieli znajomemu adwokatowi Ferruccio Bolli, członkowi Rady Kantonów oraz Partii Liberalnej, by wystąpił w ich imieniu o nadanie im szwajcarskiego obywatelstwa. Pierwszą przeszkodą było tu urugwajskie obywatelstwo Ivana, którego nie chciał się on wyzbyć. ↩
5. Żandarmeria Castagnoli złożyła im wizytę w ich willi i przeprowadziła z nimi długą rozmowę dotyczącą ich sytuacji materialnej. Z początku była mowa o pięciuset tysiącach franków, ale z czasem, w miarę posuwających się pertraktacji, suma ta zaczęła rosnąć, najpierw do trzech, a wreszcie do trzydziestu jeden milionów franków szwajcarskich. Związek uczuciowy Ivana ze Szwajcarią żandarmeria oceniła jako raczej słaby, zważywszy na fakt, że signor Batthyány przeważnie przebywa poza granicami kraju. ↩
6. Na wszystkie pytania dotyczące wiedzy o państwie Ivan odpowiedział bezbłędnie. Tyle, że na nic mu się to nie zdało. Władze berneńskie odmówiły jego prośbie o przyznanie szwajcarskiego obywatelstwa. Jeszcze było na to za wcześnie. Dwa lata później adwokat Ferruccio Bolla podejmuje kolejną próbę. Znów zapewnia o miłości Ivana i Margit do Szwajcarii. Ivan dowodzi, że jest abonentem „Neue Zürcher Zeitung” i „Corriere del Ticino”, że należy do klubu golfowego w Lugano, do Corviglia Ski Club w St. Moritz i do berneńskiej sekcji Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, ale wszystko to na nic się nie zdaje. Notatka w aktach tak uzasadnia kolejną odmowę: „Odnosimy wrażenie, że Batthyány ubiega się o przyznanie obywatelstwa, licząc na płynące z tego faktu osobiste korzyści. W naszym przekonaniu jest on klasycznym typem kosmopolitycznego cudzoziemca, który żyje sobie to w tym, to w innym kraju, zależnie od tego, co mu się bardziej opłaci, czy na co w danej chwili ma ochotę, tak że w gruncie rzeczy nigdzie i wszędzie czuje się jak w domu. Ludzie tego typu, przeważnie bardzo zamożni, są skłonni sądzić, że wszystko, nawet narodowość da się kupić za pieniądze albo dzięki stosunkom, jakie te pieniądze zapewniają”. Dwanaście lat później upragniony cel zostaje wreszcie osiągnięty. Urzędnicy widzą wprawdzie w Iwanie nadal „element wybitnie kosmopolityczny”, zapalają mu jednak wreszcie zielone światło. Ivan i Margit Batthyány-Thyssen stają się w 1970 r. obywatelami Szwajcarii.
Zastanawiające w związku z tą trwającą dwanaście lat procedurą towarzyszącą staraniom o uzyskanie obywatelstwa są dwa fakty. Że masakra w Rechnitz nie została przez urzędników ani razu wspomniana – czy to w trakcie bezpośredniego

sondażu, czy w formie notatki, zachowanej w aktach – chociaż szwajcarska policja o Rechnitz wiedziała. Charakterystyczne wydawało się też, że Margit przy tej okazji – w przeciwieństwie do jej zachowania na co dzień w życiu rodzinnym – usuwała się w cień Ivana. Jak żona żyjąca przykładowie w cieniu męża. Czyżby miała jednak coś do ukrycia? ↩

7. Brat Margit, Hans Heinrich Thyssen, wzbogacił kolekcję sztuki ojca i otworzył ją dla publiczności w 1949 r. w lugańskiej willi Favorita w sąsiedztwie domu Margit. W 1993 r. kolekcję zawierającą dzieła Rodina, Tycjana i wielu innych sprzedał Hiszpanii. Dziś można te zbiory podziwiać w Muzeum Thyssen-Bornemisza w Madrycie. ↩
8. Mój ojciec przebywał w St. Gallen aż do matury, po czym w Zurychu studiował chemię. ↩
9. Eduard von der Heydt, bogaty potomek bankierskiego rodu, przez sześć lat był członkiem NSDAP. 28 kwietnia 1937 r. uzyskał obywatelstwo szwajcarskie, dwa lata potem wystąpił z partii. Von der Heydt kupił Monte Veritàà w Asconie, wspierał artystów i pisarzy, był członkiem szwajcarskiego Związku Prawdziwych Konfederatów, bliskiego narodowemu socjalizmowi. Podczas wojny reprezentował w Lugano interesy nazistów, czego zresztą nikt nie miał mu za złe – władze Ticino do badań nad najnowszą historią nie dokładały zbyt wielkich starań. Z czasem von der Heydt zajął się wyszukiwaniem dzieł sztuki na terenie Chin i Afryki, po czym przekazał je miastu Zurych. Można je dziś podziwiać w Muzeum Rietberg. ↩
10. I tak się też stało. Moi dziadkowie pojechali do Dinslaken, niedużego miasta koło Düsseldorfu, gdzie mój dziadek Feri dostał pracę prokurenta w Zakładach Thyssena. ↩
11. Miasto to leży w Rumunii przy granicy z Ukrainą (przyp. red.). ↩
12. Kita (skrót od *Kindertagesstätte*) – w Szwajcarii miejsce dziennej opieki nad dziećmi, coś pomiędzy przedszkolem a internatem (przyp. red.). ↩

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Und was hat das mit mir zu tun? Ein Verbrechen im März 1945. Die Geschichte meiner Familie*

Originally published in the German language as *Und was hat das mit mir zu tun? Ein Verbrechen im März 1945. Die Geschichte meiner Familie* by Sacha Batthyany
© 2016, Verlag Kiepenheuer & Witsch GmbH & Co. KG, Köln, Germany

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Agnieszka Cieślukowska

REDAKCJA: Anna Suligowska-Pawełek

Wydanie I elektroniczne

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela jest zabronione.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa

www.czytelnik.pl

© Copyright for the Polish translation by Emilia Bielicka, Warszawa 2017

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2017

ISBN 978-83-07-03420-1